

GAJA GRZEGORZEWSKA

TO ZNAK!

JECHAĆ
ŚMIAŁO

wydawnictwo mik

28.
MAŁOPOLSKIE

**DNI
DZIE
DZIC
TWA**

KULTUROWEGO

GAJA GRZEGORZEWSKA
TO ZNAK!

małopolski
instytut
kultury

MIK

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

 KULTURALNA
MAŁOPOLSKA

Wydawca:

Małopolski Instytut Kultury w Krakowie

30-233 Kraków, ul. 28 Lipca 1943 17C

tel. 12 422 18 84, www.mik.krakow.pl

Dyrektor: Tomasz Włodarski

Redakcja merytoryczna i dobór ilustracji:

Joanna Nowostawska-Gyalókey

Opracowanie redakcyjne: Ewa Ślusarczyk

Korekta: Aleksandra Kleczka, Ewa Ślusarczyk

Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska

Projekt graficzny, skład i łamanie, przygotowanie zdjęć do druku:

Maciej Grochot

Współpraca: Katarzyna Barańska, Paulina Kasprzycka,

Joanna Warchoł

Na okładce: Sygnał na nartostradzie w Tatrach, aut. fot. nieznanne,
1920–1938. NAC, sygn. 1-S-1523-5, domena publiczna.

Na 4. stronie okładki: Gaja Grzegorzewska, fot. J. Nowostawska-
Gyalókey, 2025. MIK

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego organizuje Małopolski Instytut Kultury w Krakowie. To instytucja samorządowa Województwa Małopolskiego. Jej celem jest wspieranie rozwoju sektora kultury w regionie. MIK realizuje długofalowe projekty badawcze i analizuje procesy zachodzące w kulturze. Zajmuje się też działalnością szkoleniową i edukacyjną. Ponadto promuje i upowszechnia wiedzę o dziedzictwie regionu, zachęca również do aktywnego uczestnictwa w kulturze.

ISBN 978-83-67862-39-4

© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2026

Publikacja powstała w ramach 28. Małopolskich Dni
Dziedzictwa Kulturowego.

www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 3000 egz.

Druk: Drukarnia Leyko

GAJA GRZEGORZEWSKA
TO ZNAK!

SPIS TREŚCI

TO ZNAK! Wprowadzenie	11
ZNAK Z OKNA Dworek Beaty Matejkówny-Kirchmayerowej w Krakowie-Dębnikach	21
ŚNIEG W LIPCU Kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Rzepienniku Biskupim	57
ŻYCIE Z NAS DRWI Dwór w Rzepienniku Biskupim	75
WARSTWY Kościół pw. św. Jana Chrzciciela w Rzepienniku Biskupim	97
METODA LOCI – PAŁAC PAMIĘCI Pałac Spiski w Krakowie	113
DJABELSKA MASZYNA Muzeum Drukarstwa w Nowym Targu	143
CUD Chałupa Anny Doruli w Szaflarach	163
Podziękowania	184
Wybrana bibliografia	186
Źródła ilustracji	189

Szanowni Państwo!

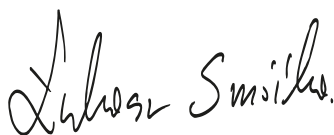
Zgodnie z hasłem tegorocznych Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego „To znak!” zapraszam do wspólnego odkrywania naszego regionu przez pryzmat tego, co wymaga rozszyfrowania: symboli i znaków – wydrukowanych, namalowanych i odcisniętych w starych murach. Już po raz dwudziesty ósmy organizatorzy największego święta małopolskich zabytków zabiorą Państwa do niedostępnych na co dzień miejsc.

Zobaczą Państwo aż trzy zabytki w Rzepienniku Biskupim, każdy o odmiennym charakterze. W tej wsi położonej na Pogórzu Ciężkowickim działał Jan Bulas, młodopolski artysta chłopskiego pochodzenia, uczeń mistrza Wyspiańskiego. Jego kwiatowe malowidła wypełniają miejscowy Kościół pw. Wniebowzięcia NMP, a także stojący tuż obok, niedawno wyremontowany prywatny dwór otoczony pięknym parkiem. Nie mniej urokliwy jest położony nieopodal niewielki drewniany Kościół pw. św. Jana Chrzciciela.

Na Podhalu otworzą się dla Państwa dwa niezwykle ciekawe miejsca: nowotarskie Muzeum Drukarstwa, w którym będzie można zobaczyć oryginalną drukarską maszynę z połowy XIX wieku. W pobliskich Szaflarach organizatorzy udostępnią do zwiedzania prywatną Chałupę Anny Doruli.

W programie Dni Dziedzictwa nie może zabraknąć stolicy Małopolski – Krakowa. Organizatorzy pokażą nieco mniej znaną krakowską dzielnicę Dębniki z dworkiem należącym niegdyś do córki Jana Matejki, Beaty Kirchmayerowej, dawną fabrykę ceramiki i inne miejsca będące świadkami historii. Na koniec warto się udać na Rynek Główny, gdzie swoje tajemnice odsłoni kolejny z pałaców na Starym Mieście, które co roku można poznawać dzięki Dniom Dziedzictwa – tym razem Pałac Spiski.

Niech ta publikacja wprowadzi Państwa w nastrój podróży po Małopolsce – i podróży w czasie!



Łukasz Smółka
Marszałek Województwa Małopolskiego

Szanowni Państwo!

Wszyscy jesteśmy twórcami znaków. Zamykamy w nich emocje, opowieści i komunikaty. Posługujemy się powszechnie zrozumiałym językiem, ale często stwarzamy też nowe znaki, szczególnie wtedy, gdy trudno nam nazwać to, co chcemy przekazać. Z tego pragnienia wyrażania siebie i dzielenia się powstają kultura i sztuka.

W naturze ludzkiej leży też ciągłe poszukiwanie znaczenia. Nie tylko dlatego, że jesteśmy odkrywcami spragnionymi wiedzy. Taże po to, by wyjaśnić coś, czego się obawiamy, by czuć się bezpiecznie. Zdarza się nawet, że widzimy znaki tam, gdzie ich nie ma.

Droga pomiędzy tworzeniem znaku a poszukiwaniem jego znaczenia jest drogą między mną a drugim człowiekiem. Aby dobrze się na niej poruszać, musimy poznawać języki i środki wyrazu, wzmacniać zdolność krytycznego myślenia. Konieczne także zadbać o umiejętność rozmowy i opowiadania.

To wszystko oferują nam Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego, wskazując miejsca, czas i narzędzia do odkrywania znaczeń pozostawionych nam w małopolskiej kulturze. Podczas wydarzenia będziemy podziwiać, czytać i interpretować znaki zapisane przez artystów, architektów, rzemieślników – ludzi, którzy żyli tu przed nami. Z ich głosów wspólnie zbudujemy opowieść.

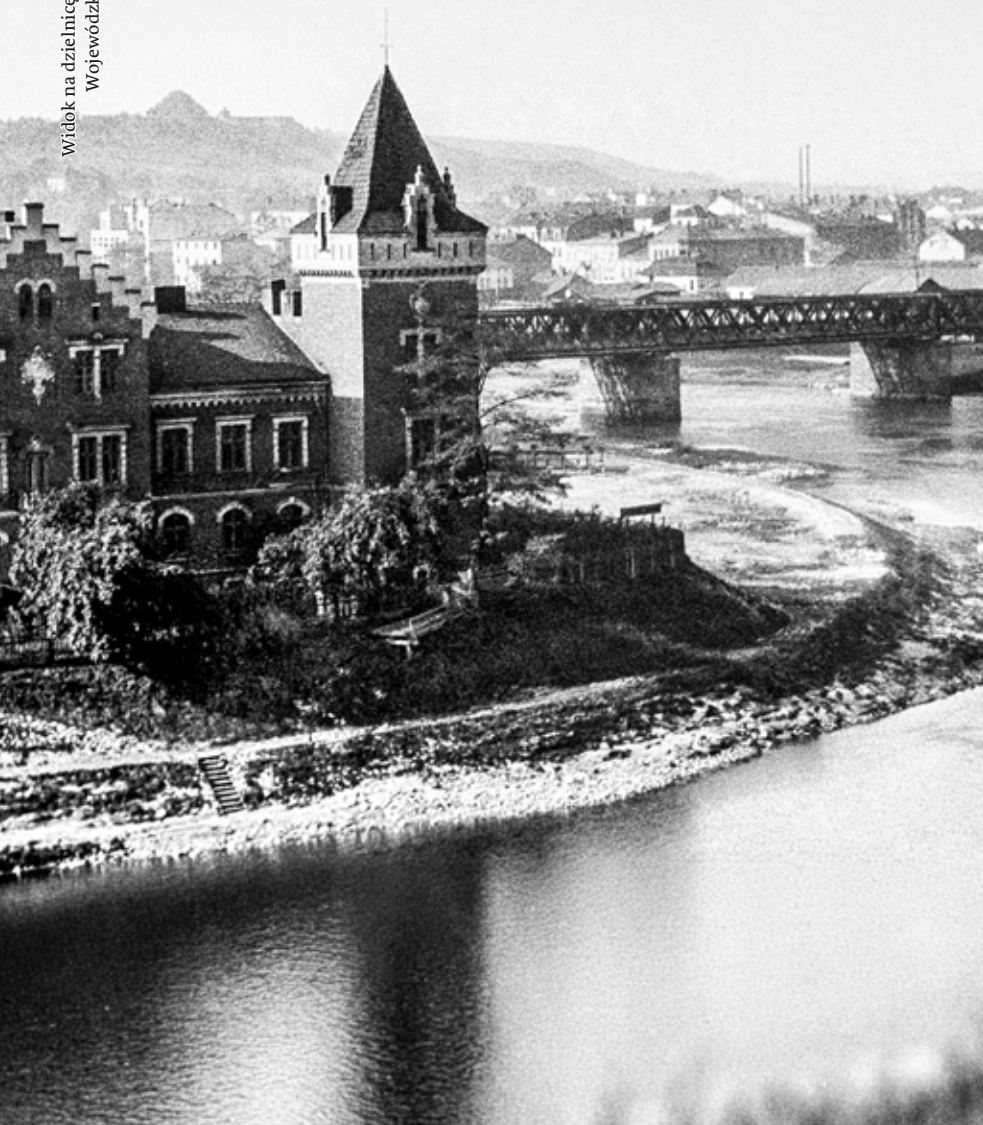
Dlatego, razem z zespołem Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego, zapraszam Państwa na spotkanie z małopolską historią i dziedzictwem. Niech odkrywanie ich znaczenia nadaje sens naszej wspólnoty. Niech pozwoli nam być odkrywcami i twórcami, budowniczymi relacji, których każdy z nas dziś bardzo potrzebuje.

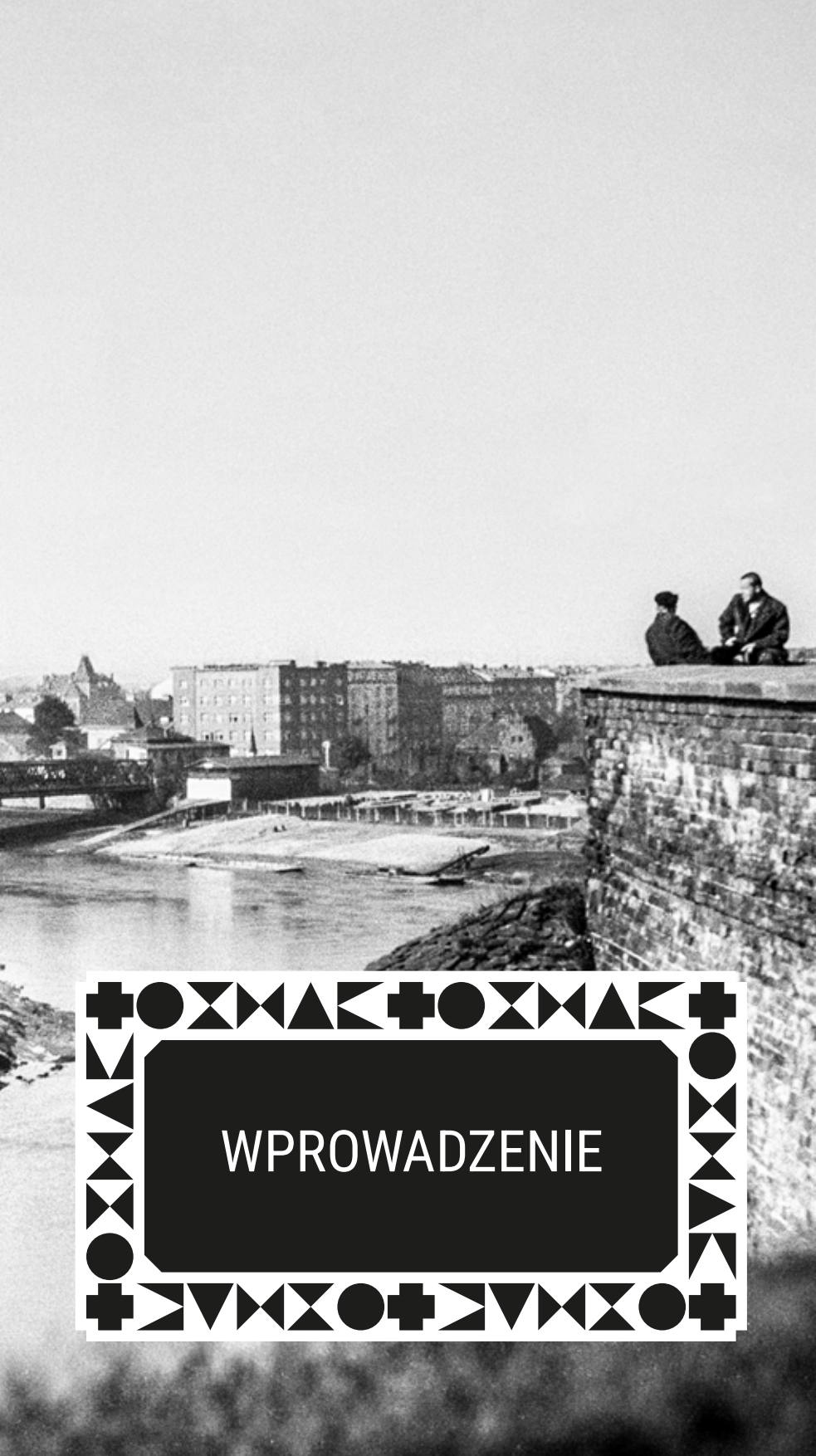
Tomasz Włodarski

Tomasz Włodarski

Dyrektor Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie

Widok na dzielnicę Dębiki w Krakowie. Na pierwszym planie dziś nieistniejący Dom
Wojewódzkiego Urzędu Budowy Dróg Wodnych i w głębi Most Dębicki, 1937





WPROWADZENIE

Nasz dziadek umarł w cieniu organów Hasióra tej letniej nocy, gdy zagrały po raz pierwszy i ostatni. Halny uruchomił stalowe zęby i poniosł dźwięki na siodle przełęczy przez Gorce, może nawet do samego Krakowa. Do ukochanych dziadkowych Dębni, tej wyspy pośrodku miasta, której czas nie pożerał tak łapczywie jak innych dzielnic, a jedynie subtelnie podgryzał, tak jak opływająca tę wyspę Wisła podjadała jej brzegi.

Słuchaliśmy tej muzyki, siedząc w wilgotnej od rosy trawie na zboczu wzniesienia. Ja i brat wciąż podekscytowani ostatnią przygodą, a pomiędzy nami bardzo zmęczony dziadek. Gdy melodia ucichła, zrozumieliśmy, że była to pieśń żałobna. Organy dziękowały dziadkowi w imieniu wszystkich wytworów ludzkich rąk, które udało mu się ocalić, chociaż niekiedy jedynie od zapomnienia. Dla tego starego dziwaka zawsze ważniejsze było dzieło od twórcy i wyżej cenił budynek niż ludzi, którzy w nim mieszkali.

Nasza rozpacz nad ciałem dziadka nie trwała długo. Bo on nie odszedł tak zupełnie, nadal był tam z nami, chociaż tylko duchem. Podobny do poruszającego się w ciemności cienia. Jego głos docierał z daleka, ale ton był ironiczny, a słowa krytyczne, zupełnie jak za życia.

Wróciliśmy do Krakowa przekonani, że wszystko zostanie po staremu. Dziadek będzie nas nadal uczył fachu, do którego zostaliśmy powołani, i będzie nam pomagał przy kolejnych zleceniach, tyle że jako byt nadprzyrodzony.

Gdy zjechaliśmy z Monte Cassino w Skwerową, w jednej chwili pogasły wszystkie latarnie, anonsując rychłe nadejście świtu. Ale noc wcale nie ustępowała. Dzielnica tonęła w dziewiętnastowiecznych ciemnościach, jak wtedy, gdy była spokojną wioską rybacką, w której wśród pól i stawów stały jedynie sześćdziesiąt dwa domy. Ulice, którymi toczyliśmy się z trudem, przypominały ocienione starodrzewem wąwozy. Z Bałuckiego wjechaliśmy na Rynek Dębnicki, tak pusty jak w latach siedemdziesiątych, gdy wieczorami grano tu w piłkę, a nocami hulał tylko wiatr, zamiatając liście i śmieci. Skręciliśmy w Tyniecką i zatrzymaliśmy się kawałek dalej, pod zamkniętą bramą wjazdową numeru 7.

– Mógłby istnieć taki komiksowy superbohater – kontynuował z ożywieniem Gabs, gdy wysiadaliśmy. – Duch Dziadka! Dziadek Duch? Dziaduch!

– Strasznie czerstwe to superbohaterskie pseudo – stwierdziłam.

– Bo to byłby czerstwy komiks dla kujonów – wyjaśnił Gabs.

Spojrzałam w górę. O tej porze roku wyższe piętra Willi pod Minerwą chowały się w koronach drzew. Z poziomu chodnika nie było widać półkolistego tympanonu z płaskorzeźbą przedstawiającą godło domu. Rzymską boginię rzemiosła i sztuki – Minerwę – dziadek uważał za swoją patronkę. Cztery białe kolumny podpierające ukryty w gęstwinie taras wyglądały jak nogi olbrzymów, strażników pilnujących schowanej w głębokim portyku bramy. Wejście miało być tymczasowe, ale ostatecznie stało się głównym, mimo że było ciasne i mało reprezentacyjne. Teraz jednak wydało mi się masywne i okazałe.

W tych ciemnościach miałam problem ze znalezieniem właściwego klucza. Przez głowę przemknęła mi nawet absurdalna myśl, że pod naszą nieobecność zmieniono zamki. W końcu poczułam, jak mechanizm ustępuje i klucz obraca się w zamku z głośnym szczękiem, który poniósł się echem po ulicy. Nie zapalaliśmy światła i nie zamieniliśmy już ani słowa. Każde udało się do swojego pokoju. Od razu wczołgałam się pod kołdrę. Byłam już niemal po drugiej stronie, gdy nagła myśl zapaliła lampkę w mojej głowie: „Zła perspektywa”. Problemem nie był klucz niepasujący do zamka w bramie. Tylko brama, która nie znajdowała się już poniżej poziomu ulicy, lecz była z nim równa. Tak jak być powinno. Portyk odzyskał proporcje, kolumny nie grzęzły zatopione w chodniku, znowu miały swoje bazy.

Rano wejście wróciło do stanu obecnej dysproporcji powstałej pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy kładziono nową nawierzchnię i poziom ulicy Tynieckiej podniósł się o ponad pół metra. Nocne odkrycie zachowałam dla siebie, bo teraz nie byłam już taka pewna, czy to był znak od dziadka czy tylko sen.

Nasi rodzice byli zaniepokojeni tym, jak lekko przyjęliśmy śmierć dziadka. Sądziли chyba, że nasza żałoba utknęła w fazie zaprzeczania. Nie było sensu im tłumaczyć, że to *Non omnis moriar* wykute na nagrobku należy traktować bardzo dosłownie.

A my czekaliśmy na znak. Na początku spokojnie. Ale jakiś tydzień po pogrzebie zrobiliśmy się odrobinę niecierpliwi. Prawdziwy niepokój pojawił się po miesiącu. Wypieraliśmy go, wściekając się na dziadka i to jego typowe, lekceważące nas zachowanie. Równocześnie szukaliśmy w tym potwierdzenia, że nic się nie zmieniło: za życia też tak zniknął, a potem wrócił.

– Myślałam, że po śmierci zrobi się jakiś bardziej do życia – oznajmiłam po naszej rozczarowującej próbie nawiązania kontaktu w Noc Duchów.

Na pomysł urządzenia seansu spirytystycznego wpadliśmy, szukając wskazówek w ponurych opowieściach, które dziadek serwował nam zamiast bajek. Nasz rytuał odwzorowaliśmy na podstawie tego z historii o Pałacu Pusłowskich. Według historycznych źródeł tamte seanse zasłynęły głównie z tego, że były nieudane, ale dziadek zostawił tę kwestię otwartą. I tego się uchwyciliśmy.

Może błędem było robienie tego w domu. Historia Willi pod Minerwą sięga XVII wieku, jest więc gęsta i tłoczna. Z początku jednak wybór miejsca wydawał się nam więcej niż sensowny. Willa znajdowała się w obrębie trójkąta, który utworzyły ulice Skwerowa, Tyniecka i Bałuckiego. Jako dzieci, gdy nie mogliśmy czegoś znaleźć, mówiliśmy, że pochłonął to Trójkąt Bałucki. A teraz żywiliśmy głupią i niczym nieuzasadnioną nadzieję, że może dla równowagi za te wszystkie wchłonięte zabawki, skarpetki i zadania domowe trójkąt odda nam dziadka. Wypluże go ze swoich trzewi jak w klasycznym horrorze z animatronicznymi efektami.

Seans odbył się na poddaszu, w pokoju zwanym wieżą, tam, gdzie w czasie wojny ukrywała się doktor Ada Markowa-Rutkowska. Z braku lepszych kandydatur to mnie przypadła rola medium. Gdy po zgaszeniu światła zasiadłam przy okrągłym stoliku, na którym płonęły znicze z supermarketu, poczułam się jako niezręcznie. Wyobraziłam sobie dziadka, który spogląda na nas i wzdycha: „Nadal nic nie rozumiecie”.

Więc przyjdź i nam wytłumacz!

Zawodziłam, mruczałam i charczałam, naśladując oszustkę z Pałacu Pusłowskich. Co ciekawe, nikt nie chichotał ani nie drwił

(pomijając dziadka w mojej głowie). Wszyscy szeptali ułożone przez nas inkantacje. Rytm nadawały krople plaskające o dach. Spadały coraz gęściej i głośniejsze, narzucając tempo, za którym trudno było nadążyć. I nagle chaotyczna kakofonia przerodziła się w rytmiczne bębnienie, które zabrzmiało jak werble. Teraz, pomyślałam. Przyjdź, duchu willi!

I wtedy usłyszałam nowy dźwięk. Był stłumiony i odległy, ale wcale nie brzmiał jak odpowiedź z zaświatów. Wydawał się bardzo przyziemny.

– Cicho! – zawołałam, a gdy wszyscy zamilkli, przerwałam krąg i dodałam półszepem: – Ktoś jest na dole!

– Dom miał być pusty – zauważył z wyrzutem jeden z uczestników.

– Owszem. Ale najwyraźniej nie jest – odparłam.

– Może to dziadek – ucieszył się Gabs. – Wrócił nas pouczyć, że nie tak duchy przywoływano za czasów słynnego spirytysty Ossowieckiego. Idziemy sprawdzić?

– Chodźmy – powiedziałam, wstając. Innych chętnych nie było.

Drugie piętro zastaliśmy pogrążone w głębokim śnie odmierzanym przez tykanie zegara, któremu wtórowało ciche pochrapywanie zza ściany. Źródło hałasu, który wywabił nas z poddasza, musiało znajdować się niżej. Znowu to usłyszeliśmy. Szuranie, stukoty, szepty.

Poruszaliśmy się jak ślepcy po torze z przeszkodami. Ciemność w holu wydała mi się zbyt gęsta, jakby smukłe tarasowe okna, które były wizytówką willi, zasłonięto grubymi kotarami. Dopiero po chwili, gdy moje oczy przywykły już do mroku, zobaczyłam trzy nieco jaśniejsze prostokąty, sięgające od półpiętra do szczytu. Nie dojrzałam jednak światła miasta. Ciemność na zewnątrz niemal zlewała się z tą w środku. Trafiłam stopą na krawędź i odruchowo złapałam się szerokiej drewnianej poręczy nad ażurową balustradą. Setki razy polerowaliśmy jej powierzchnię tyłkami podczas zabawy w strażaków. Znajomy kształt dodał mi otuchy w tym domu, który wydawał się coraz bardziej obcy. Trzymałam się poręczy kurczowo, aż dotarłam do masywnego słupka u podnóża schodów.

Niepokojące dźwięki dobiegały zza drzwi, spod których sączyła się wąska smuga światła. Rozprasała ciemność na tyle, że mogłam zweryfikować swoje podejrzenia. Nie myliłam się: trochę lat ubyło, odkąd byliśmy tu ostatnio, czyli przed seansem. Chciałam zapytać Gabsa, czy też to zauważył, ale wtedy ktoś po drugiej stronie podniósł głos, warcząc z gniewem:

– Gdzie są pieniądze barona!

Natarczywe szepty zagłuszył krzyk rozdieranego materiału.

– To chyba jest włamanie – zauważył Gabs tonem małego odkrywcy.

– Tak, geniuszu – mruknęłam najciszej jak umiałam. – Z kwietnia 1942 roku.

– A, no tak, to wiele wyjaśnia. Ale nie pamiętam...

– Bo nie było cię przy tym – cedziłam przez zęby. – Pamiętasz, jak wpadłeś do krypty pod kościołem w Rzepienniku i musieli ci zagipsować girę?

– No raczej.

– Czekaliśmy z dziadkiem, aż skończą. Opowiedział mi tę historię, żebym się nie nudziła.

– Brał w niej udział? Czyli jest tu gdzieś? Zaprosił nas tutaj? – podekscytował się Gabs, na moje ucho nieco zbyt głośno. Zaczął się też z zapałem rozglądać, jakby oczekiwał, że zaraz z któregoś kąta, klaszcząc, wyjdzie dziadek, żeby nam pogratulować znakomitej orientacji czasoprzestrzennej.

– Nie wiem. Nie jestem dziadkiem. Z tego, co pamiętam, złodzieje pójdą do biblioteki, a tam włączą się alarm.

Zbudzony nim Stefan Komornicki stawia napastnikom opór uzbrojony jedynie w laskę, gdyż jego rewolwer dwa lata wcześniej skonfiskowało gestapo. Zostanie trzykrotnie postrzelony w pierś i umrze dwa dni później. Jego sypialnia mieściła się piętro wyżej, dokładnie nad pokojem, w którym znajdowali się włamywacze i właśnie w tym momencie próbowali wyciągnąć informacje od jego syna. Co zatem powinniśmy zrobić? Dlaczego dziadek opowiedział mi wtedy akurat tę historię? A tak. Spytałam go, czy Gabsa uspią chloroformem jak na filmach, i czy się potem obudzi. Dziadek wyjaśnił mi działanie chloroformu na przykładzie włamania, które miało miejsce w czasie drugiej wojny światowej w Willi Minerwa. Najpierw

uśpiono nim służbę na parterze. Lecz te lotry nie wahały się użyć chloroformu również wobec trzytygodniowego niemowlaka. Pamiętam, że poruszyło mnie to do łez i bałam się spytać, czy ten mały Krzys przeżył. Okazało się, że gdy bandyci uciekli, jego ciotka pobiegła po doktora, więc szybko dostał pomoc. W dodatku nadal żyje i zajmuje się ochroną przyrody. Jedyną ofiarą śmiertelną napadu był Stefan... A co, gdyby obudził się nieco wcześniej, zanim włamywacze włączą alarm w bibliotecę?

– Chodź, obudzimy Stefana. – Szarpnęłam brata za ramię.

– Jakiego znowu... – urwał nagle i oboje zamarliśmy.

Dźwięki za drzwiami ustały. Czyżby nas usłyszeli? Mieli broń. Czy tu obowiązują zasady podobne do tych w Matrixie? Jeśli zginiemy w przeszłości, to umrzemy również w terażniejszości? Była to jedna z tych spraw, których dziadek nie zdążył nam wyjaśnić. Rozległy się kroki.

– Idą, schowajmy się – zarządziłam.

Wciśnięci w kącie pod schodami obserwowaliśmy ciemne sylwetki. Zaraz wejdą do biblioteki i bieg zdarzeń ruszy ustalonym torem. Tyle że oni nie weszli do biblioteki. Zaczęli się wspinać po schodach. Skoro wiedzieli, w którym oknie na parterze wyciąć kraty, aby ominąć alarm, to może wiedzieli również o tym w bibliotecę? Dlatego zamiast szukać kosztowności samodzielnie zamierzali przesłuchiwać domowników aż do skutku. Ten dom był pełen pogrążonych we śnie, nieświadomych zagrożenia ludzi, którzy powinni się jak najszybciej obudzić. Ale jak mieli to zrobić, skoro nie uruchomiono alarmu.

Nagle wszystkie rozbiegane myśli, dziurawe wspomnienia oraz historie i komentarze dziadka ułożyły się w logiczny ciąg. Przeszłość jest ustalona i utrwalona. I korekta również jest już w nią wpisana. Ale jest tym elementem historii, którego nie utrwaliły źródła. A co, jeśli się jednak mylę? Nie. Dosyć. Czas na burzę mózgową się skończył. Trąciłam Gabsa w bok i wycedziłam:

– Mam instrukcje od dziadka. Rób, co mówię. Biegiem! Do biblioteki.

Ledwo wbiegliśmy do biblioteki, ciszę rozdarł alarm. Wpadłam z rozpędu na fortepian, który zaprotestował, zatraskując pokrywę i niemal odgryzając mi palce. Odbiłam się od gzymsu kominka, z którego pospadały z łoskotem jakieś lichtarze.

Słyszałam, jak Gabs przesuwa stół i przewraca krzesła. I bardzo dobrze. Im głośniejsze, tym lepiej. Odetchnęłam z ulgą, ale zaraz potem zatkałam uszy, aby wytłumić huk tych trzech nieuchronnych wystrzałów, które doprowadziły do śmierci Stefana.

Wbiegłam do jadalni, a stamtąd na taras i do ogrodu na tyłach domu. Zacisnęłam powieki oślepiąca błyskami fleszy. Zamiast lamentu rozległy się wiwaty i toasty. Otworzyłam oczy w ciepły czerwcowy dzień. Obok zataczał się Gabs, osłaniając dłońmi twarz przed słońcem i posykując, niczym wampir, który wylazł z krypty w samo południe.

Kawałek dalej stała grupa odświętnie ubranych ludzi. Na szczęście byli odwróceny do nas tyłem i skupieni na tym, co mieli przed sobą. Wśród rozmów i śmiechów ustawiali się do zbiorowej fotografii ślubnej. Widziałam tę fotografię i nas z pewnością nie uwzględniła.

– Wynośmy się stąd! Tamtędy! – rzuciłam do brata, który mrugał zażawionymi oczami.

Pomiędzy drzewami stał domek ogrodnika, którego jeszcze chwilę wcześniej tu nie było. Planowaliśmy wydostać się z Trójkąta Bałuckiego naszym starym skrótem przez szkolny parking. W prawo, w lewo, znowu w prawo i na ulicę Skwerową. A potem na przełaj w kierunku Zagrody. Na przeszkodzie stanął nam jednak potężny mur zwieńczony drutem kolczastym. Pod murem rozstawiono stoliki i krzesła. Tym razem wbiliśmy na jakieś garden party. Cztery osoby spoglądały co prawda w stronę fotografa, ale ta piąta patrzyła prosto na nas. Z bardzo wyraźną dezaprobatą. Wycofaliśmy się jak niepyszni między drzewa i odbiliśmy w prawo.

Po przejściu zaledwie kilkunastu metrów zatrzymaliśmy się zdezorientowani. Przed nami rozciągało się rozległe puste pole, na widok którego każdy deweloper rozplakałby się ze szczęścia. I już planował, jak osuszyć te stawy połyskujące w słońcu tam, gdzie według moich obliczeń powinna się znajdować ulica Skwerowa, nasz dębnicki falowiec i podstawówka, do której byliśmy zmuszeni uczęszczać.

– Gdzie my jesteśmy, do cholery? – spytał poirytowany Gabs.

– Zadałeś niewłaściwe pytanie, Gabrieliu – powiedziałam, naśladowując styl i ton dziadka. Dla podkreślenia wagi słów wycelowałam

w niego wskazujący palec, czarny od sadzy, którą miałam uwalane ręce aż po łokcie. – Powinieneś spytać...

– Gdzie grzebałaś tymi łapami?

– W kominku.

– Kiedy? – zdziwił się. – I po co?

– No właśnie! Kiedy! Pytanie, które powinieneś zadać, brzmi: Kiedy jesteśmy?

To pytanie po raz pierwszy padło w powieści *Koniec wieczności* Asimova. Ale nasz dziadek zadawał je sobie dużo wcześniej. Dla niego pytania gdzie i kiedy tworzyły nierozzerwalną całość. Gdy znał odpowiedź na pierwsze z nich, szukał wskazówek prowadzących do odpowiedzi na to drugie. Czytał z budynków i ludzi, z kształtu rzecznej koryta albo ilości dzikiego wina na murach. Tak jak inni czytają z mapy albo znaków drogowych.

– A kiedy jesteśmy? – spytał Gabs.

– Około 1925 – zawołałam, przekrzykując terkot samolotu nad naszymi głowami. Niewykluczone, że to z jego pokładu zrobiono zdjęcie, dzięki któremu rozpoznałam znaki pomocne przy datowaniu.

Ulica Marii Konopnickiej widziana z Mostu Dębnickiego, w głębi po lewej wjazd do dawnego dworca Beaty Matejkówny-Kirchmayerowej, 1943





ZNAK Z OKNA
Dworek Beaty
Matejkówny-Kirchmayerowej
w Krakowie-Dębnikach



Mam takie jedno odległe i mgliste wspomnienie, które teraz do mnie wraca i nabiera ostrości. Jak stary film puszczone z rzutnika, który po kilku pierwszych, porysowanych klatkach zaczyna płynąć gładko.

Są późne lata osiemdziesiąte. Dziadek po raz pierwszy prowadzi nas do przedszkola. Kroczy pomiędzy nami, trzymając nas za ręce. Ja i Gabs usiłujemy za nim nadążyć. Idzie za szybko, jakby nie zauważał, że na jeden jego krok przypadają trzy nasze, albo jakby w ogóle o nas zapomniał.

Wrześniowy dzień jest zimny, niebo szare. A przedszkole mi się nie podoba. Stoi w zaniedbanym ogrodzie wśród żółknących drzew, pod którymi ściele się dywan z przegniłych zeszlorocznych liści. Sam budynek jest niski, długi i ponury jak z ziarnistej czarno-białej fotografii. Emanuje tym rodzajem smętnej ciszy, na którą pracują lata porzucenia. Przygląda się nam ciemnymi, pustymi oknami. Przypomina zdychające z głodu zwierzę, które już nie ma siły polować. I wcale nie musi, bo sami pchamy się prosto do jego paszczy. A poza nami nie ma tu innych dzieci do pożarcia. Wszystkie zostały już dawno temu strawione.

↑ Dworek po tym, jak mieszczący się w nim żłobek został zamknięty, widok od strony ogrodu, 1988



Dziadek przystaje, więc my też się zatrzymujemy. Puszczam nasze dłonie, żeby przetrzeć okulary wykrochmaloną chusteczką w kratkę. Zakłada je i spogląda na budynek.

– Oto doskonały przykład dawnej willowo-dworkowej zabudowy podmiejskiej wsi Dębniki – mówi, chyba nawet nie do nas, tylko ot tak.

Gdyby to zdanie padło z ust kogoś innego, to bym mu zaraz odparowała, że chyba porządnego dworku na oczy nie widział, ale skoro twierdzi tak dziadek, to krytykę ograniczam do minimum i oznajmiam:

- Nie podoba mi się ten przybytek.
- Dziś przybytek, jutro zabytek – odpowiada dziadek i odnoszę wrażenie, że ta perspektywa poprawia mu humor.
- Jak to? – pyta Gabs.
- Państwowy Urząd Ochrony Zabytków podejmie taką decyzję.
- Jutro?
- Nie dosłownie, Gabrielu.

Dziadek zawsze mówi zagadkami. Jednak „Państwowy Urząd” brzmi poważnie, więc z całych sił próbuję spojrzeć na budynek

łaskawszym okiem. Może jakby odmalować fasadę na jakiś jasny kolor, powstawić okna zamiast dykt, naprawić dach, to coś by z tego było. Jak w tym brązowym powiedzeniu dziadka: „Nie ma brzydkich zabytków, są tylko zabytki zaniedbane”. Najwidoczniej to jest jeden z nich. Od frontu proporcje ma całkiem ładne. Symetryczne. Podobno symetria to estetyka głupców, ale mnie uspokaja, jak przedziałek na środku głowy.

Z każdym krokiem, który przybliży nas do głównego wejścia, dworek robi coraz przyjemniejsze wrażenie. Tak jakby łagodniejsze spojrzenie ujęło mu lat. Nie odmłodził może do stanu pierwotnego, z czasów Beaty Kirchmayerowej, ale z ćwiartkę wieku to mu ubyło.

Wchodzimy na ganek po schodkach. Liczę je na głos, chcę się pochwalić przed dziadkiem, chociaż to wyzwanie znacznie poniżej moich możliwości. Umiem policzyć do stu, ale tyle do liczenia tu nie ma. Gabs potrafi tylko do dziesięciu i pewnie dlatego mnie przedrzeźnia.

Ja mówię:

– Raz.

On na to:

– Zraz.

– Dwa.



- Sra.
- Dziadku! On powiedział sra!
- Też powiedziałaś sra!
- Prawem cytatu!
- Cytatu!
- Dziadku!

Na ganku kopujemy się za plecami dziadka, który nareszcie sobie o nas przypomina i robi krótki wykład na temat tego, czym jest prawo cytatu. Wychodzi na to, że coś pomieszałam.

– Dziadku, ja mam pięć lat – wyjaśniam urażona. – Powinieneś się cieszyć, że potrafię zrachować do stu schodków.

– Stopni. Stu stopni – poprawia dziadek.

Uśmiecha się wyrozumiale i klepie mnie z pobłażaniem po głowie, trochę tak jak się klepie psa, przez co ta idiotyczna kokarda, wielka jak uszy słonia, zsuwa mi się z włosów, a ja korzystam z okazji i wpycham ją do kieszeni sweterka, licząc na to, że uda mi się ją w ciągu dnia skutecznie zgubić.

Gdy dziadek naciska kłamkę dwuskrzydłowych drzwi, efekt jest jak po otwarciu dźwiękoszczelnej śluzy. Ze środka uderza w nas przeraźliwy harmider, piskliwy, wielogłosowy jazgot, któremu towarzyszy szuranie, tupanie, trzaskanie. Taki rejwach są w stanie urządzić tylko dwa rodzaje istot zamieszkujących tę planetę: ptasia ciżba uczująca w karmniku oraz przedszkolna dziatwa zgromadzona w zamkniętej przestrzeni. Nie jest to karmnik, ale jeść dostaniemy, i to na pewno coś ohydneho, sądząc po zapachu gotowanego mleka unoszącym się w holu.

Z pierwszego dnia przedszkolu pamiętam niewiele poza samotnym kręceniem się na zardzewiałej karuzeli. Przebieram nogami po wydeptanym okręgu niczym Conan Barbarzyńca pojmany w niewolę za dzieciaka i zastanawiam się, czy jak dziadek przyjdzie nas uwolnić, będę tak samo stara i tak samo wielka jak Conan, gdy już zszedł ze swojej karuzeli.

Wieczorem ukryci za balustradą na schodach podstuchujemy z Gabsem, jak mama robi dziadkowi karczemną awanturę o to, że zaprowadził nas do niewłaściwego przedszkola.

– A co, jeśli nadeszłaby powódź? Ładowałiby piasek na ciężarówce, żeby ratować Most Dębnicki?



Moim zdaniem mama za bardzo dramatyzuje. Dziadek widocznie też tak uważa, bo wzdycha i próbuje ją uspokoić, mówiąc żartobliwym tonem:

– Ależ moja droga, wtedy bym ich nie mógł zostawić. Nie przyjęliby ich przecież do żłobka.

Żart dziadka ma chyba jeszcze mniej sensu niż zarzuty mamy. Jest równie nieśmieszny, jak ten kawał Gabsa, na który dałam się złapać: „Powiedz kropka. Twój tata chodzi do żłobka”. Powiedziałam mu, że jest durniem, bo mój tata jest również jego tatą, ale on tylko rechotał. Wygląda na to, że mama nie lubi takich żartów jeszcze bardziej.

– To nie jest zabawne. To skrajna nieodpowiedzialność!

A potem mama wytacza naprawdę ciężkie działa. Wśród niebezpieczeństw, na jakie naraził nas dziadek, wymienia takie okropności, jak wybuch wojny, latające po dzielnicy kawałki wysadzonego w powietrze mostu i czerwonoarmistów strzelających na oślep...

– Dobra, dobra, już pamiętam – przerwał mi Gabs. – Mam tylko takie pytanko. Jak te wspominki mają nam niby pomóc wrócić do domu?

– Właściwie to jesteśmy w domu – zauważyłam, bo zasadniczo tak było.

Znajdowaliśmy się w ogrodzie na tyłach Willi pod Minerwą. Problem polegał na tym, że naszą próbą wywołania ducha dziadka osiągnęliśmy efekt tak odmienny od oczekiwanego, jakby nasze życzenie realizował podstępny džinn z Wishmastera. Duch nie raczył się ukazać, za to my przeniknęliśmy do przeszłości. Niestety nie była to przeszłość dziadka, tylko samej willi. Po kilku godzinach błakania musieliśmy przyznać, że nie potrafimy opuścić granic posiadłości i nie wiemy, jak wrócić do współczesności. Utknęliśmy w czerwcu 1940 roku. Późne popołudnie zmierzało już w stronę wieczoru, a my siedzieliśmy ukryci w cieniu, pomiędzy drzewami a domkiem ogrodnika. Już nie szukając nawet tajemniczych znaków, które doprowadzą nas do dziadka, tylko prostych strzałek ewakuacyjnych kierujących do wyjścia z tej sytuacji.

– Dobra. – Gabs przewrócił oczami i dodał przedrzeźniającym tonem złośliwego przedszkolaka: – To nie jest nasza czasoprestrzeń!

– Właściwie to jest i nie jest...

– Zaraz wyrwę kępę trawy i wsadzę ci do gęby. Wiesz, jak wrócić do 2004, czy nie?

– Wydaje mi się, że znalazłam wskazówkę w tym wspomnieniu o przedszkolu na Powroźniczej. Dziadek powiedział do mamy: „WTEDY bym ich nie mógł zostawić, bo nie przyjęliby ich do żłobka”. Wtedy.

– Kiedy?

– A w trakcie której powodzi dociążano Most Dębnicki ciężarówkami z piaskiem?

– Czy możesz normalnie wyjaśnić, o co chodzi, bez budowania suspenseu à la wczesny Poirot w ostatnim rozdziale *Zbrodni za domkiem ogrodnika*?

– Dobra. W 1970 i 1972. A wtedy w dworku przy Powroźniczej od dawna nie było przedszkola, tylko żłobek. A my byliśmy za duzi na żłobek. Na tym opierał się żart dziadka. Swoją drogą nadal mało zabawny. Rodzice zawsze byli źle nastawieni do przenikania przez czas. Bali się, ponieważ przeszłość jest pełna konkretnej grozy. Dotyczy to również historii Dębnik. Mamie nie chodziło o to, dokąd dziadek nas zaprowadził, tylko o to, kiedy nas zostawił.



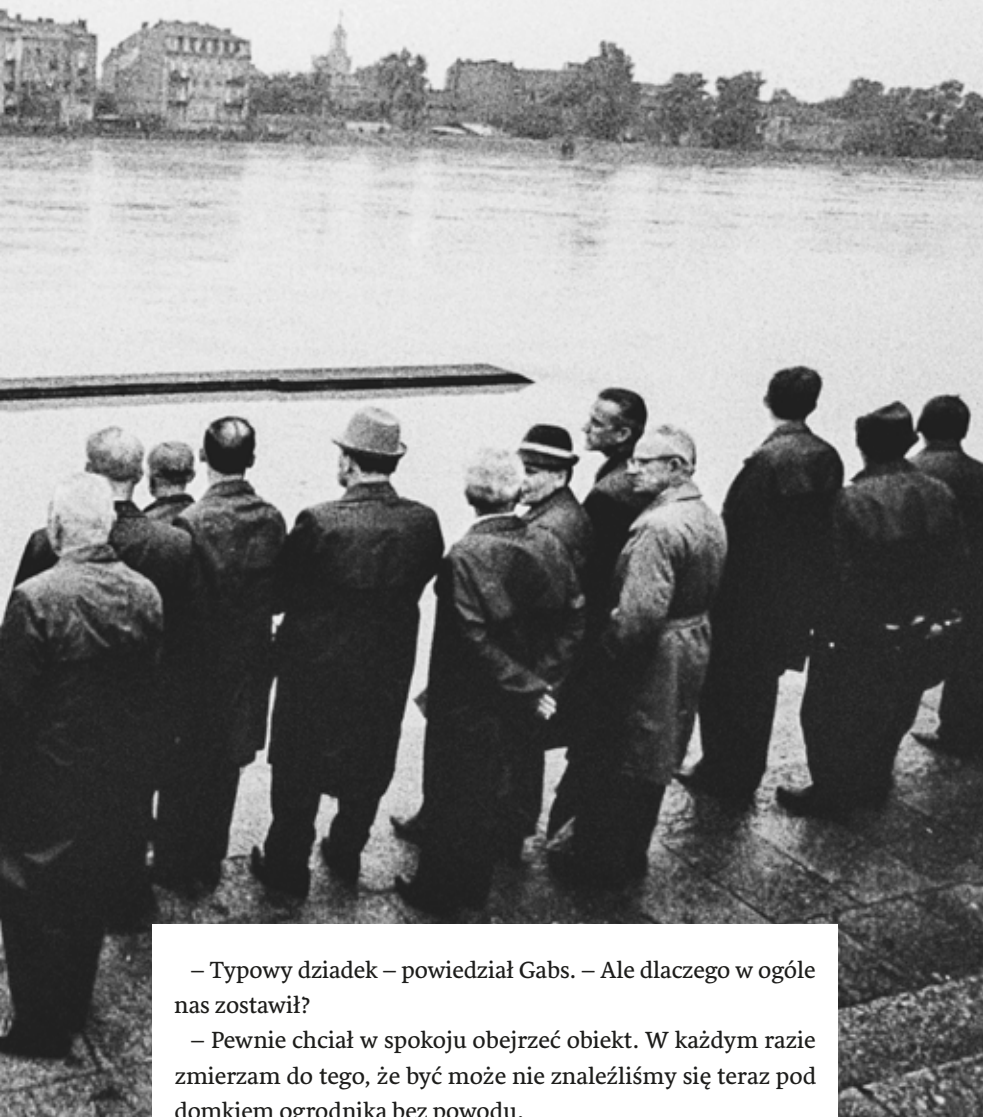
– Twoje ulubione: „Nie gdzie jesteśmy, lecz kiedy” – wtrącił Gabs z pretensjonalnym namaszczeniem.

– Nie moje, tylko Asimova, ale tak, o to właśnie chodzi. Gdy wchodziliśmy na teren posesji przy Powroźniczej, był rok 1988, dworek był w kiepskim stanie. A potem z każdym krokiem jego wygląd się poprawiał. Obserwowaliśmy odwróconą entropię, ponieważ przenikaliśmy przez czas. Gdy weszliśmy do środka, był 1952.

– Skąd wiesz?

– To ostatni rok działalności przedszkola w dworku. Dziadek wykorzystał sprzyjającą okoliczność czasoprzestrzenną i zostawił nas w miejscu i czasie według niego odpowiednim i bezpiecznym.

↑ Krakowianie obserwują przybierającą Wisłę na wysokości Mostu Dębnickiego, po drugiej stronie rzeki widoczne Dębniki, 1970



– Typowy dziadek – powiedział Gabs. – Ale dlaczego w ogóle nas zostawił?

– Pewnie chciał w spokoju obejrzeć obiekt. W każdym razie zmierzam do tego, że być może nie znaleźliśmy się teraz pod domkiem ogrodnika bez powodu.

Bardzo chciałam wierzyć, że stoi za tym dziadek, że to on podsuwa nam wskazówki i sugeruje właściwy kierunek zwiedzania.

– Co ma do tego domek ogrodnika? – zdziwił się Gabs. – W 1988 już nawet nie istniał. Jego dusza trzy dekady wcześniej uleciała za kamienny most, czy gdzie tam trafiają budynki po śmierci.

– Cóż, „Domy wznoszą się i upadają, rosną, niszczą się, są rozbierane. Burzone, odnawiane albo ich miejsce zajmuje wolna przestrzeń, fabryka lub objazd...”¹.

1. T.S. Eliot, *Cztery kwartety*, w: *Szepty nieśmiertelności: poezje wybrane z komentarzami*, przekład, wprowadzenie i komentarz Krzysztof Boczkowski, Kraków 2001.

– „Domy żyją i umierają”² – dopowiedział Gabs z dumą w głosie. Chociaż pewnie nawet nie wiedział, z jakiego źródła czerpie. W głowie miał gulasz o nieustalonym składzie, dzięki któremu funkcjonował jednak nadspodziewanie sprawnie, co odbierałam jako osobistą zniewagę.

– „Jest czas budowania i czas, by żyć”³, powiedział majster na koniec zmiany – ucięłam cytowanie. – Nas interesuje czas budowania. Po tej awanturze dziadek musiał obiecać mamie, że zawsze będziemy w tej samej czasoprzestrzeni co on. Jakiś czas rzeczywiście tego pilnował i ciągał nas po tych różnych instytucjach i urzędach, gdzie najczęściej okropnie się nudzieliśmy. Zabrał nas na przykład do Archiwum Aktów Dawnych Miasta Krakowa. Pamiętasz to miejsce? Od kurzu i roztoczy zamieszkujących stare teczki kręciło nas w nosach jak po tabace.

– Połowa miejsc, do których zabierał nas dziadek, zalatywała starym papierem, a druga połowa zagrzybioną piwnicą...

– Odrobinę przesadzasz. Dziadek chciał obejrzeć plany jakichś budynków. Poprosił nas, żebyśmy się czymś zajęły przez godzinę.

– Ryzykowna sugestia – zauważył Gabs.

– Dlatego dodał, że mamy być grzeczni, nie biegać, nie hałasować, że możemy sobie na przykład porysować przy biurku archiwisty. Mieliśmy kredki...

– ...ale nie mieliśmy papieru! – przypomniał sobie Gabs.

– Właśnie. I ty wtedy powiedziałaś...

– „Tu jest mnóstwo papieru!”

Zaczęliśmy otwierać teczki, ale oczywiście nie było w nich czystych kartek, tylko pożółkłe ze starości dokumenty. Pełno tam było rubryczek, nazwisk, liczb i dziwnych skrótów, jakieś lwh, złr, kat, bud, oraz coś o sążniach, obmiarach, realnościach. Gabs chciał po tych papierach rysować. Lecz ja domyśliłam się, że coś, co wygląda tak nieciekawie i staro, z pewnością musi być ważne. Przekonałam brata, że powinniśmy powkładać kartki z powrotem do teczek.

Trzy lata później, w 1991 roku, gdy dworek przy Powroźniczej 2 miał zostać wpisany do Rejestru Zabytków Krakowa, podsłuchując rozmowę telefoniczną dziadka, odkryłam, że jest problem z ustaleniem daty powstania obiektu.

2. Tamże.

3. Tamże.



– Kirchmayerowie zakupili działkę w grudniu 1896 roku. 11 maja 1897 Beata Kirchmajerowa pożyczyla pieniądze pod zastaw nieruchomości. Zwierzchność Gminy Dębnyki poświadcza, że na parceli takiej to a takiej został wymurowany dom parterowy.

– Ja tu mam inaczej w papierkach – odrzekł facet po drugiej stronie linii. – Teczuszkę mam opisaną: „Wybud. 1902 – willa”. A w środku urzędowe pisemko, gdzie mowa o budynku parterowym, gotowym pod koniec stycznia 1901 roku. W cztery lata od zakupu. Drogi panie, tak na logikę ma to więcej sensu niż to, że chałupę postawili w pięć miesięcy, na dodatek w zimie.

– Tak się kiedyś budowało – wycedził dziadek, już nieco zdeenerwowany. – Pan się myli. Widziałem te dokumenty. W 1897 dworek już stał.

Ale facet upierał się przy swojej wersji. Dodał, że niektórzy uważają, iż dziewięćdziesiąt lat to trochę mało, żeby uznać budynek będący w tak kiepskiej kondycji za zabytek. Lepiej zburzyć i postawić tam ładny, nowoczesny blok, najlepiej taki nawiązujący formą do znajdującego się niemal *vis à vis* Wawelu.

↑ Jan Matejko, portret trojga dzieci artysty – Tadeusza, Heleny i rocznej Beatki, 1870



Przypominam, że były to czasy rozkręcającego się postmodernizmu w architekturze polskiej, stylu, którego dziadek początkowo wprost nie znosił. Powtarzał, że jak widzi to agresywnie rozprzestrzeniające się szaleństwo w kolorach majtek na każdy dzień tygodnia, to mu oczy broczą murarską zaprawą, a pięść zaciska się na poziomicę. W późniejszych latach zmienił nieco swoje podejście, niektóre projekty uznał za bardzo udane. Przyznał, że wnoszą do szarego miejskiego krajobrazu nieco optymizmu. Jednak w 1991 roku słysząc o budynku, który miałby formą nawiązywać do Wawelu, wyobraził sobie pewnie coś w stylu bloku-zamku, który wyrósł dopiero co na Czyżynach.

Zamykając dyskusję, facet rzucił jeszcze z udawanym żalem:
– No przykro mi, ale jest jak jest, gdyby ta rudera pochodziła przynajmniej z XIX wieku. To już jakoś brzmi. A 1901? Co to za data? Nieciekawa taka.

– „Może i nieciekawa”, pomyślałam wtedy. „Ale to data budowy naszego domku ogrodnika!” – mówiąc to, postukałam w ścianę za plecami. – Byłam pewna, że to ten śliski typek, używający zdrobnień w rodzaju pisemko, teczuszka i papierki, się myli, a dziadek ma rację. Te daty, które wymieniał, i te nazwiska wydawały mi się znajome. Ale gdzie mogłam się na nie natknąć?

– Zapewne w jakimś dziadkowym miejscu pełnym teczuszek – podsunął Gabs.

– Właśnie! I wtedy elementy tej układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Rozumiesz? To my pomieszaliśmy dokumenty z dwóch teczek. W obu występowało nazwisko Kirchmayer. Tyle że domek ogrodnika wybudowała Franciszka, a dworek przy Powroźniczej należał do Beaty Kirchmayerowej, rodzonej córki Jana Matejki. Tak, tego Jana Matejki. Przecież innego nie ma.

– No i wszystko jasne! W dodatku F jest podobne do B – do-rzucił od siebie Gabs.

Spojrzałam na niego z odrazą, zastanawiając się, jak to możliwe, że wyszliśmy jednego dnia z tego samego łona. Chociaż ja oczywiście pół godziny wcześniej. Mój brat od samego początku nie nadążał.

– Tak, niemal nie do odróżnienia – mruknęłam i wróciłam do głównego wątku. – No więc poszłam do dziadka i opowiedziałam mu o wszystkim. W ten sposób uratowałam dworek Kirchmayerów.

– Najpierw niemal wysyłając go za kamienny most – zauważył złośliwie Gabs.

– Niekoniecznie. Gdyby wiedzieli, że pochodzi z 1897, może wymyśliliby, że zabytek powinien mieć minimum sto lat, i zamiast biblioteki mielibyśmy na dzielni pastelowy Wawel z karton-gipsu. Może więc tak miało być?

– Nawet jeśli, to co z tego? – westchnął mój brat. Znużony beczynnym czekaniem, a może czerwcowym upałem. Gdy opuszczaliśmy poddasze Willi pod Minerwą po nieudanym

seansie spirytystycznym, był początek listopada. Więc teraz gotowaliśmy się w długich spodniach i długich rękawach.

– Tak sobie pomyślałam – zaczęłam nieco niepewnie – że może to znak od dziadka. Specjalnie skierował nas pod domek ogrodnika, który już nie istnieje, i nic nie można z tym faktem zrobić, bo przeszłość jest ustalona. Domek zburzono w latach sześćdziesiątych. Jego widmo pojawiło się w 1991 i 1988, ale jedynie w roli pomyłki w dokumentach z archiwum. Sam domek był bez znaczenia. Może teraz jest podobnie. Jesteśmy tu, ale powinniśmy się udać na Powroźniczą.

– Przestałem słuchać w połowie tego wywodu. To jest po prostu niedorzeczne.

– A masz jakąś dorzeczną teorię? Chętnie posłucham.

– Nie ma ukrytych znaków ani reguł do rozgryzienia. Wszystkim rządzi chaos.

– Cóż za oryginalna myśl!

– Nie ma znaczenia, co zrobimy.

– W takim razie zrobmy po mojemu.

Po krótkiej dyskusji z braku lepszych pomysłów uznaliśmy, że spróbujemy opuścić Willę pod Minerwą przez główną bramę. Może w ten sposób licznik się wyzeruje i wydostaniemy się z tego temporalnego bałaganu.

Niestety w podcieniach prowadzących do wyjścia natknęliśmy się na pozujących do zdjęcia nowożeńców. Wycofaliśmy się w głąb domu, żeby poczekać, aż droga będzie wolna. Trwało to kilka dekad. Albo kilka minut. Raz przejście uniemożliwiła nam powódź, która zalała parter. To znów przyblokowała nas kolejna przebudowa. Albo pożar zmusił do wycofania. Nasza obecność była przyjmowana bez zdziwienia, ale z lekką irytacją, jakbyśmy zawadzali, niczym pozostawiony w przejściu kufer, za ciężki, by go przesunąć bez pasów i dźwigu, więc pozostaje go omijać.

Przyszło mi do głowy, że może to wszystko było karą za granie z siłami, których nie pojmowaliśmy. Ta myśl sprawiła, że poczułam narastające rozgoryczenie i żal do dziadka, że nigdy nie wyjaśnił nam jednoznacznie i klarownie, kim jesteśmy i w jaki sposób działa to całe przenikanie przez czas.

– A może to my jesteśmy duchami i nawiedzamy tych ludzi – powiedział Gabs, gdy czekaliśmy, aż robotnicy układający

w latach sześćdziesiątych chodnik przed wejściem skończą swój dzień pracy i sobie pójdą, zostawiając bramę otwartą. Ku mojemu oburzeniu Gabs wsunął rękę pomiędzy pręty ogrodzenia i szybkim, zwinnym ruchem buchnął leżącą na murku napoczętą paczkę Sportów.

– Tak. Ja też widziałam *Szósty zmysł* – odburknęłam. – Kradzież fajek to w ramach tego nawiedzania, jak rozumiem?

Gabs powąchał zawartość paczki, skrzywił się ze wstrętem, ale schował łup do tylnej kieszeni jeansów.

– A może tak naprawdę w ogóle nas nie ma – kontynuował.

– Gdzie nas nie ma? – spytałam znudzonym głosem.

– Nigdzie. Nie istniejemy – odparł Gabs, ścisząc głos do tajemniczego szeptu.

– Wątpię. Więc myślę. Myślę, więc jestem.

– To iluzja. A tak naprawdę jesteśmy tylko czyjąś projekcją, wymyślonymi bytami bez ciała i woli.

– Dobra – westchnęłam. – Udowodnij to.

– Znasz historię Willi pod Minerwą?

– Oczywiście – prychnęłam.

Mój brat milczał przez chwilę, nim podjął z lekkim wahaniem:

– To chyba rozumiesz, że nie mogliśmy w niej mieszkać...

Rozmowy po drugiej stronie ogrodzenia ucichły. Trzasnęły drzwi Nyski lub innego Żuka. Po chwili dostawczak z robotnikami odjechał, popierdując w wieczornej ciszy.

– No w końcu! – zawołałam. – Poszli sobie. Możemy wyjść.

Po przekroczeniu bramy wpadliśmy prosto w objęcia ciemności. Powietrze było ostre, miało bogaty, ziemisty zapach. Nagły podmuch owionął mi twarz, przynosząc z sobą nowe nuty; wilgotne, zbutwiałe i ostateczne.

– Wisła – wskazałam palcem kierunek, ale moją rękę pochłonął mrok.

Wyszliśmy z ciemnej gęstwiny pod rozgwieżdżone niebo. Trafiliśmy na błotnisty trakt, prowadzący z Krakowa do Tyńca, pusty i cichy. Ta cisza miała zupełnie nowy wymiar. Słyszeliśmy nocne zwierzęta i szum wiatru w wysokiej suchej trawie oddzielającej drogę od szemrzącej w dole rzeki. Ale niczego, co ludzkie. Wyglądało na to, że czas rzeczywiście się wyzerował,

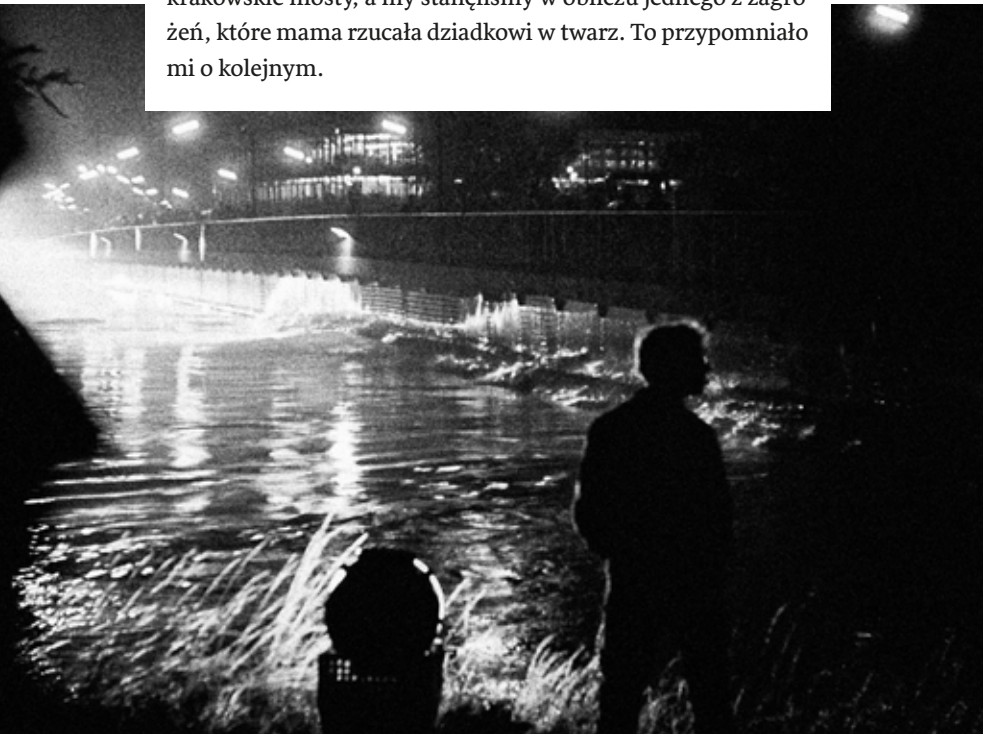
niestety w inny sposób, niż oczekiwaliśmy. Jakby to życzenie również spełnił złośliwy dżin. Wróciliśmy do początku. Ale nie do roku 2004, z którego wyruszyliśmy w Noc Duchów. Tylko do początku Krakowa! Miałam ochotę wrzeszczeć, ale trochę się bałam w tych okolicznościach. Więc zacisnęłam zęby i zaproponowałam:

– Chodźmy popatrzeć na gród.

Usiedliśmy w wysokiej trawie zwróceniem w prawo. Był tam – załazek Krakowa oznaczony pojedynczymi jasnymi punkcikami przypominającymi świetliki wabiące podróżnych na bagna.

Potem czas przyspieszył. Woda to podnosiła się, to opadała, meandrowała, zmieniając koryta. Świetliki namnażały się coraz szybciej, jakby w mieście wszczęto alarm. Nagle na nocnym niebie zapłonęła łuna ognia, a ciszę rozdarł ogłuszający huk. Rzuciliśmy się w śnieżne zaspy, którymi w jednej chwili porosły wiślane wały. Ziemia zadrżała i poczuliśmy, jak fala uderzeniowa przetacza się przez Dębniki. Szyby w oknach pękały z trzaskiem, obsypując wszystko szkłem. Fajerwerki i konfetti z okazji końca świata. Nad naszymi głowami przeleciał ze świstem fragment stalowej konstrukcji, który ostatecznie wbił się w willę i zatrzymał w suficie po północno-wschodniej stronie. To nie był koniec świata, tylko koniec wojny. Wycofujący się Niemcy wysadzali krakowskie mosty, a my stanęliśmy w obliczu jednego z zagrożeń, które mama rzucała dziadkowi w twarz. To przypomniało mi o kolejnym.

← Most Dębnicki, w dali widoczne światła DH „jubilat”, ok. 1970



– Czeka! Jeszcze nie wstawaj! – zawołałam.

Rozległy się wystrzały i serie z karabinów. Tak czerwonoarmiści wyrażali radość ze zwycięstwa, przebiegając przez ogród Willi pod Minerwą. Po tej radości zostały ślady na elewacji.

Śnieg był miękki jak puchowa pierzyna, a zmęczenie przygniało mnie swoim ciężarem. Ledwo zasnęłam, gdy zbudził mnie przeciągły jęk nocnego autobusu, który zaraz potem sapnął z ulgą i oddalił się w stronę Tyńca.

Niebo miało kolor sinego fioletu. Leżałam w zimnej, mokrej trawie, z nogami zwisającymi tuż nad wodą. Wstałam i zadygotałam, gdy poczułam, że przesiąknięte wilgocią ubranie oblepiło mnie jak gruba mokra szmata. Kilka metrów dalej coś się gramoliło w półmroku, stękając z niezadowoleniem. Smog przysłonił wszystkie gwiazdy, lecz na drugim brzegu Wisły z mgły wyłaniał się znajomy neon domu towarowego.

– Jubilat, Jubilat! Towarów kolorowy świat – zaśpiewał Gabs.

Nie czekając na niego, wdrapałam się po miękkim, błotnistym zboczu na górę. Wbiegłam na ścieżkę prosto pod koła roweru, który skręcił gwałtownie, wymijając mnie w ostatniej chwili. Rowerzysta pojechał dalej, wymyślając mi od ślepych, głuchych i głupich. Ogromnie tym rozweselił siedzących na murku typków, którzy spędzali wieczór, racząc się piwem w plenerze. Od strony komisariatu wodnego toczył się radiowóz, bardzo niespiesznie, żeby chłopcy mogli w spokoju dokończyć konsumpcję. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że wróciliśmy do 2004 roku.



Następnego dnia było Święto Zmarłych, mieliśmy więc czas, żeby się zastanowić, czy chcemy kontynuować to śledztwo i sprawdzić wątek biblioteczny. Uznaliśmy, że chcemy, i dzień później udaliśmy się na Powroźniczą. Wyremontowany budynek prezentował się tak elegancko, że teraz mógłby występować w roli ilustracji do hasła „podkrakowski dworek z przełomu XIX i XX wieku”. Poczułam dumę, jakbym naprawdę go ocaliła, a potem jeszcze osobiście szpachlowała pęknięcia w elewacji i kładła dach.

Weszliśmy na ganek. Nacisnęłam klamkę i pchnęłam skrzydło drzwi. Spojrzeliśmy do jasnego wnętrza, a potem, po krótkiej przepychance w przejściu, razem przekroczyliśmy próg. Ale portal nie zadziałał. Odwróciliśmy się. Główne wejście nadal było tylko głównym wejściem. Bez słowa wróciliśmy na zewnątrz, żeby powtórzyć cały proces. Jakbyśmy mieli do czynienia z wadliwym sprzętem, który być może zadziała, gdy się go wyłączy i po dziesięciu sekundach ponownie włączy. Nic z tego. Budynek pozostał twardo osadzony we współczesności.



↑ Talerz słonecznik z Fabryki Niedźwieckiego i Ski w Dębnie, ok. 1908; Stefan Matejko, fajansowa doniczka z podstawką z Fabryki Niedźwieckiego i Ski w Dębnie, 1905–1910; kafel z wytwórni Władysława Wojtygi w Dębnie, ok. 1900

Fabryka pieców kaflowych Józefa Niedźwieckiego i Spki w Dębnikach pod Krakowem

wykonywa

PIECE z kafla ogniotrwałych o różnych kolorach.
Kuchnie kaflowe rozmaitych typów.
WYKŁADKI ŚCIAN oraz WANIEŃ z kafla porcelanowych.
Przestawianie starych pieców i kuchen,
oraz wszelkie tychże **przeróbki i naprawy.**

Resztką nadziei zgasła chwilę później, w wypożyczalni, gdy upewniliśmy się, że dziadek nie czeka na nas przyczajony między regałami, jak w starym szpiegowskim filmie. Jedyne, co czekało, to kara dla dziadka za przetrzymanie książki *Konstanty Laszczka. Życie i twórczość*. Wyjaśniliśmy, że dziadek nie żyje. Przyjęliśmy kondolencje i obiecaliśmy poszukać tej książki. A potem w ponurych nastrojach opuściliśmy mury biblioteki. Na skrzyżowaniu z Barską do głowy przyszedł mi pewien pomysł.

- Sprawdźmy jeszcze w fabryce kafla. To rzut beretem.
- Gdzie? – zdziwił się Gabs.
- W Parku Samochodowym przy Barskiej – wyjaśniłam i wtedy od razu załapał.

Gdy mieliśmy po siedem lat, dziadek chciał nas zabrać do fabryki kafla, gdyż trafiła się okazja, żeby ją zwiedzić w 1904 roku wraz z dziennikarzem „Czasu”. Ja się cieszyłam, bo poza kaflami miały tam być figurki z terrakoty, ale Gabsa zupełnie to nie interesowało i strasznie marudził po drodze. Być może dlatego dotarliśmy na Barską spóźnieni o dobre dwie dekady. Był rok 1927 i na terenie dawnej fabryki działał już Miejski Park Samochodowy, z taborem wozów przeznaczonych do sprzątnięcia miasta. Dziadek nie wyglądał na zachwyconego, w przeciwieństwie do Gabsa.

↑ *Księga adresowa przemysłu galicyjskiego*, Kraków 1901



Odtąd mijając Barską 12, mój brat zawsze zerkał, czy na obecnym parkingu centrum medycznego nie stoi chociaż jedna przedwojenna śmieciarka, którą mógłby się przejechać, czego wtedy dziadek stanowczo mu zabronił.

Nie było sensu wyklądać teraz Gabsowi całej długiej i zawiłej historii dębnickich kafli, które tu wyrabiano od lat siedemdziesiątych XIX wieku. Wspomniałam jedynie, że w pewnym momencie w spółkę weszła również Beata Kirchmayerowa ze szwagrem Adamem. Trochę pośmiałyśmy się z tej spółki ze szwagrem, gdyż były to czasy, kiedy to archetypiczna postać szwagra zaczęła zdobywać internetową popularność. Dodałam, że za czasów owej spółki rozbudowano fabrykę i rozszerzono jej ofertę o wyroby artystyczne. Ceramika z Dębnik była wysoko ceniona, a wśród zatrudnionych artystów znalazł się również Konstanty Laszcza. To przekonało Gabsa.

Gapiliśmy się z pół godziny na zabudowania dawnej fabryki, późniejszego parku samochodowego i obecnego centrum medycznego, lecz rzeczywistość nawet nie drgnęła. Ludzie wchodzili i wychodzili. Wszyscy irytująco współcześni i żywi. Pomyślałam, że jeśli dalej będziemy szukali wszędzie znaków, które mógł zostawić dziadek, skończy się to obłędem, ścianami powyklejanymi wycinkami i zdjęciami z pajęczyną utworzoną z nici powiązań, które tylko dla nas miałyby jakiś sens. Wyдумany i nieprawdziwy. Może naprawdę wszystkim rządzi chaos, a nam pozostaje się mu poddać.

↑ Śmieciarka na wysypisku śmieci w Dębnikach (okolice ul. Szwedzkiej 10), 1926
→ Artysta rzeźbiarz Konstanty Laszcza przy pracy nad pomnikiem Henryka Sienkiewicza, 1926

Musieliśmy się w końcu zmierzyć z bolesną i zarazem nieznośnie trywialną rzeczywistością. Od śmierci dziadka minęło prawie pół roku. Nadszedł czas, żeby opróżnić jego mieszkanie. Sami zgłosiliśmy się do tego zadania, wiedząc, że jeśli zostawimy to rodzicom, mama pozbędzie się wszystkiego jak leci. Dawno temu wystąpiła z rodzinnego cechu i odrzuciła dziedzictwo. Wybrała inną drogę, prostą i jednokierunkową.

Zamykając ostatni karton z rzeczami dziadka, poczułam się, jakbym zatrzaskiwała wieko trumny. Tak jak powinnam była się poczuć pod koniec pogrzebu.

– On już nie wróci – powiedziałam, bo ktoś musiał.

– Wiesz co? – rzucił zaczepnie Gabs, otrzepując czarne od kurzu ręce o spodnie z taką złością, jakby to one były wszystkiemu winne. – Teraz to ja już nawet nie mam ochoty się z nim spotykać. Na coś się umawialiśmy.





Problem w tym, że na nic się nie umawialiśmy, i Gabs dobrze o tym wiedział. Ale nie poruszaliśmy więcej tego tematu. Niestety jako bliźniaki nie musieliśmy rozmawiać, żeby wiedzieć, co myśli to drugie. Robiło nam się coraz smutniej, bo coraz więcej tego żalu i zawiedzionych oczekiwań gromadziło się w niewypowiedzianych myślach. Chyba dlatego zaczęliśmy unikać swojego towarzystwa. Osobno łatwiej było zaakceptować fakt, że dziadek odszedł naprawdę.

No i była jeszcze ta nieoddana książka. Szukaliśmy jej bardzo uważnie, porządkując rzeczy po dziadku, ale bez powodzenia. Uwieriała mnie jak każda niezałatwiona sprawa, niby drobna, a jednak niemożliwa do zignorowania. Tkliwa jak palec z wbicią drzazgą. Człowiek ma nadzieję, że jak nie będzie tej drzazgi dotykał, to w końcu sama wylezie, albo zostanie wchłonięta. Dlatego zaczęłam unikać również biblioteki i jej okolic. A potem całych Dębniak. Na jakiś czas stały się dla mnie wyspą, którą tylko opływałam, odwracając głowę i nigdy nie schodząc na ląd.

Od tamtej pamiętnej Nocy Duchów w 2004 roku mój czas zaczął płynąć zwyczajnie, prosto i nieprzerwanie do przodu. Podczas jednej z nielicznych rozmów z bratem dowiedziałam się, że tak samo było u niego. Zażartował, że widocznie wyczerpaliśmy już przysługujący nam limit wycieczek do przeszłości. Sądzę jednak,

↑ Konstanty Laszczka, *Waza z wodnikiem i nimfą tulącą dziecko*, na spodzie wycisk „Fabryka Fajansów J. Niedzwiedzki i Spółka w Dębniakach”, 1904

że podobnie jak ja domyślał się prawdziwej przyczyny. Oddaliśmy się od siebie tak bardzo, że nasza bliźniacza więź niemal zupełnie zanikła, a to dzięki niej potrafiliśmy przenikać przez czas. Dziadek twierdził, że w tym przypadku doszło do przepełnienia daru, więc musimy współpracować. Choć możliwe, że powiedział to, bo miał dosyć naszych kłótni. Innym razem wyjawiał mi w tajemnicy, że to ja posiadam prawdziwy dar, i zasugerował, że Gabs ma zadatki na złego bliźniaka, którego należy pilnować, żeby się nie zbiesił. Ciekawe, co powiedział jemu. Dziadek był dziwnym człowiekiem. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle był człowiekiem.

Mijały lata. Każde z nas rozprawiało się z mitem dziadka po swojemu. Gabriel dociągnął jakoś do końca dziennikarskich studiów, tylko po to, aby z ramienia szmatławych periodyków szukać tanich sensacji. Efektami tych poszukiwań dzielił się w artykułach, które kusiły nagłówkami w rodzaju: „Porwało go UFO! Nie uwierzycie, gdzie wsadzili mu sondę”. Na złość dziadkowi i jego zabytkom, które kochał bardziej niż nas, pisał o ruinach, w których straszy „goła dama”. A może chciał go po prostu sprowokować, żeby się ujawnił.

Ja wydałam książkę dla dzieci i podpisałam umowę na kolejne części. Była to historia o bliźniętach, dziadku i podróżach w czasie. Na tym jednak kończyły się podobieństwa pomiędzy wspomnieniami a fabułą. W stworzonym przeze mnie świecie zasady były jasne: aby wziąć udział w pasjonującej przygodzie, wystarczyło wejść do nieczynnej windy i na panelu wybrać miejsce oraz datę. Dziadek zawsze tłumaczył historyczny kontekst w przystępny sposób. Był cierpliwy i serdeczny. Czyli taki, jakiego my nie mieliśmy. I za jakim tęskniliśmy zarówno teraz, jak i wtedy, gdy był tuż obok.

Pewnej grudniowej nocy 2010 roku obudził mnie telefon. Na wyświetlaczu zobaczyłam imię brata. Od naszej ostatniej rozmowy minęło kilka miesięcy. Gdy ktoś dzwoni po tak długiej przerwie o trzeciej nad ranem, to zwykle oznacza, że coś się stało. Ktoś zmarł albo... Odebrałam po trzecim sygnale, a Gabs bez żadnego wstępu oznajmił dramatycznym głosem bohatera młodzieżowego slashera z przełomu wieków:

– On wrócił!

– Kto? – spytałam, chociaż doskonale wiedziałam, kogo miał na myśli, i poczułam ukłucie nadziei i strachu gdzieś w okolicach żołądka.

– Dziadek. – W głosie Gabsa zabrakło wcześniejszej pewności.

Brat opowiedział mi, że rezyduje obecnie w Willi Sylwan, gdzie pilnuje kotów naszych wspólnych koleżanek. Uśmiechnęłam się na wspomnienie tego, jak zawsze zazdrościliśmy im tych niesamowitych krętych schodów wijących się pod sam dach secesyjnej kamienicy. Tamtejsza klatka mogłaby z powodzeniem zagrać u Hitchcocka, który traktował schody jak osobny środek filmowego wyrazu. Nasz zachwyty znacznie jednak osłabł, gdy pomagaliśmy koleżankom znieść z drugiego piętra wielką zabytkową szafę i na zakrętach śmierci zaglądała nam w oczy.

Tymczasem Gabs zamiast przejść do meritum opowiadał o kotach, jak to jednemu chciał obciąć dreda, ale to nie był dred i omal biedaka nie wykastrował. Żeby ostudzić emocje, wyszedł na balkon pooddychać nocnym smogiem.

– A wiesz, co stoi po sąsiedzku? – rzucił znacząco. Pytanie było retoryczne. Każdy Dębniczanin wie, że Willa Sylwan jest usytuowana obok biblioteki.

– Do brzegu. Gdzie i kiedy go widziałeś?

– Przed chwilą, w bibliotece. W oknie na piętrze. W tych takich wystających, tych no, z daszkami takimi...

– Lukarnach. Co robił? I jak wyglądał? – Brzmiało jakbym prowadziła przesłuchanie, ale interesowały mnie konkrety, twarde dane.

– No, stał w takiej jakby niebieskawej poświacie.

– Jak ta wiktoriańska staruszka z biblioteki w *Pogromcach duchów*? Czy bardziej Kacperek przyjazny duszek?

– Sama jesteś Kacperek. Nieprzyjazny – zdenerwował się Gabs.

– Gościu, takie duchy występują tylko filmach. Może to był telewizor?

– Nie – warknął Gabs. – To była sama postać jaśniejąca w ciemności.

– Ale teraz już jej tam nie ma?

– Nie, kurde, dalej stoi i nadaje morsem. Oczywiście, że już go nie ma.

– Dobra, jeśli wróci, zrób mu zdjęcie. Dobranoc.



Nie uwierzyłam w tego ducha. Stawiałam na jakąś grę światła. A może mojemu bratu tak zaszkodziła obrona ścieżka kariery, że teraz sam doświadcza cudownych objawień, wpatrując się w zacieki na ścianach i smugi na szybach.

Kilka dni później dostałam mejla z fotkami domniemanego ducha. Ukazywały podświetloną na niebiesko sylwetkę mężczyzny, dosyć niewyraźną, bo zdjęcia były robione nocą, do tego słabym aparatem. Na każdym postać wyglądała nieco inaczej. Na pewno nie była to żywa osoba, ale nie był to również duch. Nigdy nie spotkałam płaskiego ducha. Wszystkie były trójwymiarowe. Ten wyglądał jakby go wycięto z filmowych klatek. Było w nim coś znajomego, ale nie przypominał dziadka.

↑ Modernistyczny wystrój klatki schodowej w Willi Sylwan, 2026

Wszystkie te obserwacje i wnioski spakowałam do związłego mejla, a następnie wysłałam bratu. W post scriptum zasugerowałam, żeby dla świętego spokoju zrobił wycieczkę do biblioteki i zbadał temat u źródeł. W kolejnym mejlu przeczytałam, że to okna pomieszczenia biurowego. Według mojego brata był to dowód, chociaż jeszcze nie wiedział, czego dowodzi. Ostatecznie zarzucił jednak to śledztwo, gdyż „duch z okna” nigdy więcej się mu nie ukazał. Szybko wyrzuciłam z głowy tę sprawę. Przypomniałam sobie o niej dopiero kilkanaście lat później, gdy sama stanęłam oko w oko z duchem z okna.

W 2025 roku miałam już ugruntowaną pozycję na rynku wydawniczym. Seria *Do kiedy dziś, dziadku?* (nie mój pomysł na tytuł) łączyła przygodowy schemat z edukacyjnym przekazem. Dzieci ją pokochały, a rodzice chętnie kupowali. Do księgarń trafił właśnie ósmy tom: *Frytki króla Jana*, w którym bohaterowie dołączają do wyprawy wyruszającej spod Wiednia z worem ziemniaków dla Marysienki.

Gdy zaproszono mnie na spotkanie autorskie do biblioteki na Powroźniczej nie poczułam zupełnie nic, żadnych emocji. Złych czy dobrych. Więc się zgodziłam. A wtedy ta przyczajona tak długo drzazga szybko mi o sobie przypominała. Tyle że teraz problem wydał mi się niedorzeczny i banalnie łatwy do rozwiązania. Znalezienie tej nieszczęsnej książki w internetowym antykwariacie zajęło mi dosłownie minutę. Jak większość specjalistycznych publikacji, których nakład wyczerpał się dawno temu, Laszczka kosztował tyle, co ze trzy zwykłe książki. Śmieszna cena w porównaniu do ulgi, którą poczułam, oddając książkę. Ten bezsensowny ciężar otrzymanej w spadku winy nagle opuścił moje ciało niczym wyegzorcyzmowany zły duch. Było to zabawne, ale w nieśmieszny sposób.

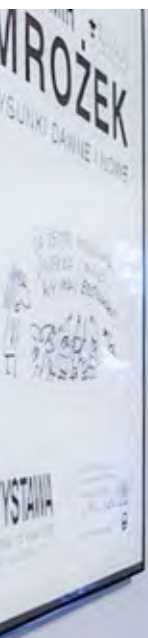
Do spotkania zostało trochę czasu, akurat tyle, żeby załatwić formalności. W tym celu zaproszono mnie na piętro do Gabinetu Sławomira Mrożka. Towarzysząca mi pani Agnieszka otworzyła drzwi i puściła mnie przodem. W tej samej chwili rozległo się wołanie. Ktoś wzywał moją przewodniczkę w jakiejś pilnej sprawie. Pani Agnieszka przeprosiła mnie i pospiesznie ruszyła ku schodom. Słyszałam, jak schodzi na parter. Gdzieś niżej

zaskrzypiały otwierane i zamykane drzwi. Potem zaległa cisza. Światło na korytarzu zgasło i zostałam sama w zapadającym zmroku. Okna były odsłonięte, ale odbijający się od szyb poblask nie pozwalał dojrzeć tego, co znajdowało się na zewnątrz. Dostrzegłam jedynie jasne punkciki w oknach Willi Sylwan. Przypomniałam sobie o bracie, który nie raczył mi nawet odpisać, czy się pojawi. Nagle moją uwagę przykuła błękitna poświata sącząca się zza winkła w głębi gabinetu. Zajrzałam zaciekawiona za róg i stanęłam oko w oko ze Sławomirem Mrożkiem.

A właściwie z jego ruchomym hologramem. Przez chwilę tylko patrzyłam i przyswajałam. A potem sięgnęłam po telefon. Chwilę szukałam. I w końcu znalazłam. Zdjęcia zrobione z balkonu Willi Sylwan. Nie miałam żadnych wątpliwości. Właśnie spotkałam „ducha z okna”. Cyknęłam Mrożkowi kilka fotek i wysłałam bratu z komentarzem: „Złapałam twój duch z nawiedzanej biblioteki, Scooby Doo. I wiesz, co się okazało? Szok! To nie jest duch dziadka! To nawet nie jest duch, idioto”. Ostatecznie usunęłam idiotę. Ale jakoś wypadało zakończyć ten liścik. Zdecydowałam się na pobłażliwe: „Pozdrawiamy ze Sławkiem z naprzeciwka”.

Odpowiedź nadeszła szybko i brzmiała: „Kto to jest Sławek z naprzeciwka. Nie znam typa”.

Nie znoszę, gdy dobre żarty rozbijają się o tępotę i ignorancję.





Gabs pojawił się w połowie mojego spotkania. Gdy go zauważyłam na końcu sali wśród osób, dla których zabrakło miejsc siedzących, zamarłam, przerywając w pół zdania. Bo w pierwszej chwili pomyślałam, że to dziadek. W tweedowej marynarce, kapeluszu, z fajką w zębach. Po chwili rozpoznałam brata i jego niewybredne poczucie humoru.

– Proszę państwa, muszę zrobić małą dygresję, bo właśnie swoją obecnością zaszczycił nas mój brat Gabriel, czyli książkowy Franio, na dodatek przebrany za naszego dziadka. Pytaliście o inspiracje. Oto żywy przykład. Gabryś, podobnie jak Franio, zawsze lubił się powyglupiać.

Wszyscy odwrócili się, żeby popatrzeć na mojego brata, który po pierwszym zaskoczeniu odnalazł się w sytuacji, uchylił kapelusza i uklonił się w pas. Pojawianie się Gabsa zaburzyło rytm spotkania, ale też w jakiś sposób ożywiło ograną formułę. Może powinnam zatrudnić go na stałe?

Po spotkaniu na moją prośbę udaliśmy się w towarzystwie trzech pań z biblioteki jeszcze raz obejrzeć gabinet Mrożka oraz samego Mrożka.

– Podobny do dziadka. Ma okulary. I włosy. Dziadek też kiedyś miał – stwierdził Gabs, a potem ewidentnie, żeby mnie wkurzyć, dodał z namysłem: – I na pewno miał taką jesionkę.

Poczułam się w obowiązku wyjaśnić paniom najogólniej, jak się dało, w czym rzecz. Gdy się denerwuję, zawsze za dużo

gadam, ignorując wewnętrzny głos rozsądku krzyczący: „co ty wyprawiasz! Natychmiast przestań mówić! Będziesz tego żałować!”. Tym razem również nie posłuchałam dobrej rady. Zignorowałam też Gabsa, który odwrócił się od hologramu i wybaluszając gały, wysyłał mi ostrzegawcze znaki. Ja jednak brnęłam dalej, opowiadając przezabawną anegdotkę, jak to mój brat kilkanaście lat temu zobaczył ten hologram z balkonu Willi Sylwan i próbował mi wmówić, że to duch naszego dziadka.

– Tego, co pożyczył książkę i nie oddał, bo umarł – zażartowałam, ale nikt poza mną się nie roześmiał. Bibliotekarki popatrywały na mnie ze szczerym współczuciem, jakby dziadek umarł wczoraj, a nie dwadzieścia lat temu. Natomiast Gabs całą swoją uwagę skupił na wielkoformatowym zdjęciu Mrożka w kozuchu. Oglądał je z takim namysłem, jakby od dawna szukał podobnego fasonu i teraz kalkulował, ile może kosztować kozuch szyty na miarę u kuśnierza z Nowego Targu. A ja zamiast natychmiast zakończyć tę farsę, uznałam, że warto doprowadzić rzecz do końca. – Dlatego wrócił jako duch, który błąka się po bibliotece dręczony wyrzutami sumienia.

– Nie błąkał się, tylko stał. – Gabs oderwał się w końcu od kozucha i wskazał hologram. – Tak jak stoi teraz. Wyglądał jak duch dziadka. Załapanie tego żartu zajęło ci zaledwie piętnaście lat. Brawo.

– Zaraz – wtrąciła się pani Ludmiła, kierowniczka oddziału – powiedział pan piętnaście lat?

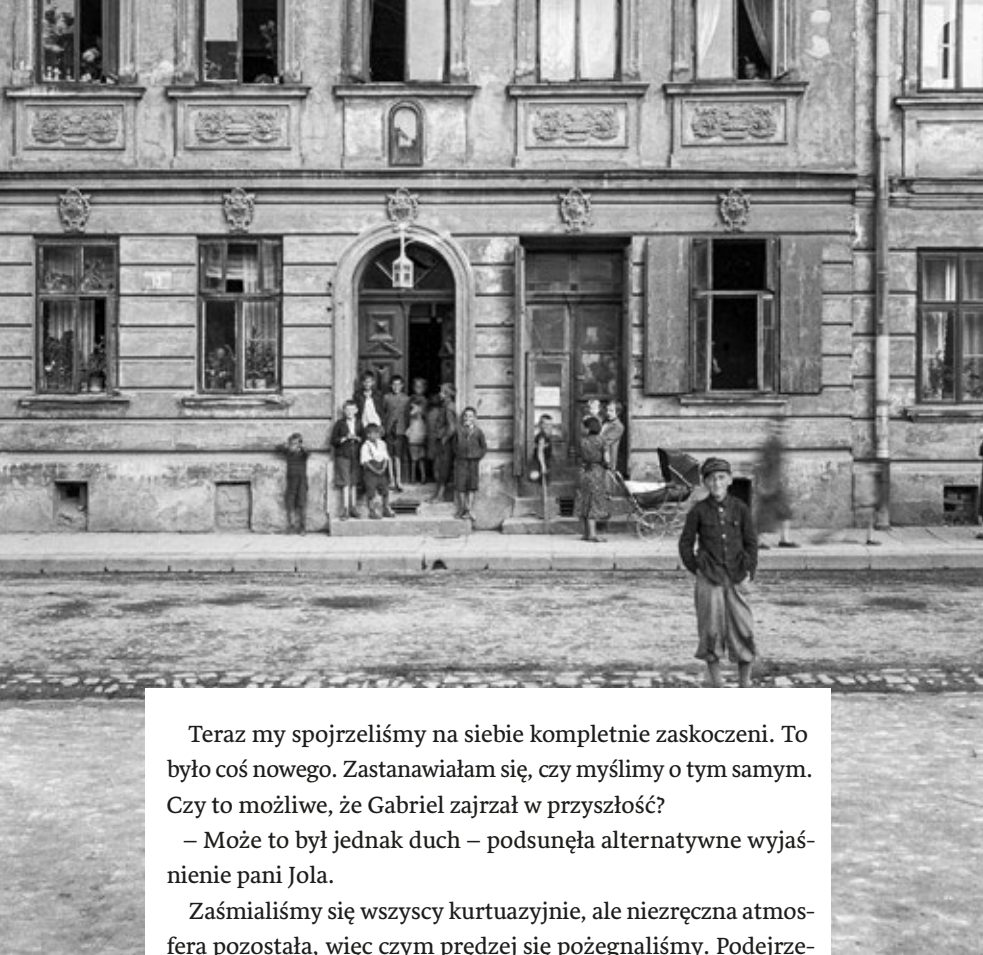
– Jakoś tak.

– Nie, to niemożliwe – stwierdziła z pełnym przekonaniem pani Agnieszka.

– A jednak – odparł Gabs, zadowolony jak sześciolatek, który odsunął komuś krzesło spod tyłka. – A taka niby mądra, prawda? Piętnaście lat!

Trochę mnie ta sytuacja zaczęła już irytować, więc wyjęłam telefon. Zamierzałam pokazać paniom zdjęcie owego ducha, żeby miały jasność, o jakim poziomie żartu mówimy. Wstrzymałam się jednak, gdy zobaczyłam, że kobiety wymieniają skonsternowane spojrzenia.

– Nie mógł pan wtedy widzieć naszego Mrożka, bo mamy go dopiero od 2024 roku – wyjaśniła pani Agnieszka.



Teraz my spojrzeliśmy na siebie kompletnie zaskoczeni. To było coś nowego. Zastanawiałam się, czy myślimy o tym samym. Czy to możliwe, że Gabriel zajął w przyszłość?

– Może to był jednak duch – podsunęła alternatywne wyjaśnienie pani Jola.

Zaśmialiśmy się wszyscy kurtuazyjnie, ale niezręczna atmosfera pozostała, więc czym prędzej się pożegnaliśmy. Podejrzewałam, że raczej mnie tu więcej nie zaproszą. Dobrze, że przynajmniej oddałam książkę. Może dziadkowi naprawdę chodziło tylko o to. To by było nawet w jego stylu.

Było już całkiem ciemno, gdy wyszliśmy z budynku na ganek. Drzwi biblioteki natychmiast zamknęły się za nami. Głośny szczęk starannego ryglowania pożegnał nas z dosadną ostatecznością.

– Trzeba było milczeć – zauważył Gabs.

– Przynajmniej coś się wyjaśniło. – Sięgnęłam po telefon i spjrzałam na zdjęcie „ducha z biblioteki”. Nie miałam żadnych wątpliwości. To był hologram Mrożka. Zrobiłam zbliżenie twarzy i pokazałam zdjęcie Gabsowi.

– Przecież wiem. To ja go widziałem. – Jakaś nutka satysfakcji w jego głosie sprawiła, że poczułam nagłą, gwałtowną, dziecięcą zawiść.

↑ Dzieci i matki z dziećmi stojące przed kamienicą przy Rynku Dębnickim 13 w Krakowie, 1934

- Tak – odparłam zgryźliwie. – Tylko dlaczego?
– Nie wiem, ale to coś, na czym być może da się zarobić.

Nagle usłyszeliśmy ciche trzaski. W ciemności pod drzewami pojawił się blade ognik, maleńki jak świętojański robaczek. Powędrował w górę, urósł i zgasł. Jak zahipnotyzowani obserwowaliśmy wynurzającą się z mroku cienką smużkę, która płynęła w naszą stronę. Poczułam słabą jak echo woń fajkowego dymu. Znajomy zapach utraconego bezpieczeństwa, drapiący w gardle, chociaż nieprawdziwy. Szary obłok wydobył kontury postaci. Wydawała się nieproporcjonalnie wysoka.

- To ty, dziadku? – spytałam niepewnie.
– Przejdźmy się – odparł dziadek. – Ciekaw jestem, co się zmieniło.

To będzie moje nowe wspomnienie. Fragmentaryczne i niekompletne, jak wszystko, co rozgrywa się na tle nocy.

Jest tu i teraz. Dziadek prowadzi, ja podążam pół kroku za nim, Gabs zabezpiecza tyły. Idzie środkiem ulicy, dystansuje się, jakby nas nie znał i jedynie przypadkiem szedł w tę samą stronę. Wyciąga z tylnej kieszeni spodni wymiętą paczkę i wzdłubuje ze środka pozbawionego filtra kiepa. Zapala go, a chwilę później jego głowa niemal znika w szarym kłębie. W powietrzu rozchodzi się gryzący swąd wędzonych opon. Papierosy cuchną tak nieprawdopodobnie, że uświadamiam sobie ze zgrozą, iż muszą to być te Sporty, które Gabs przywłaszczył sobie w latach sześćdziesiątych. Trzymał je przez te wszystkie lata specjalnie na powrót dziadka. Niczym wykwinny trunek, któremu czas dodaje szlachetności. Tylko na odwrót. Ale po co, tego naprawdę nie wiem. Może planuje zrobić dziadkowi na złość, dostając raka.

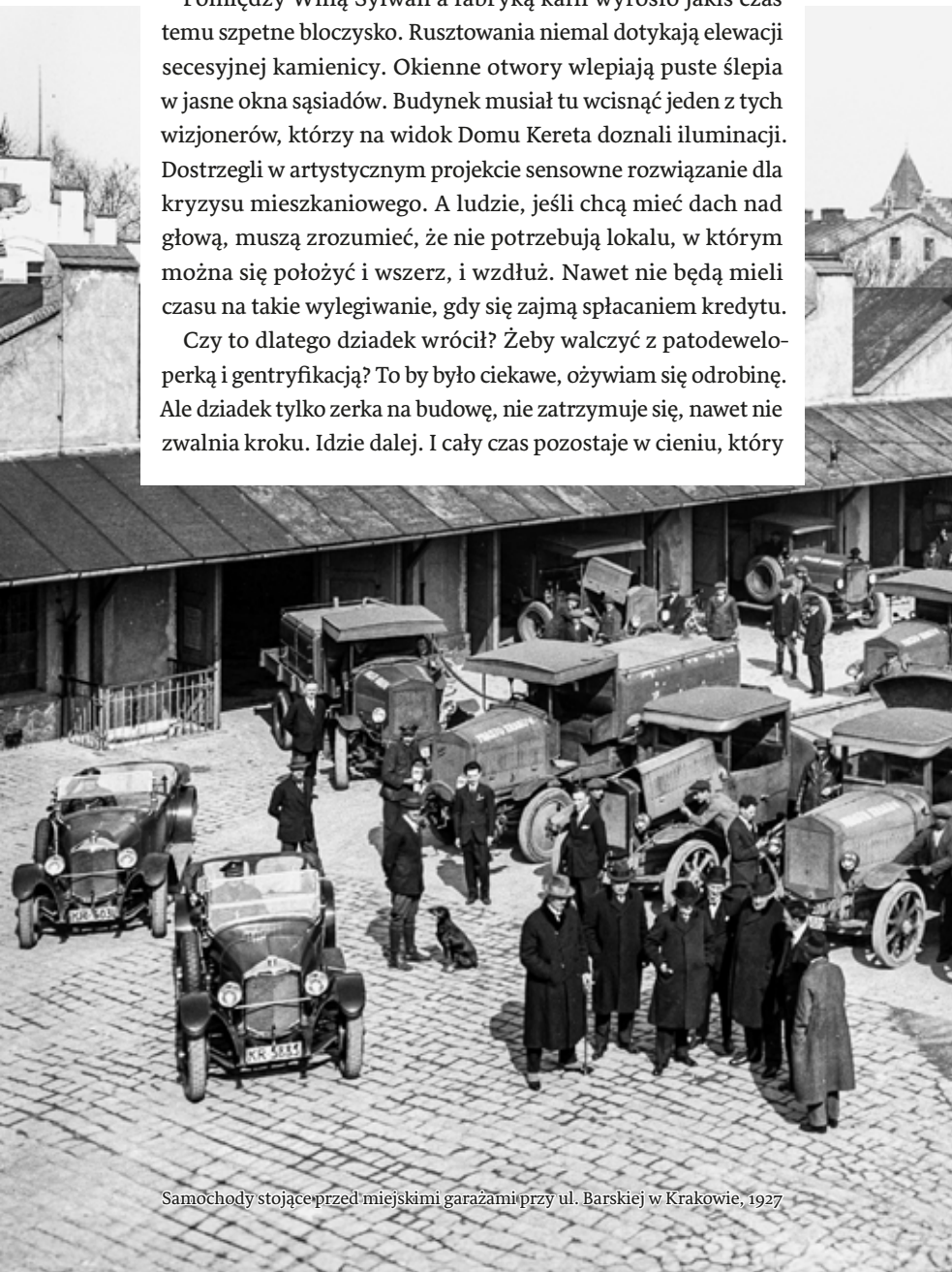
Najwyraźniej jednak duchy nie mają powonienia, bo dziadek nie reaguje na smrodliwą prowokację. Idzie, nie oglądając się, jakby zapomniał o naszym istnieniu. A może nie musi sprawdzać, wie, że nas nie zgubi, bo to nam bardziej zależy na tej wycieczce.

Tyle emocji, pytań i zawiedzionych nadziei nazbierało się przez te lata, że mętlik w głowie zaczyna przypominać pustkę. Gdy mijamy Willę Sylwan, czuję głównie znużenie i rozczarowanie. Gabs pstryka petem do kałuży z irytującą zaczezną nonszalancją.

Ale zdradza go własny cień, który przesuwa się po mokrym asfalcie. Zgarbiony, z zaciśniętymi pięściami wbitymi głęboko w kieszenie. Wkurzony cień bohatera kreskówki. Rośnie, wyprzedza nas, pragnie odłączyć się od ciała. Ucieka w ciemność zalegającą pod drzewami na rogu Powroźniczej i Barskiej. A my wchodzimy tam za nim.

Pomiędzy Willą Sylwan a fabryką kafli wyrosło jakiś czas temu szpetne boczysko. Rusztowania niemal dotykają elewacji secesyjnej kamienicy. Okienne otwory wlepiają puste ślepie w jasne okna sąsiadów. Budynek musiał tu wcisnąć jeden z tych wizjonerów, którzy na widok Domu Kereta doznali iluminacji. Dostrzegli w artystycznym projekcie sensowne rozwiązanie dla kryzysu mieszkaniowego. A ludzie, jeśli chcą mieć dach nad głową, muszą zrozumieć, że nie potrzebują lokalu, w którym można się położyć i wszerz, i wzdłuż. Nawet nie będą mieli czasu na takie wylegiwanie, gdy się zajmą spłacaniem kredytu.

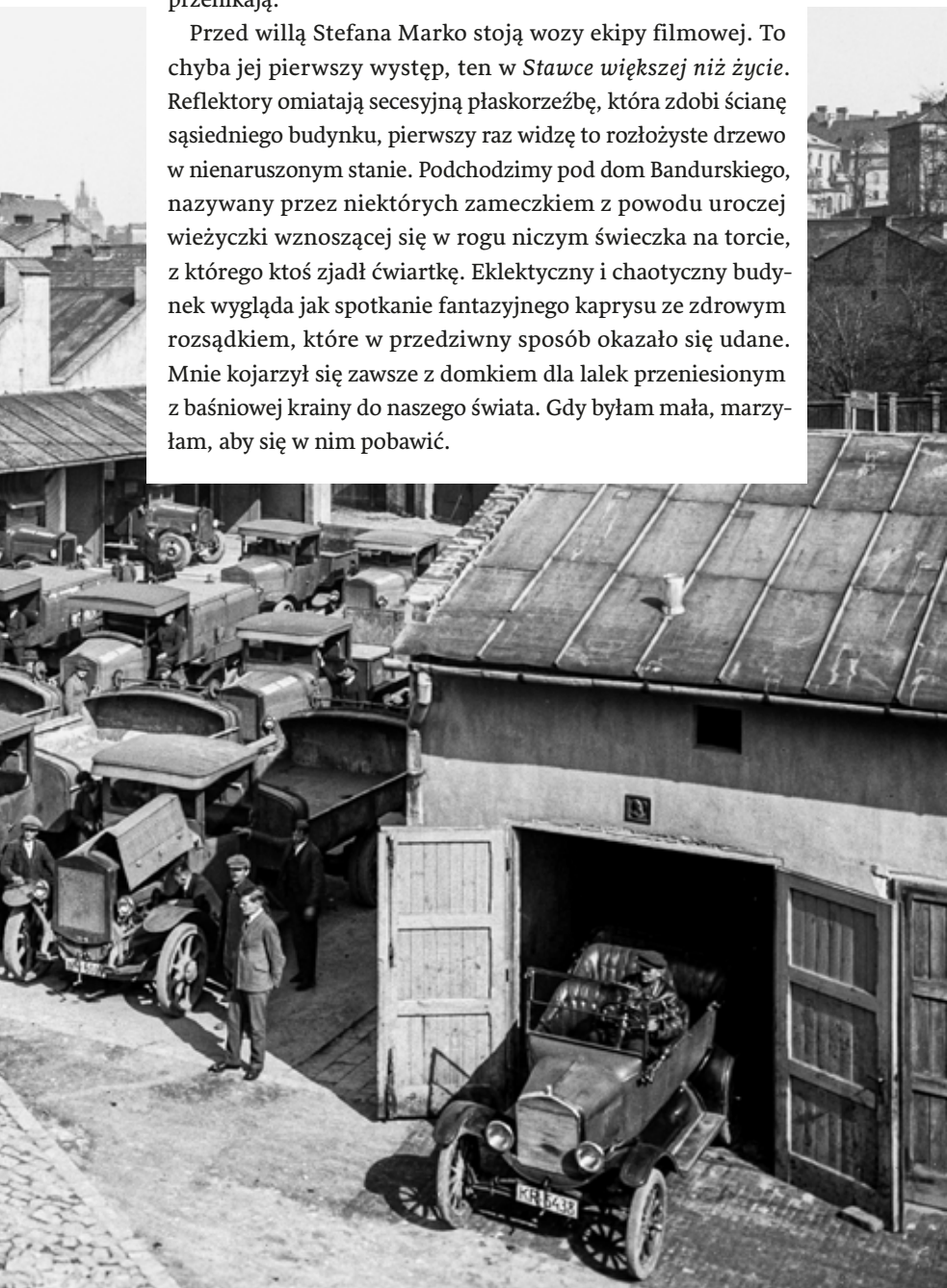
Czy to dlatego dziadek wrócił? Żeby walczyć z patodevelopką i gentryfikacją? To by było ciekawe, ożywiam się odrobinę. Ale dziadek tylko zerka na budowę, nie zatrzymuje się, nawet nie zwalnia kroku. Idzie dalej. I cały czas pozostaje w cieniu, który



Samochody stojące przed miejskimi garażami przy ul. Barskiej w Krakowie, 1927

wyduje się głębszy niż ten, który okrywa nas. Zwalnia dopiero, gdy mijamy Barską 12. Na tle nocnego nieba schodkowy szczyt przy wejściu do fabryki kafla zyskuje gotycką surowość, której nie dostrzegałam wcześniej. Idziemy dalej, a czas nareszcie przestaje być linearny. Tkanka miasta składa się z wielu warstw. Kolejne wersje dzielnicy nakładają się na siebie i przez siebie przenikają.

Przed willą Stefana Marko stoją wozy ekipy filmowej. To chyba jej pierwszy występ, ten w *Stawce większej niż życie*. Reflektory omiatają secesyjną płaskorzeźbę, która zdobi ścianę sąsiedniego budynku, pierwszy raz widzę to rozłożyste drzewo w nienaruszonym stanie. Podchodzimy pod dom Bandurskiego, nazywany przez niektórych zameczkiem z powodu uroczej wieżyczki wznoszącej się w rogu niczym świeczka na torcie, z którego ktoś zjadł ćwiartkę. Eklektyczny i chaotyczny budynek wygląda jak spotkanie fantazyjnego kaprysu ze zdrowym rozsądkiem, które w przedziwny sposób okazało się udane. Mnie kojarzył się zawsze z domkiem dla lalek przeniesionym z baśniowej krainy do naszego świata. Gdy byłam mała, marzyłam, aby się w nim pobawić.



Na Pułaskiego w głębi podwórka na podporach stoi łódź, która nigdy nie widziała wody. Jest jeszcze całkiem surowa, nadal niepomalowana i wciąż bezimienna. Dwa kroki dalej zza murku okalającego jedyny ogród na ulicy Różanej wychylają się kwitnące krzewy, głaszczą przechodniów po włosach i odurzają zapachami. Stojący w ogrodzie dom odzyskuje swój pierwotny urok i kształt. Znika zawieszona nad oskałpowanym budynkiem ohydna klockowata rewitalizacja przypominająca wysuniętą szufladę z płyty paździerzowej, pod którą wepchnięto secesyjną komodę z litego drewna. Odcięty brutalnie dach domu wraca na swoje miejsce, podobnie jak wyburzona pracownia malarska należąca do pierwszych właścicieli posesji. Za witrażowymi oknami ganku widać późniejsze, przedwojenne cienie zgromadzonych w domu modlitwy Żydów.

Dziadek znowu, tak jak kiedyś, pokazuje nam te niepozorne elementy świata, które składają się na jego esencję. Obiekty takie jak ten drewniany słup energetyczny, pewnie z lat trzydziestych, obok którego przechodziliśmy obojętnie setki razy. Tak głęboko wrośnięty w teraźniejszość, że praktycznie niewidzialny, aż do chwili, gdy specjalnie zwrócimy na niego uwagę. Wtedy od razu staje się jasne, że ten egzemplarz nie jest produktem





naszych czasów, po prostu udało się mu przetrwać. W pewien sposób ten niepozorny relikwiot codzienności wydaje mi się bardziej poruszający i autentyczny niż stojąca po drugiej stronie ulicy willa w stylu szwajcarskim, której uroda jest niezaprzeczalna i bezdyskusyjna, ma więc w naszym świecie zapewnione miejsce, wikt, opierunek i status gwiazdy. A słup przetrwał, pomimo że ładny, cenny i interesujący, jest dla dosyć wąskiego grona pasjonatów. Doczekał się jednak uznania jako zabytek techniki, został zaimpregnowany, dostał szrudłową belkę w ramach wsparcia i nadal pozostaje czynny zawodowo. Spełnia funkcję, do której go powołano, i daje świadectwo historii elektryfikacji miasta. Moim zdaniem całkiem nieźle jak na słup. Gdy raz go dostrzeżesz i umieścisz we właściwym kontekście, już zawsze pozostanie widoczny.

Zatrzymuję się pod numerem piątym, przed najstarszym budynkiem na Rynku Dębnickim. Gdy podnoszę wzrok, żeby obejrzeć skrytą pod daszkiem lukarny sowę z rozpostartymi skrzydłami, odzywają się pierwsze poranne ptaszory. Niebo jaśnieje na wschodzie, w skostniałych palcach czuć chłód poranka. Wiem, że poza mną nikogo tu nie ma. Wszyscy odeszli, umarli albo jeszcze śpią. Jestem tu sama. Teraz to wszystko należy tylko do mnie. Jeśli ta jedna różowozłota, chłodna minuta może się ciągnąć przez lata, to chyba mogę się przejść jeszcze kawałek dalej.

Kościół pw. Wniebowzięcia NMP w Rzepienniku Biskupim, lata 30. XX w.





ŚNIEG W LIPCU

Kościół pw. Wniebowzięcia
Najświętszej Maryi Panny
w Rzepienniku Biskupim

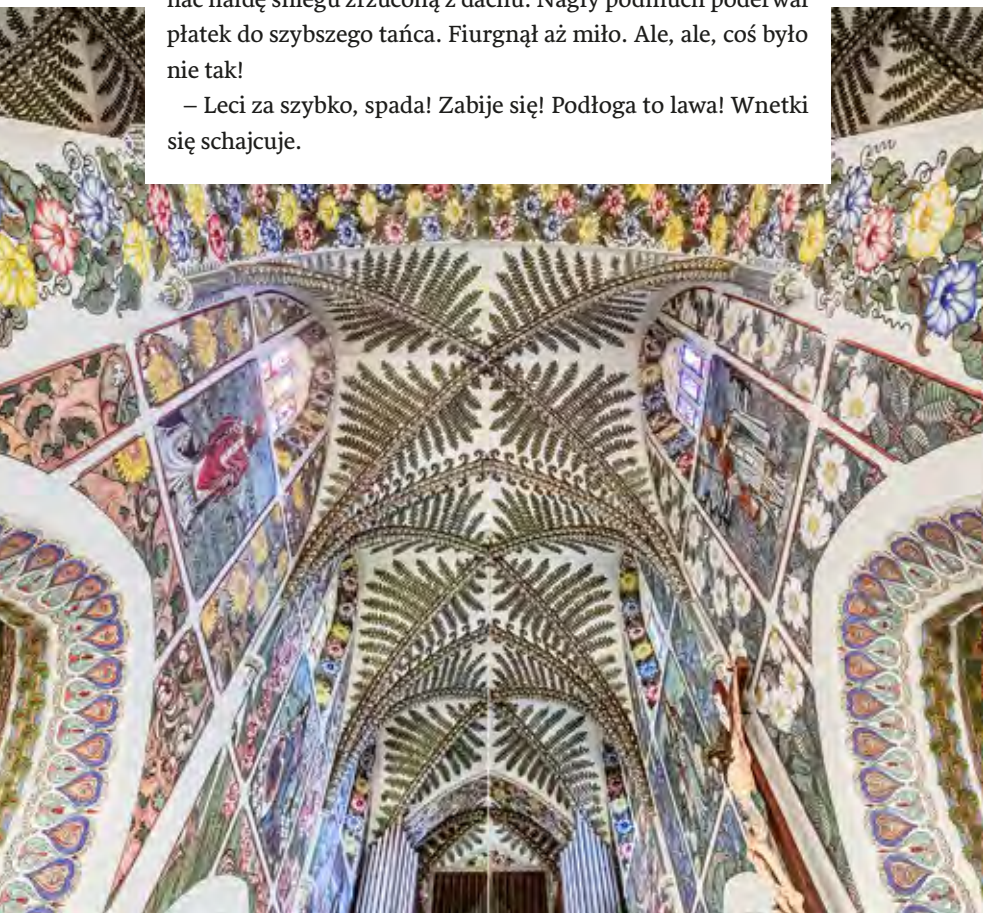


Otworzyłam oczy i zobaczyłam śnieg. Wielkie płyty wirowały nad moją głową w tańcu, którego nie widziałam od tak dawna, że zapomniałam, jak wyglądają jego kroki. Musiały mnie zbudzić dzwonki sań. Nadal je słyszałam, ich dźwięk niósł się w leśnej ciszy z przesadną intensywnością. Zaniepokoiłam się, że pobudzi gonsiynice, bonki i inne chroboki śpiące smacznie pod puchowymi kołderkami w swoich gawrach. Nim zdążyłam się podnieść z twardej ławki w kościele i zaprotestować, hałaśliwe podzwanianie ustało, zostawiając na pamiątkę echo, które po chwili również ucichło w zimowej zadymce. Wysoko nade mną majaczyły niewyraźne zarysy ogromnych paproci. Ich gałęzie pochylały się ku sobie, tworząc sklepienie tego zimowego pałacu. Pomędzy nimi prześwitywało szare niebo, na którego tle zatrzepotał ogromny płatek śniegu smagany wiatrem.

– To primabalerina – wyszeptałam, wskazując palcem. – Lżejsza od piórka.

Obserwowałam z zazdrością, jak kręci piruety. Chociażbym ćwiczyła wieczność, w porównaniu z nią zawsze będę przypominać hałdę śniegu zrzuconą z dachu. Nagły podmuch poderwał płatek do szybszego tańca. Fiurgnął aż miło. Ale, ale, coś było nie tak!

– Leci za szybko, spada! Zabije się! Podłoga to lawa! Wnetki się schajcuje.



Zachichotałam. Tymczasem inne płatki niczym śmy runęły za koleżanką.

– Nie! Wy głupie idiotki! Niech ktoś powstrzyma to szaleństwo! Co za tragedia! Czy jest na sali doktor! Guślorza! W dyrdy! Księża! Byle chypkło!

– A skąd śnieg w lipcu? – Pytanie Gabsa wcięło się nagle w moją historię, niczym komentarz wstawiony przez redaktora, który natrafił na błąd logiczny: – Może śnieg wpada przez dziurę ozonową?

Dziura ozonowa była w latach dziewięćdziesiątych na topie. Otworzyłam dłoń, robiąc lądowisko dla kolejnego płatka. Usiadł gładko, ale nie roztapiał się na skórze. Był jakiś dziwny, taki nieładny. Bezkształtny i lekki jak paproch sadzy, ale po roztarciu nie zostawił czarnej smugi. Spojrzałam w górę na ledwo widoczne zarysy ogromnych paproci. Kichnęłam dwa razy, a wtedy nieprzyjemna prawda wytrząsnęła ze mnie resztki sennego zagubienia.

– To nie zmróz. To trynk odpod! – wykrzyknęłam.

– Chyba tynk – poprawił mnie Gabs.

– Przecie godom, ze trynk! – zdenerwowałam się.

Pełna najgorszych przeczuć rozejrzałam się dookoła. Ogród namalowany przez Jana Bulasa, który powinien nas otaczać, znikł. Przestrzeń była znajoma, ale niedookreślona i ciemna, jakby była jedynie odtworzonym w sennym koszmarze wspomnieniem. Ale ja się przecież dopiero co obudziłam. A skoro tak, to może ogród był snem?

Nagle poczułam ukłucie zimna pod mostkiem i taką grozę, jakbym się ocknęła nocą na cmentarzu. Myliłam się. Ogród nadal tu był, a w każdym razie to, co z niego zostało. Patrzyłam teraz wnikliwie niczym śledczy badający miejsce masakry, której nikt nie przeżył. Uuschły powoje wspinające się po filarach. Pozdychały bławatki, którymi obsadzono rabaty na łukach. Wymarzły łąki niegdyś pyszniące się kolorami irysów, mleczy, róż, mieczyków, cykorii i maków. Przekwitły owocowe drzewa w sadzie, po którym wędrowaliśmy maluteńcy jak robaczki. Nie było czego orać, więc nikt nie orał. Orzełek umarł, nim zdążył uwolnić z kajdan drugą nóżkę. Nie strzegły go już splątane zasieki ostów, najeżonych kolcami średniowiecznych kopii,

z głowami wielkimi jak kule armatnie. Niszczycielska siła zrobiła swoje z bezstronną konsekwencją – zostawiła jedynie poszarzałe cienie na ścianach, wyblakłe, pozbawione koloru zjawy o ledwo zarysowanych konturach.

Musiłam bardzo długo spać, a w tym czasie wydarzyło się tu coś strasznego. Ktoś wymazał cały ogród. Może ten krytyk z gazety, z językiem ostrym jak brzeg kartki. Ten cały Feliks Jasiński. Już raz przecież próbował usunąć kwiaty Bulasa z przestrzeni publicznej. Siedziałam przy stoliku obok i na własne uszy słyszałam, jak w rozmowie z dziadkiem czepiał się jaskrawej palety, wytykał banalną kompozycję, przekonywał, że karykaturalne rozmiary roślin świadczą o manii wielkości autora. Było to jednak zaledwie echo rozkręconej przez niego nagonki prasowej, na którą znieważony malarz odpowiedział sądowym pozwem. Chociaż spór zakończył się polubownie, towarzysząca mu atmosfera skandalu jeszcze długo unosiła się nad kawiarnianymi stolikami.

Pomyślałam, że skoro pana Feliksa tak bardzo wkurzyły kwiaty na obrazach Bulasa, a ja te kwiaty widziałam i one wcale nie były takie wielkie, to co by zrobił na wieść o kościele, w którym rozpanoszyły się prawdziwe kwiatowe molochy, wielkości domów, zawłaszczające każdy wolny skrawek od podłogi po sklepienie. No chyba by dostał szału. A kto wie, do czego taki człowiek byłby wtedy zdolny. Tym razem mógłby wybrać inny oręż do walki. Przyjechałby do Rzepiennika uzbrojony w drabinę i brudną, mokrą gąbkę. Wyobraziłam sobie, jak w stroju samuraja, z mopem zamiast miecza, rozprawia się ze „sztuką na metry” w sposób dosłowny. A potem zdaje relację z krucjaty w gazecie, żeby jeszcze na koniec trochę namącić. Kraków się bulwersuje, ale i ekscytuje. A potem przy trunkach i tortach w Jamie Michałika powtarza rymy, które spłynęły wartko z ogrodem po ścianie.

*Człkiem chciał być renesansu
Lecz zabrakło mu dystansu
Myślał że dogoni mistrza
Wyszła tylko rzecz komiczna
Manieryzmu pełne grządki
Wnet ulegną mocy gąbki!*



Mogło tak się zdarzyć. Musiałam ze wstydem przyznać, że było coś przyjemnego w wymyślaniu złośliwostek. I nie było to trudne. Zawsze jest coś, do czego można się przyczepić, albo co nam się po prostu nie podoba. Byłam jednak zdania, że negatywną opinię należy zachować dla siebie. Gdy po spotkaniu z panem Feliksem przedstawiłam moje stanowisko dziadkowi, odparł, że to bardzo naiwne podejście, bo gdyby ludzi jedynie chwalono, przestaliby się rozwijać. Wyjaśniłam, że ja bym po prostu nie chciała, żeby komuś było przeze mnie przykro. Na co dziadek powiedział: dobre z ciebie dziecko. Nie była to pochwała, ton sugerował raczej, że chodzi o jakiś mankament, z którego się wyrasta, jak z pryszczu. Wkurzyło mnie to, więc powiedziałam, że gdybym była wpływową personą, to by mi było zwyczajnie wstyd tak gnoić kogoś, kto w porównaniu z większością krakowskiej bandy miał od początku pod górkę.

↑ Feliks Jasiński na balkonie swojego krakowskiego mieszkania (róg Rynku Głównego i ul. św. Jana) w kimonie i hełmie samurajskim, 1903–1904

Gnoiłabym tylko bogatych i dobrze urodzonych, a biednych bym chwaliła. Jan Bulas urodził się w biednej rodzinie na prowincji, a mimo to zaszedł daleko, już samo to według mnie zasługiwało na szacunek. Dziadek znowu się ze mną nie zgodził. Uważał, że takie kwestie jak sympatia dla twórcy, wiedza o jego trudnej sytuacji życiowej czy uznanie dla wykazanej determinacji nie powinny wpływać na ocenę samej twórczości. Chociaż co do Bulasa akurat z panem Feliksem samurajem się nie zgadzał, to jednak podobnie jak on był zdania, że partactwo nie powinno zajmować miejsca należnego dziełom sztuki.

Zdobiący ściany kościoła ogród stworzony przez Bulasa rzeczywiście zajmował tego miejsca sporo; ile było wolnego, tyle zajął. Lecz to chyba dobrze, skoro alternatywą były gołe ściany. Trzeba być jakimś wariatem, żeby woleć gołe ściany zamiast łąk i sadów, i postaci, o których można wymyślać historyjki, jak się człowiek nudzi na mszy. A poza tym ogród był obiektywnie ładny! Dziadek twierdził że obiektywne piękno nie istnieje, ale moim zdaniem w tej kwestii się mylił. Dziadek za dużo analizował zamiast poczuć, co podpowiada żołądek. Mój zaciskał się z żalu, gdy patrzyłam na szare, popękane tynki, pokryte zielonkawym nalotem, przez który gdzieniegdzie przebijały się smętne duchy kwiatów. Jakby kończył się świat. Ogarnął mnie straszny smutek. Poczułam, że jeszcze chwila i się tu rozbeczę, a Gabs będzie miał uciechę. Właśnie pełzył w moją stronę wąwozem między ławkami niczym ostatni krocionóg w utraczonej krainie botanicznych gigantów.

– I ceg’o tak rycys nad badylokami i chabaziami! Śpik ci leci!

– Bło cie prasne! – syknęłam, ocierając gluty rękawem, na którym został ślad, jakby po ręce przelazł mi ślimak. – Ogródek buł łanny! Gonne krasiate kwiotki. Kwila i co? Taki teraz strasznie ładacy. Loceg’o?

– Loteg’o! Nie fuc jus.

– A kto tam’ok tak hurgoce? – Tubalny głos poniósł się po nawie, podobny do grzmotu przetaczającego się przez góry tuż przed nadejściem burzy.

– P’okwolony – rzucił Gabs, wystawiając pół głowy znad ławki. Zaraz na powrót się schował i przypadł do posadzki plackiem, chichocząc jak głupi.

– Aha! Wyście są te wnąki kiejsiejsego praclowieka, co go próbosc wezwol – odgadł mężczyzna, nazywając dziadka po tu-tejszemu.

Zatrzymał się kilka metrów od nas. W jego głosie usłyszałam ciekawość, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy jest ona dobra czy zła, czy może zwykła ludzka. W wąskim prześwicie pod ławkami widziałam tylko jego wypastowane buty i dół nogawek od garniturowych spodni, a cóż więcej można wywnioskować na podstawie tak skąpych informacji ponad to, że najprawdopodobniej była dziś niedziela. Dedukowałam niczym rasowy detektyw!

Ledwo o tym pomyślałam, zaskrzypiały wrota i rozległy się kroki. A potem kolejne i kolejne. Tupanie, stukanie, trzeszczenie, mamrotanie. Kościół pomału wypełniał się ludźmi. Szmer naraślał i rozchodził się wokół niczym fala, która po przerwaniu tamy zalewa dolinę. Wkrótce okazało się, że śnieg padający w lipcu pod dachem świątyni nikogo poza nami nie zaskoczył. Wszyscy byli przygotowani. Skryci pod parasolami siadali w ławkach, jak gdyby nigdy nic. Z krzyżowo-żebrowego sklepienia pokrytego zaledwie wspomnieniami secesyjnej polichromii stworzonej przez Jana Bulasa wciąż sypały się płatki tynku.

– Trza stąd dybać. Probłosc wloz na kozalnice, zaroz na nos huknie i psegno. Płojdze hawtyndy. – Gabs wskazał boczną nawę, zrobił kilka kroków na czworakach, po czym odwrócił się do mnie i zasyczał: – Lezies cy nie lezies?

– Przecie leze – wymruczałam do Gabsowego buta. – Zawozos mi ino.

Trzymając się blisko ziemi, ruszyliśmy do wyjścia. Wszystko wokół było poszarzałe i niewyraźne, rozpadało się i niszczało, a tynk leciał nam na głowy, wpadał do oczu, wiercił w nosie i gardle. Gabs ponownie obejrzał się do tyłu, uradowany nowym pomysłem.

– Uwozej na łeb, chylej się, bo my som teraz w dekonkach.

– A ty nie łobziyrej sie tyła, bło cie ruscy usiekom.

Ledwo się zgodziliśmy co do tego, że jesteśmy legionistami na wojnie, gdy gdzieś obok uderzono w dzwon; bił ogłuszająco na alarm. Za plecami słyszeliśmy hurgot podrywanych ławek jak startującą eskadrę wrogich myśliwców. Buczenie silników

wznosiło się i opadało, śpiewając bojową pieśń w obcym języku. Pokryci pyłem i kurzem pełzaliśmy przez labirynt okopów. Czułam przy tym niemal rzeczywisty paniczny strach, z którego wykiełkowało pytanie: Po cośmy w ogóle szli do tych legionów?

Gabsa musiała zainspirować odprawa, którą nam dziadek zrobił przed wyjazdem do Rzepiennika. A dokładnie fragment o tym, jak Jan Bulas zaciągnął się do Legionu Wschodniego na początku pierwszej wojny światowej. Artyści chyba średnio nadają się do woja, może to rozczarowania miłosne obudziły w nim jakąś straceńczą fantazję, która pcha ku zgubie. A może miał nadzieję, że docenią go bardziej po śmierci, i nie chciał z tym zwlekać. Może sobie roił, że nawet pan Feliks powie coś miłego nad trumną, chociaż szanse na to były bardzo marne, ale mógł pomarzyć. Kto nie lubi czasem wyobrażać sobie własnego pogrzebu, na którym wszyscy płaczą i żalują, gdy jest już za późno. Ciekawe, czy też się tak czołgał. Łokieć za łokciem, jak wielka gąsienica. I pokrzepiał myślą: zostawiłem po sobie piękny ogród, więc nie wszystek umrę. Mam nadzieję, że nie patrzy teraz z góry i nie widzi tego spustoszenia.



Ostatnie metry dzielące nas od wyjścia z kościoła przebiegliśmy skuleni jak złodzieje z kreskówek. Uchyliłmy ciężkie wrota na tyle, żeby się precisnąć, i nareszcie wydostaliśmy się z mroków świątyni. Letni dzień buchnął w nas dusznym ciepłem jak stara farelka dziadka. Przed wejściem nikogo nie było, ale na wszelki wypadek odeszliśmy kawałek dalej. Usiedliśmy u szczytu wysokich schodów. Za naszymi plecami na tle błękitnego nieba wznosił się imponujący majestat wiejskiej katedry z czerwonej cegły i kamienia. Przed nami rozciągał się wspaniały widok na dolinę. Kwestie natury estetycznej zupełnie nas jednak w tamtym momencie nie interesowały. Przede wszystkim chcieliśmy się nieco ogrzać w przyjemnym lipcowym słońcu. Byliśmy przemarznięci i brudni, jakbyśmy naprawdę przed chwilą wyczołgali się z okopów. Wytarłam brudne ręce o równie brudne spodnie i westchnęłam:

– Teraz trza nalyż pana dziadka.

Z wnętrza kościoła dolatywały zduszone szmery i zawodzenia. Niezrozumiały wielość pobrzmiwał wspólnym żalem. Wyobraziłam sobie ogromne owady objijające się o ściany, w daremnym poszukiwaniu ogrodu, z którego je okradziono. Nasza misja poszukiwawcza była pozbawiona sensu. Robiliśmy kolejne okrążenia wokół neogotyckiego budynku, powoli tracąc nadzieję, że za którymś winklem ujrzymy dziadka. Nadzieja od początku była wątła, bo też sam pomysł łożenia w kółko był bez sensu. Dawał jedynie złudne wrażenie jakiegoś działania. Nie potrafiliśmy po prostu siedzieć i czekać, baliśmy się jednak odalać od miejsca, w którym widzieliśmy dziadka po raz ostatni.

– Czy dziadek nie zabronił nam wychodzić na pole? – Gabs przerwał milczenie, przechodząc na język krakoski.

– Zakazuje tyłu rzeczy, kto by to wszystko spamiętał – odparłam również w rodzimym narzeczu.

– Ty, a może on czeka na nas w czarnym kościele?

– Dajże spokój. Jak niby mielibyśmy tam dotrzeć? Na nogach?

– W sumie racja. – Gabs wyjątkowo skwapliwie się ze mną zgodził.

Na tę wycieczkę żadne z nas nie miało ochoty. Do pokonania były ze cztery kilometry, a my nie wiedzieliśmy nawet,



w którą stronę. Przede wszystkim jednak chodziło o to, że okrutnie baliśmy się czarnego kościoła, który w rzeczywistości wcale się tak nie nazywał. To, co dane nam było usłyszeć na jego temat po drodze, wystarczyło, żebyśmy kategorycznie odmówili wejścia do środka. Daliśmy przedstawienie, po którym dziadek był zmuszony znaleźć nam inne zajęcie na te kilka godzin, gdy on będzie robił to, co miał do zrobienia w nawiedzonym (według nas) zabytku.

No i w ten oto sposób wyładowaliśmy tego ranka w ogrodzie Jana Bulasa, którego poznaliśmy dwa dni wcześniej u naszej drogiej hrabiny, jak panią Więckowską nazywał ksiądz Wojciech. Humor malarz miał znacznie lepszy niż poprzedniego wieczoru i chyba się na mnie nie gniewał za wczorajsze faux pas. Pewnie też czuł się swobodniej, gdy nie musiał się wic jak piskorz, udając, że wcale nie umyka przed karesami drogiej hrabiny. Tak to nazwał jeden gość z Bulasowej ferajny. Zrozumiałam, że karesy to końskie zaloty. Polichromia była niemal gotowa, ale pan Jan znalazł nam coś do roboty. Dostaliśmy do pokolorowania kilka serduszek, które były stosunkowo proste i znajdowały się na odpowiedniej dla nas wysokości. Tak nam powiedział, ale podejrzewałam, że kluczowe było jednak usytuowanie tego

↑ Waleria Więckowska

→ Wnętrze kościoła, polichromie Jana Bulasa, 2026

wzoru. Ozdabiał podłucze arkady, jej dół łatwo można było zasłonić ławką. Jak się okazało, miałam rację. Zauważyłam, że stała tam teraz ławka i zasłaniała cały nasz wkład. Czy był szpetny, czy nie, to i tak nie miało już znaczenia. Ogród umarł. Wszyscy, których poznaliśmy we dworze, od dawna nie żyli. Może żył jeszcze któryś z młodych artystów. Na przykład ten wesołek od karesów, który do nas wołał z rusztowania: „Jak wam idzie, małe czorty?”. Jeśli żyje, to musi mieć teraz ze sto lat i jakby nas nagle zobaczył, mógłby się przestraszyć jak prawdziwych czortów, dostać zawału i umrzeć jak cała reszta.

Dziadek miał nas zostawić „na chwilę”. Ładna mi chwila. Ułynęło dobre osiemdziesiąt lat. Wiem, że nie porzuciłby nas z premedytacją. Istniało jednak inne wytłumaczenie, znacznie bardziej prawdopodobne. Sprawy tak bardzo go pochłonęły, że o nas zapomniał. Ale w końcu sobie przecież przypomni. Albo zrobi to mama, jeśli dziadek wróci do domu bez nas.

Żeby o tym nie myśleć, zaczęłam się uważniej przyglądać okolicy. Przy kolejnym okrążeniu zauważyłam drobne zmiany. Na parkingu stały inne samochody, kolor budynku, w którym mieszciała się plebania, wydawał się świeższy, trawa była wyższa, zmieniała się również pogoda. Przenikaliśmy przez czas, ale nie potrafiliśmy powiedzieć, jak głęboko. Trudno datować na podstawie kilku subtelnych znaków w obcym miejscu.



– A może chodzimy w złą stronę – zasugerował Gabs. – Spróbujmy w przeciwną do wskazówek zegara.

– To chyba tak nie działa.

– A jak?

– A...

Chciałam oczywiście powiedzieć, że srak, dzięki czemu moglibyśmy kontynuować tę idiotyczną rozmowę nakręcaną wynikającym ze zmęczenia rozdrażnieniem, ale podsycaną rzeczywistym niepokojem. Nagle jednak za plecami szykującego się już do kontrataku Gabsa dostrzegłam nieznaczny ruch. A gdy spojrzałam ponad jego ramieniem, ujrzałam znak. Wisiał ostentacyjnie na widoku i poruszany wiatrem machał do mnie. Bez słowa wyminęłam brata i podeszłam do tablicy ogłoszeń. Według nekrologów był rok 1991.

Kilka następnych kółek zrobiliśmy biegiem, w jedną i drugą stronę, ale daty na tablicy zmieniały się, jak się wydawało, w sposób zupełnie przypadkowy. W końcu zmęczeni i zniechęceni uznaliśmy, że postąpimy zgodnie z zasadami obowiązującymi podczas szkolnych wycieczek: w razie rozdzielenia z grupą należy się cofnąć do miejsca ostatniej zbiórki. Postanowiliśmy wrócić do środka. Może wtedy powróci również ogród, albo dziadek?

Skręciliśmy za róg, zachodząc świątynię od frontu, i zatrzymaliśmy się zaskoczeni zupełnie nowym widokiem. Dziedziniec przed głównym wejściem był rozkopany, a chodnik zamienił się w kupę gruzu. Obok wznosiły się hałdy ziemi przypominające kopce kretów gigantów. Całego tego bałaganu pilnował tylko jeden facet w roboczym kombinezonie. Stał blisko wejścia, wsparty o łopatę i ćmił papierosa z pochyloną w zamyśleniu głową. Rozkopany plac sprawił go najwidoczniej w refleksyjny nastrój.

– Pokwolony! – zagadał mój brat.

Zaskoczony mężczyzna podniósł na nas wzrok.

– Dobry – padła ostrożna odpowiedź.

– Dobry, dobry. Co tu u wos swychać. Aście tutok nagraźzili. Probłosc kozoł wom ryćkać? Młozno se kuknąć? – kłapał dziobem Gabs, spoglądając na gruzowisko z takim zachwytem, jakby podziwiał majestatyczne piękno łańcucha Karakorum. Nie czekając na odpowiedź, podszedł bliżej i zaczął się wspinać.

Mężczyzna wskazał papierosem hałdę, która w reakcji na podjętą próbę zdobycia jej szczytu zaczęła się gwałtownie osypywać.

– Uwozej, pyrtek! Nie lyż dali, bo tam strasznie bystro, a zymia miynko!

Gabs, głuchy na ostrzeżenia, zrobił jeszcze jeden krok. I nagle z łoskotem zapadł się pod ziemię. Jak w magicznej sztuczce. Okropny hurgot zaraz ustał. Ostatnie kamienie przetoczyły się i zamarły. A potem przez chmurę pyłu przedarł się zduszony jęk. Chwilę później coś zawyło spod ziemi tak żałośnie, że aż ciarki przelazły mi po grzbiecie.

– Do piekła wpod! – zawołałam.

– Ech, nie trza było lyż tyndy – stęknął robotnik. Zaciągnął się kiepem do samych palców i pstryknął resztką w dal. Żar przeleciał nad górami pięknym łukiem.

Wczołgałam się na gruzowisko i ostrożnie wyjrzałam na drugą stronę. Kurz zdążył już nieco opaść, odsłaniając widok na ziejącą w dole głęboką jamę. Nie była to jednak jaskinia stworzona przez naturę, tylko tajemnicza podziemna komnata.



Obrzuciłam szybkim spojrzeniem przysypane ziemią i gruzem wyposażenie. Było nader skromne. Dwie trumny i trochę kości. Czyli zapomniany grobowiec! Cóż za wyborny zwrot akcji. Gabs powinien być zachwycony, że tam wylądował, tymczasem ryczał jak pięcioletnie dziecko, a łzy ściekały mu po twarzy brudnymi strumieniami.

– Cegło rycys? – spytałam.

– Drze mie w nodze – zakwękał.

– Ale ciuma z ciebie. Zdolis wyleźć?

– Błoli. – Pokręcił głową.

Noga rzeczywiście była jakaś krzywa. Po drugiej stronie zapadliska pojawił się nasz znajomy robotnik. Zdążył przytargać skądś drabinę i odpalić nowego papierosa. Jego opanowanie dodawało otuchy. Pomyślałam, że być może mój brat nie jest pierwszą osobą, która wpadła do tej jamy. Może codziennie ktoś tam wpada i stało się to już po prostu nudne.

– Takis chybki no i mos. – Mężczyzna stwierdził rzecz oczywistą.

– No i mos – powtórzyłam i dodałam od siebie: – Noge ci urznom, bedzies kalika.

– Nie dam! – wrzasnął Gabs.

– To jus się doktor wyzno, jak gło łobado, cy trza mu noge upitolic. – Facet mrugnął do mnie, a ja wyszczerzyłam się w radosnym uśmiechu.

Zszedł po drabinie, beztriosko pogwizdując. Ustawił ją równo i stabilnie. A potem ukucnął obok Gabsa i pokazał na swoje plecy.

– Chyc się mnie. Młocno rynkami za syje – mówił, a papieros tańcował mu między wargami i nie wypadał. Ogromnie mi ta sztuka imponowała. – No i hopa!

Facet dźwignął się z uwieszonym na grzbiecie Gabsem, który znowu zawył, jakby z niego pasy darli. Ryczał swojemu wybawcy prosto do ucha, ale ten miał widać tak odporną psychikę, że się nawet nie skrzywił. Ruszył ku drabinie i spokojnie zaczął się wspinać. Ja zaś zatkałam sobie uszy, żeby nie słyszeć tych wrzasków, i sama również zaczęłam chlipać. Nagle jakiś cień padł na tę dramatyczną sytuację. Spojrzałam w górę. Nad wykretem stał dziadek. Schylił się i przytrzymał drabinę, a potem przejął Gabsa, który tak się zdziwił, że przestał beczeć.



– Wyjorzył się do grobu! Utroncił se noge – wyjaśniłam.

Dziadek spojrział na mnie dosyć surowo. Zauważyłam, że nasz talent do języków wcale go nie cieszył, może nawet irytował, jakby to było coś niewłaściwego. Na szczęście zaraz przeniósł wzrok niżej, a gdy tylko objął spojrzeniem wnętrze grobowca, wyraz jego twarzy od razu złagodniał.

– Odkryliście kryptę – zauważył z ożywieniem. – Wiadomo już, kogo tam pochowano?

– Tak na logikę, to w jednej z tych trumien powinny znajdować się szczątki naszego księdza Ciurkiewicza, fundatora kościoła. Skoro własne pieniądze na budowę wyłożył i osobiście cegły wybierał, to gdzie by mu lepiej było leżeć – odparł mężczyzna, tym razem bez śladu gwary, co mnie tak zaskoczyło, że nie zwróciłam uwagi na osobliwość samej wypowiedzi. Zauważyłam za to towarzyszący jej pobłażliwy uśmiezek, gdy dodał: – Pana to raczej zainteresuje, kogo tu z pewnością nie pochowano. Nie jest to grób Bulasa ani hrabiny Więckowskiej.

I nagle zrozumiałam, kim był ten facet. Dziadek również, sądząc po tym, jak się w momencie usztywnił. Stracił całe wcześniejsze zainteresowanie grobowcem i zarządził odwrót, ledwo skinąwszy facetowi, który obserwował nas z miną sfinksa.

Dziadek nazywał ich statystami, my agentami, bo to brzmiało fajniej. Nie wiem, do jakiego rodzaju bytów przynależeli. Przeważnie trzymali się na dystans i ograniczali do biernego

↑ Fragment mapy wsi Rzepiennik Biskupi, na mapie oznaczono drewniany kościół św. Klemensa, obok nowy murowany kościół Wniebowzięcia NMP, 1850



obserwowania. Tylko czasami zdecydowali się ujawnić. Chyba jedynie po to, żeby nam uświadomić, jak niewiele wiemy i jak mało widzimy. Miałam wrażenie, że agenci wiedzą, kim jesteśmy, lepiej niż my sami. Podsumowując: byli wkurzający.

– Do zobaczenia – powiedział agent udający robotnika, ale skierował te słowa tylko do mnie, z miną mówiącą: „Coś wiem, ale ci nie powiem”. I dlatego, upewniwszy się, że dziadek tego nie zobaczy, pokazałam mu język.

To był intensywny dzień pełen przygód, a jednak dręczyło mnie poczucie, że został za wcześnie przerwany. Niedokończony. Zastanawiając się, co mogło być dalej, obserwowałam przez tylną szybę, jak Rzepiennik oddala się coraz bardziej.

↑ Okładka gazety „Nasz Kraj” ilustrowana przez Jana Bulasa, 1907

Pamiętam wyraźnie ten ostatni obraz, którym mnie żegnał. Zobaczyłam ognisko płonące pod lasem, a w tle ośnieżone Tatry. Spomiędzy drzew wyszedł samotny mężczyzna, dźwigając wielką naręcz chrustu. Nakarmił płomienie, rzucając im wszystko naraz, jak wygłodniałym zwierzętom. Pożarły ze smakiem i w jednej chwili urosły tak, że mogły teraz oblizać jęzorami niebo na deser. Mężczyzna usiadł obok na pniaku, obserwując z aprobatą, jak najedzony ogień wesoło dokazuje. Chwycił wystającą gałąź i podrażnił żar, wznecając pióropusze iskier, które zaraz rozwiął wiatr. Miałam wrażenie, że już kiedyś widziałam tę scenę. Zaraz jednak uświadomiłam sobie, że to działo się w tym wierszu, którym narobiłam zamieszania. W kolejnej zwrotce:

*Tak siedząc, wziął gałązkę i wzruszył stos pniaków,
Płomienie buchyły z ognia, pędzone przez wiatry,
A dym... cudny dym... jak myśl zakrył wierzchy krzaków,
I jak mgła, lecąc w niebo, mgłą zastaniał Tatry¹.*

– Dziadku, co to jest watra? – Przypomniałam sobie, że miałam o to spytać.

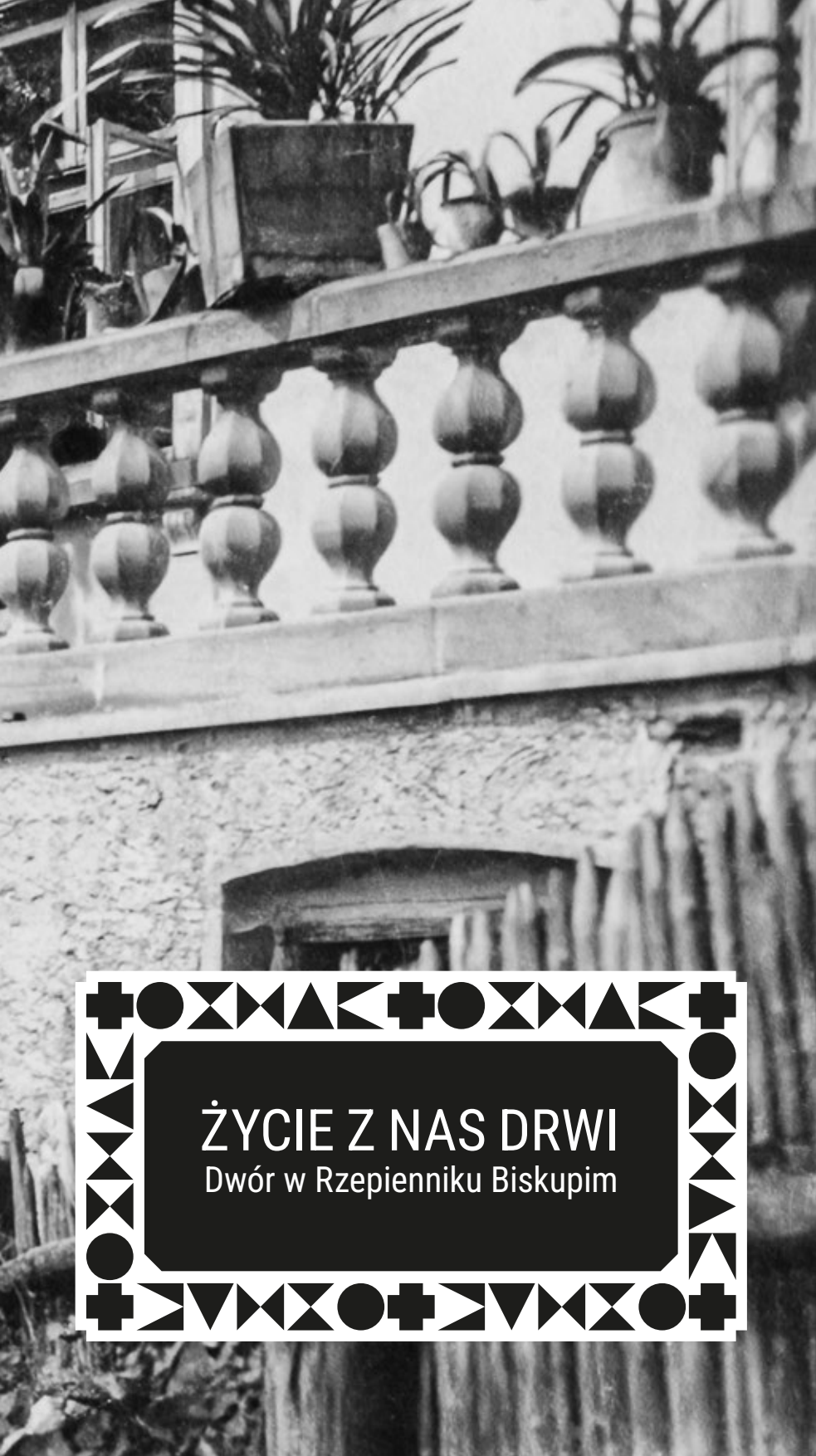
– W tym kontekście to po prostu duże ognisko, przy którym ludzie się zbierają, żeby powspominać, poopowiadać, poczuć wspólnotę – odparł dziadek.

Zastanawiałam się, czy ten mężczyzna pod lasem na kogoś czeka. Moje powieki zrobiły się ciężkie. Osuwając się w sen z czołem opartym o szybę, czułam ciepło pełgające po twarzy, chociaż ognisko należało już do przeszłości. Został tylko gęsty jak jesienna mgła dym, zasnuł widok, zakrył Tatry i myśli.

1. Jan Bulas, *Altruista*, „Nasz Kraj” 1907, z. 17.

Rodzina Więtkowskich przy wschodniej elewacji dworu, na dobudowanym w 1925 r. tarasie, pośrodku widoczna Waleria Więtkowska z synem Janem, międzywojnie





ŻYCIE Z NAS DRWI

Dwór w Rzepienniku Biskupim



„Życie z nas drwi”¹. Wszystko zaczęło się od tego artykułu i wiersza. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o Janie Bulasie.

Jeszcze w Krakowie dziadek umówił się na plotki z krytykiem i tym razem do 1909 zabrał tylko mnie. Przypuszczam, że nie chciał być odbierany przez pryzmat wybryków Gabsa, ponieważ pan Feliks miał wysokie standardy, a tych, którzy nie byli w stanie im sprostać, nazywał kołtunami, nawet jeśli nie mieli włosów, albo pouczał i edukował, nawet gdy byli od niego starsi. Po poprzednim spotkaniu, które odbyło się u niego w domu, niewątpliwie został absmak, za który odpowiadał naturalnie Gabs. I jego durne pytania. Otóż mój głupi brat zapytał gospodarza, „czy założył te cesarskie szaty, ponieważ wybiera się na bal, i gdzie ten bal, i czy trzeba mieć zaproszenie, czy można wejść po angielsku”. Mnie też ten niecodzienny ubiór zaskoczył, tyle że ja potrafię logicznie rozumować, więc domyśliłam się, że nie może chodzić o żaden bal, gdyż minęło dopiero południe, pora za wczesna nawet na kinderbal w przedszkolu. A skoro to nie bal był przyczyną dziwnego ubioru, to wewnętrzny głosik podpowiadał mi, że lepiej milczeć.

1. Jan Bulas, *Nasze hasło*, za: M., *Jan Bulas*, „Głos Narodu” 1909, nr 151

↑ Fotografia ślubna Jana Bulasa i Józefy Rusnak, 1915

Tym razem panowie spotkali się w Jamie Michalika i krytyk tylko czapkę miał dziwną, wyglądała jak odwrócony rondel bez ucha. Widocznie cesarskie szaty i samurajskie zbroje nadają się lepiej jako ciuchy „po domu”. Z początku byłam rozczarowana ową Jamą, gdyż nie była to żadna jama, tylko zwykła knajpa. Jadłam ciastka i popijałam herbatę, a oni dyskutowali. Byłam trochę zaskoczona, bo smarowali po kimś jak najgorsze plotkary z mojej klasy. Naprawdę brzydko. Przy tym raz jeden, raz drugi stukał palcem w leżącą między nimi gazetę, gdzie – jak wynioskowałam z kontekstu – wszystkie te ploty i wyzwiska zostały opisane, w dodatku nie po raz pierwszy. No zupełnie jak w liścikach, które te okropne dziewczuchy wymieniały między sobą podczas lekcji. Tylko że w tym przypadku rozgrywało się to na łamach gazety, żeby cały Kraków mógł się pośmiać. Czyli nawet gorzej. W końcu im ta gazeta spadła na podłogę, widocznie miała dosyć tego dżgania, tak jak ten obgadany w niej biedaczyna miał pewnie dosyć obraźliwych pomówień. Ów człek tak się w końcu wkurzył, że podał całą lożę szyderców do sądu. Gazeta zaś była pozbawionym prawa głosu doręczycielem złych wieści, więc tylko leżała pod stolikiem jak niepyszna. No to ja ją szybkoitko capnęłam, bo chciałam wiedzieć, czym się tak ekscytują stare chłopiska i o jakie bagienko im chodzi. Trudno mi było się jednak skupić, bo strasznie byli głośni. Krytyk krytykował, a dziadek namawiał go do zawarcia ugody i pohamowania języka w koleijnym tekście.



Jan Bulas.

Malarski, dekorator, poeta, publicysta, podróżnik. Próbki krytyczno-psychologiczne.

Dnia 6 lut. w sobotę o godzinie 9 rano odbędzie się przed trybunałem przysięgłych rozprawa prasowa, z powodu skargi wniesionej przeciwko nam przez p. Bulasa. Chcąc zaznaczyć naszą postawę, a jak znakomicie! w szczególności mamy do czynienia, podajemy poniżej otyłkę tego wspaniałego naszego artysty, który zarówno na polu sztuk plastycznych, jak i w poezji, w publicystyce polskiej, a wręcz jako podróżnik i badacz nowego świata — zdobył zasłużone laury i opiekę takich znawców i mecenasów sztuk pięknych, jak pp. Haaseke, Feldman i Bakal.

W dalszej polskiego piśmiennictwa i polskiej kultury p. Bulas otrzymał już rangę i stanowisko ze strony najpoważniejszej krytyki. Nie przesądzi trudno zaprzeczyc, że najpoważniejszym krytykiem polskim jest obecnie p. W., urzędowy znawca »N. Reformy».

czna, a wśród tego wszystkiego stoi zabłąkany Biskup o wykastlowanej, głuszkawej minie.

Obrazy p. Bulasa posiadawione są dwóch głównych warunków sztuki dekoracyjnej: Gry kolorów i kompozycji. Układ roślinny stojący, ledzący lub w poprzek — forma ich nieprzypuszczona przez przyzmat obserwacji plan i linii, banalne powtórzenie obok siebie motywu, bez powiązania go w interesujący sposób, niedołężna, uproszczone przedrześnianie genialnych krajobrazów Wypiańskiego, co zamydliło oczy naszym »znakomitym znawcom i krytykom sztuki», węgrosz karykaturalny chaos.

Wszystko to daje pojęcie kompozycji. A harmonia? Raczej dysharmonia polegająca na odczuwaniu twardo manier »być w pykach jak dziecko, co dorważy pałacy ojca, wymalować je do najpastrowsze.

Ryzyknie postaci, głów i rąk jak len kołozł niedołężny przy prefontonyonalnej maniere i nadławowaniu Wypiańskiego. Jego krajobrazy, zwłaszcza te, które po powrocie z Ameryki wystawiał jak młoda było ma to porwał się odpowiadać wartości tych, co to pada śród nas, jako »śliznowo-czerwone sa u

– Jako biegli wystąpią pańscy koledzy, poddadzą obrazy obiektywnej analizie, jako kryterium oceny będzie brany pod uwagę warsztat, nie zaś osobiste preferencje czy brak biegłości malarza w innych dziedzinach – mówił dziadek.

– Ta prowincjonalna zawziętość i brak dystansu. Doprawdy, komedia! Czy raczej tragikomedia! – prychnął Jasieński i dodał kategoriycznym tonem: – A swoich słów nie cofnę. Walenie prawdy, brutalnej, no cóż, tak to z prawdą często bywa, jest moim obowiązkiem. To, czym pan Bulas upstrzył ściany gmachu, pobiło kolejny rekord ohydy. To jest antyartystyczna nędza, na dodatek ubrana w płaszczyk patriotyzmu.

– Pan się zanadto zdenerwował tym, co W. napisał o udoskonalaniu pomysłów Wyspiańskiego, pan się zraził, gdyby nie słowa tego...

– Dyletanta? Urzędniczyny promującego miernoty...

– Co do W. trudno się nie zgodzić, pamiętając jego liczne bąki.

– Bąki rozmiarów tych z bohomasów protegowanego. Pchły wielkości konia...

Pomyślałam, że bardzo chciałabym zobaczyć takie pchły.

– Te pchły ciągnęły wóz czy każda miała ułana na grzbiecie? – zapytałam.

Panowie spojrzeli na mnie, jakby zaskoczeni, że tuż obok ktoś jeszcze siedzi. Pan Feliks klepnął dłonią w stół.

– To jest wyborny pomysł. Namaluj to, a jak będzie dobre, to kupię.

– Z ułanem czy z wozem?

– O tym sama musisz zdecydować.

Powrócili do rozmowy, a ja pożałowałam, że nie mam kredek. Ale do 1909 nie wolno przynosić swoich kredek. Ani zabierać tutejszych pieniędzy do 1994. Bez sensu. Pewnie i tak by nie kupił, tylko powiedział, że mój ułan na pchle jest czymś absolutnie ohydny.

– Obaj się mają za ludzi renesansu. Wszak ignorancja, którą W. szerzy w swoich artykułkach, nie ogranicza się jedynie do sztuk plastycznych. A trudno wybrać, na której z dziedzin zna się najgorzej. Pamięta pan jego recenzję *Wesela*?

– Nie sposób zapomnieć. Ale czy nie jest tak, że pańska niechęć do W. rzutuje na wszystkich, których ten pochwali? Nie zawsze

możemy mieć takich patronów, jakich byśmy chcieli. A Bulasa chwalił przecież Wyspiański.

– Naśladownictwo jest najwyższą formą pochlebstwa – zakpił krytyk. – A pan Bulas nie poprzestał tylko na malarstwie w swoich nieudolnych próbach naśladowania mistrza. Ciekawe, jaka byłaby opinia Wyspiańskiego na temat owych literackich podpróbek ucznia. Miał szczęście nie dożyć spłodzenia tego sztuczydła o jakże oryginalnym tytule *Szczęście. Obraz sceniczny w czterech częściach*. No doprawdy godna to kontynuacja *Wesela*. Tam wieś i tu wieś, dziewczę gąski pasa...

– Ma pan rację, to rzecz fatalna, naprawdę okropna.

– A te wiersze! Jeden utknął mi w głowie, z tą typową natarczywą bezczelnością rzeczy najgorszych. Aż wstyd to publicznie wypowiadać. – Krytyk ściszył głos i wypluł cytat z obrzydzeniem: – „Życie z nas drwi po prostu, / Od maleńkiej komórki – aż do wodorostu”. Przecież to nawet nie ma sensu! Dalej jest jeszcze gorzej. Oszczędzę uszy szanownego pana i tej młodej damy.

To było z pewnością o mnie, więc tym pilniej nastawiłam uszu.

– I tego bronić nie zamierzam – odparł dziadek ugodowo. – Ale będę bronił malarstwa. Nie każdy może być człowiekiem renesansu.

– A człowiekiem baroku? – spytałam.

– Nikt nie chce być człowiekiem baroku – odparł dziadek z delikatnym przekąsem.





– Nikt nie chce, ale wielu się staje – podchwycił Jasieński, celując w moją stronę trzymaną w dłoni filiżanką, aż się przestraszyłam, że rozpoznał we mnie człowieka baroku. Pewnie przez piętrzące się na stoliku talerzyki po tych pysznych ciastkach i deserach. – Panienska słusznie nam przypomniała o tym, co otrzymujemy, gdy gorliwości towarzyszą brak talentu i mania wielkości. To, co się wylęło z prób udoskonalenia renesansu: manieryzm! Wie pan co? Zmieniłem jednak zdanie!

↑ Jan Bulas, *Szczęście*, obraz sceniczny w 4 częściach, okładka, 1907

– Naprawdę? – spytał dziadek bez przekonania. – Pewnie na jeszcze gorsze.

– Ale nie powie pan, że zdania zmienić nie potrafię. Widzi pan, potrafię! Otóż geniusz Wyspiańskiego nie przekwitł w uczniu jego w barok! Gdzież ja miałem głowę! Wszak przepoczwarzył się w manieryzm! Zdeformowany, pstrokaty, patetyczny i sztuczny. Pan Bulas to prawdziwy człowiek manieryzmu.

– Z panem to musi być zawsze tak ciężko – rzucił dziadek zmęczonym głosem.

– Niech mi pan powie coś, czego nie wiem – odparł Jasieński bardzo z siebie zadowolony. – Człowiek manieryzmu! No przecież genialne! Chciał być człekiem renesansu, lecz zabrakło mu dystansu!

Nie wiem, co dziadek chciał tym spotkaniem osiągnąć, ale zdaje się tylko pogorszył sytuację. A może to ja, gdy wyskoczyłam z tym barokiem.

Niedługo potem dziadek zabrał nas do Rzepiennika na jedną z tych wypraw, co to się zaczynają wyjazdem z Krakowa A.D. 1994, a po dotarciu na miejsce okazuje się, że jest dopiero 1912, ale wcale nie przybyliśmy za wcześnie, tylko jesteśmy w sam raz na kolację. Tak powiedziała właścicielka dworu, Waleria Więckowska, gdy wysiedliśmy z samochodu. Wysła nas powitać w asyście męża oraz księdza. Była dużą kobietą, groźną nawet gdy się uśmiechała.

– Nasza droga pani hrabina na przyjazd szanownego pana z wnuczętami naszykowała prawdziwą ucztę! – powiedział ksiądz, zerkając na gospodynię z takim podziwem, jakby naprawdę sama jedna tę ucztę szykowała.

Ktokolwiek szykował, znał się na rzeczy. W nozdrzach rozgościł mi się zapach wyjętego z pieca ciasta. Zaburczało nam z Gabsem w brzuchach w tej samej chwili, więc zachichotaliśmy. Zawiał lekki wietrzyk i zapach wypieków wyparły zapachy wsi: pokrytej wieczorną rosą trawy, gnijących w niej owoców, obornika, kurzego łajna, kwiatów, ziół, dymu i nagrzanym po całym dniu bielonych ścian dworu jaśniejącego w zapadającym zmroku. Pomijając wonie kupne, pachniało tu pięknie. O wiele ładniej niż na wsiach w 1994 roku. Melodia wieczoru też była piękniejsza.



Żadnych kosiarek, pyrkających traktorów, samochodowego szumu. Tylko szum wiatru w liściach i koncert zwierzęcej orkiestry: w trawie grały świerszcze, w koronach drzew pohukiwały sowy, w krzakach śpiewały jakieś ptaki, chyba słowiki, a zza otwartych drzwi obory dolatywało marudne muczenie krowiej solistki. Oby nie dali nam mleka do popicia. Na tych wycieczkach z dziadkiem często dziwnie karmią. Raz dadzą dziesięć tortów o śmiesznych nazwach, innym razem mleko z kozuchem albo zupę z raków lub, co gorsza, jakieś kapłony czy kwiczoły, już nie wspominając o ozorkach i móźdżkach pod różnymi postaciami. Raz na taki móźdżek natrafiłam nawet w, jak mi się dotąd wydawało, najbezpieczniejszym daniu, naleśniku! Należało więc bardzo uważać.

Przez te wszystkie zapachy przebijał się jeszcze jeden: świeżej farby. Chyba trwał remont, ale jego ślady uprzątnięto na nasz przyjazd i został tylko zapach. Służące układały na stole półmiski i dojrzałam tam na szczęście również rzeczy zjadliwe, jakieś kiszonki, śledzie, bułeczki, konfitury. Nagle jednak moją uwagę przykuło coś innego – czarny kotek siedzący jak egipska

↑ Waleria z dwoma aktorami podczas spektaklu wystawianego w dworskim ogrodzie, pocz. XX w.



figurka pośrodku dużego pokoju, do którego przechodziło się z jadalni. Pobiegłam się z nim przywitać, a Gabs poszedł za mną. Kot dał się głaskać, a nawet wałnął się na dywan, prezentując brzuszek. Był ulany jak wielka czarna foka, pewnie popijał kwiczoły mlekiem z kozuchami. Nagle coś głośno szurnęło w jadalni, a potem z brzdękiem upadło na podłogę. Kot wytrzeszczył gały, zakręcił się w nerwowym breakdansie. Za piątym obrotem udało mu się wydzwignąć sadło do pionu i zaraz czmychnął do kolejnego pokoju w amfiladzie. Wstaliśmy z dywanu i wtedy zobaczyłam kwiaty na ścianach. To były te molochy, na które pan Feliks tak okropnie wygrymaszał. Chyba zwariował! One były piękne! Na każdej ścianie inne, kolorowe, wielkie, a zarazem delikatne, z konturem poprowadzonym cieniutkim pędzelkiem. Tapety w moim pokoju wydały mi się naraz strasznie nieciekawe.

– Dzieło naszego artysty – odezwała się pani domu tuż nad moją głową, aż podskoczyłam z przestachu. – O, proszę, jest i on! Nasz drogi artysta.

↑ Wejście do dworu od zachodu, w przyczółku widoczna ażurowa dekoracja

Tu chyba wszyscy byli „nasi” albo „drodzy” lub tacy i tacy. Wyraźnie słyszałam, że w dyspozycjach wydawanych służbie ja i Gabs występujemy jako „nasi mali goście”. Artysta spieszył się trochę, myślałam, że to przeze mnie i Gabsa, ale później doszłam do wniosku, że chodziło o Walerię.

Zawsze trochę dziwnie i niezręcznie jest spotkać kogoś, kto był wcześniej obgadywany, nawet jeśli się tylko słuchało. Jan Bulas rzeczywiście był nieco podobny do Wyspiańskiego. Ale może każdy chłop z brodą, wąsami i takim loczkiem nad czołem jest do niego podobny. Miał też ubranie robocze w podobny sposób pochłapane farbami, tyle że w innych kolorach. Ta pstrokata paleta z pewnością nie znalazłaby uznania krytyka, od razu by zwierzył, że gdzieś niedaleko powstaje właśnie kwiatowy molo, po którym łążą robale wielkości noworodków.

– Dobry wieczór państwu – powiedział malarz i zaraz dodał, że ma brudne ręce i musi się przebrać, bo wraca prosto z pracy.



Zrejterował z wyraźną ulgą, a hrabina patrzyła za nim z takim zachwytem, jakby to był sam Wyspiański. Tu się działy jakieś dziwne rzeczy. Jak w tych komediach, w których każdy kocha się nie w tym, co powinien. Podobno pan Jan zakochał się kilka lat temu w jakiejś kobiecie na statku i pod koniec rejsu w Santos ona mu powiedziała, że jest sparaliżowana i nic z tego nie będzie. Bo wcześniej przez te czternaście dni cały czas tylko siedziała. No nie wiem, ja bym chyba już po trzech dniach nabrała jakichś podejrzeń i nastąpiła jej na stołę, albo w inny dyskretny sposób się wywieźdźła, czy siedzi, bo lubi, czy kryje się za tym jakaś ponura historia.

Gdy zasiedliśmy do kolacji, zauważyłam, że ten miłośny wielokąt ma jeszcze jednego bohatera. Młodziana z wąsem. Za sprawą sprzecznych sygnałów jego rola pozostała dla mnie niejasna aż do ostatnich kęsów deseru. Najpierw myślałam, że to sąsiad, który wpadł coś pożyczyć lub coś oddać i głupio było go nie zaprosić do stołu. Zasiadł jednak u szczytu stołu, na miejscu należnym panu domu jak psu buda, zawsze i wszędzie jak świat stary i szeroki. Pewność, że nie jest sąsiadem, zyskałam w połowie zupy, gdy dziadek nazywał go „panem Więckowskim”. Zrozumiałam też, że to jego, a nie Bulasa ma na myśli Waleria, mówiąc o „moim Janie”. Gdy już sądziłam, że potrafię wskazać miejsce tego Jana w układzie, usłyszałam jak ksiądz zapytuje go o studia, dodając „mój synu”. No litości!

We frenetycznym klimacie panującym przy stole nie do końca odnajdywał się też Jan Bulas. Wyglądał na dosyć smutnego człowieka. Rozmawiał głównie z siedzącym obok młodym mężczyzną, panem Czerwińskim², należącym do ekipy artystów pomagających przy polichromii. Obaj mieli niedomyte z farb dłonie, czerwone od szorowania szczotką. Rozważali, jakie mogą być konsekwencje tego, że kościół posadowiono na skale, a ława fundamentu została położona bezpośrednio w ziemi. Dyskutowali ściszonymi głosami, lecz z dużym zaangażowaniem, a dziadek się im przysłuchiwał. Jednak zagadywany przez panią Więckowską na jakiś luźny temat, Bulas wyraźnie tracił rezon. Pomyślałam, że może czuje się po prostu przygnieciony połączonym ciężarem osobowości reszty towarzystwa. Byłam pewna, że Waleria samym spojrzeniem potrafiłaby zmiażdżyć dwudziestu chłopca. Odniosłam wrażenie, że nawet dziadek trochę się jej bał.

2. Edward Czerwiński – malarz i grafik, bywał we dworze, istnieje teoria, że należał do ekipy pracującej nad polichromią.

← Jan Bulas, dekoracja kwiatowa, 2025

Nie sprecyzował, jaki był cel tej wycieczki. Twierdził, że musi sprawdzić to i owo, ale nie ukrywał, że priorytetem była powstająca w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny polichromia autorstwa Jana Bulasa. Prace nad nią zmierzały ku końcowi i dziadek chciał obejrzeć świeżutkie dzieło. Wiem jednak, że interesował go również sam autor, co jak na niego było dosyć nietypowe. Spytałam dziadka, czy Bulas wyniósł się na prowincję przez pana Feliksa i jego bandę. Dziadek odparł, że to nie banda, tylko bohema, a proces zakończył się ugodą. Uświadomił mi również, że chociaż dla mnie od tamtych zdarzeń minęły ledwo dwa miesiące, w życiu malarza upłynęły trzy lata.

Jeśli dziadek sądził, że trzy lata to wystarczająco dużo, by zapomnieć o urazach i krzywdach, to się grubo mylił. Znał się na sztuce, architekturze i historii, ale ze zrozumieniem tego, co siedzi u artysty w duszy, miał chyba mały problem.

Następny dzień dziadek spędził z artystami w kościele. Nas nie zabrał, o co nie mieliśmy pretensji, bo we dworze było na pewno ciekawiej. Wystarczyło unikać drogiej pani domu i można było bardzo miło spędzić czas. Byliśmy w stajniach, gdzie głaskaliśmy konie, i w stodole poskakać na sianie. Na podwieczorek kucharka ukroiła nam po kromce chleba, takiej, co idzie przez cały bochen. Była ogromna, wielkości chrapączka pana Bulasa. Zabraliśmy te kromy z masłem i solą oraz słoik kompotu i poszliśmy do sadu. Pożyczyliśmy też sobie z pokoju malarza jakieś puste kartki i trochę farb i z tymi wszystkimi gratami rozłożyliśmy się w cieniu na piknikowym obrusie. Zabrałam się do malowania ułana na pchle, niestety nie potrafiłam sobie przypomnieć, jak jedno i drugie dokładnie wygląda. W głowie miałam jedynie jakieś mętne kształty, więc sporo musiałam sobie dopowiedzieć.

- Na co ci to wygląda? – spytałam Gabsa, gdy skończyłam.
- Indianin siedzi na żuku gnojniku.
- Blisko. Ile byś za to dał? Koron.
- Ja tego nie chcę.
- Ale jakbyś był słynnym kolekcjonerem.
- Tym bardziej nic.
- A jakbym powiedziała: cena albo śmierć!
- Śmierć.

– Gabs!

– No co! Nie chcę twoich bohomasów. To nawet nie wygląda jak żuk gnojnik! Gdzie ma kupę? Powinien toczyć kupę. A ten Indianin wygląda jak górnik.

– To ułan na pchle – wyjaśniłam markotnie.

– Jak domalujesz kupę, dam pięć koron. Takich na niby. Tylko żeby była duża.

– Sam se kupę namaluj.

Ci kolekcjonerzy są naprawdę straszni. Świat sztuki to kloaka, nic dziwnego, że pan Jan chodzi taki smutny. Namalowałam jeszcze cztery pchły zaprzęgnięte do wozu. W stylu czwórki Chełmońskiego. Taki był przynajmniej zamysł. Najlepsze, co mogę powiedzieć o tym dziele, to to, że było śmieszne.

– Powinnam chyba zacząć od łatwiejszej kompozycji. Statycznej, w stylu Kossaka. Ułan stoi obok pchły, pod okienkiem, a w okienku...

– Żuk gnojnik!

Okropnie się z tego śmialiśmy. Namalowałam tę scenkę, a potem wspólnie zrobiliśmy całą serię, prawie komiks. Z tymi samymi bohaterami, do których dołączyły inne owady. Nadaliśmy im imiona naszych nowych znajomych z dworu, a ułan był dziadkiem. Gdy słońce schowało się za pagórkami, przyszedł po nas nasz drogi kot i poszliśmy do dworu na kolację, dzierząc pod pachami nasze nic niewarte obrazy zwinięte w rulony. Choć czasami rodzice albo dziadek kupowali coś od nas z litości.



Może się uda, a jak nie, to spróbujemy u Hawelki, gdzie według pana Feliksa można gościom wciskać bohomazy za pięć koron.

Ucieszyliśmy się z Gabsem, że tym razem nie będziemy musieli jeść z dorosłymi. Nakryto dla nas w pokoju powojowym. Czekając na kolację, bawiliśmy się z kotem w salonie wielokwiatowym. Niestety nasza hrabina należała do osób, które widząc dziecko pozbawione pożytecznego zajęcia, natychmiast znajdują mu coś do roboty. Takie osoby mogą zażądać na przykład wierszyka, który trzeba deklamować na środku salonu, nie kiwając się przy tym i nie garbiąc. Przekonałam się o tym, gdy pani domu weszła do wielokwiatowego i zostałam przyłapaną na nudzeniu się (kot, zdrajca, czmychnął akurat do krainy ostów). Próbowałam wytłumaczyć, że wcale się nie nudzę, patrzę sobie na te chabazie na ścianie. Planowałam wymalować własny pokój podobnymi i zastanawiałam się, czy pytać mamę o zgodę, czy postawić ją przed faktem dokonanym i liczyć, że efekt ją zachwyci.

– To są irysy – sprostowała Waleria, takim tonem, jakbym ją obraziła.





Następnie zostałam przesłuchana w kwestii edukacji. Temat był grząski, a dziadek w takich sytuacjach radził milczeć albo mówić „nie wiem”, „nie rozumiem”, „nie pamiętam” albo „proszę spytać dziadka”. Po minie pani Więckowskiej widziałam, że moje odpowiedzi jej nie satysfakcjonują, czemu trudno się dziwić. Szło to mniej więcej tak:

– A ile ty masz lat, panienko?

– Yyy, jedenaście – odparłam, uznając, że tyle mogę zdradzić.

– No to już duża pannica z ciebie. Obojeście w jednym wieku z braciszkiem.

– Ja jestem starsza o pół godziny – sprostowałam i zaraz ugryzłam się w język, nakazując sobie milczenie i, jak to mawia dziadek, niewyskakiwanie przed szereg. Czułam, że plecy mam mokre z nerwów, a kątem oka widziałam czającego się za rogiem Gabsa, który chichotał bezgłośnie i robił do mnie głupie miny, jakby był małym dzieckiem, a nie człowiekiem jedenastoletnim.

– Mądrala z ciebie, co? Bardzo dobrze. Pamiętaj, dziewczynki wcale nie są mniej zdolne do nauki od chłopców.

Gdyby nasza droga hrabina mogła zobaczyć, co ten matolo cały czas wyprawia za jej plecami, zapewne uznałaby, że mniej zdolna od niego mogła być najwyżej ta kura, co się rano dała zła-pać na rosół. Ale tylko pokiwałam głową. Potem było jeszcze gorzej. A Gabs zamiast wezwać na ratunek dziadka, nadal tam stał i się wydurniał.

↑ Przed dworem, międzywojnie

← Jan Bulas, kosańce, 2025

– A do której klasy chodzisz?

– Yyy nie, nie, nie wiem – nie wiedziałam, do której klasy mogła chodzić jedenastoletnia dziewczynka w 1912 roku. Dziadek powinien nam wręczać jakieś dossier postaci, które mieliśmy odgrywać, a nie puszczać na żywioł.

– Jak to nie wiesz?

– Uczę się w domu – przyszło mi do głowy proste i genialne rozwiązanie.

– Macie guwernantkę? – spytała z uznaniem hrabina.

– Yyy, dziadek nas uczy?

– O, no, no! Ale coś się dziwić, wszak to niezmiernie mądry człowiek. A czego was uczy?

– Wszystkiego – odparłam z nikłą nadzieją, że to wystarczy.

Naturalnie nie wystarczyło, gdyż pani Więckowska była osobą lubiącą mieć komplet informacji na każdy temat.

– Języków się uczyacie?

– Tak.

– A jakich?

– Angielskiego.

– Coś podobnego! Ogromnie oryginalnie – zauważyła. –

A umiesz rachować?

– Oczywiście – odparłam odrobinę urażona.

– Do ilu?



↑ Młodzi ludzie przed dworem na konnej bryczce, międzywojnie

- Do... do ilu? – zdziwiłam się. – Nie wiem. Ile trzeba.
- A jak ci idzie czytanie?
- Znakomicie. Dużo czytam. Bardzo lubię czytać – wyznałam, nie mając pojęcia, jak wielki popełniłam właśnie błąd, zapominając o ostrożności i ulegając pokusie zaprezentowania się z jak najlepszej strony. Ale sprowokowała mnie tymi uwłaczającymi pytaniami!
- To pięknie. I co ostatnio przeczytałaś?
- Gazetę dziadka – wypaliłam.
- To nie jest odpowiednia lektura dla małej dziewczynki – stwierdziła z naganą szacowna dama i pogroziła mi palcem.
- Zauważyłam, że wszyscy dorośli są tak samo niekonsekwentni. W zależności od sytuacji możesz być dużą pannicą, a za chwilę małą dziewczynką. Nie wiadomo, co gorsze. Duża pannica to ktoś, kogo można zagonić do jakiejś niewdzięcznej roboty, a małej dziewczynce nic nie wolno.
- Okna saloniku były otwarte, miałam więc dobry widok na prowadzącą do dworu brzożową alejkę. Coś się zbliżało, wzniecając kurz i robiąc dużo hałasu. Wóz zaprzęgnięty w dwa konie, a na wozie wesoła ferajna. Moje wybawienie.
- Goście jadą! Wspaniale! – ucieszyła się nasza hrabina.
- Hop, hop! Szczęść Boże! – rozpoznałam jowialny głos księdza Wojciecha, gdy wóz zajechał pod dom. – Strudzeni wędrowcy dotarli na wieczerzę!
- Skrzypnęły wejściowe drzwi i do sieni wtargnęły tupania, wołania i powitania.
- Zdołaliśmy z szanownym panem profesorem ściągnąć naszego artystę z rusztów. Wszak ogrodu nocą się nie obsadza – perorował tubalnie ksiądz.
- Gospodyni odwróciła się w stronę otwartych drzwi, za którymi znajdowały się kolejne pokoje w amfiladzie, prowadzące do sieni, i zawołała:
- Prosimy, prosimy drogich gości! Do salonu. Siadajcie i rozgośćcie się.
- Uznałam to za sygnał, że mogę się oddalić. Lecz pani domu złapała mnie za ramię.
- Czekaj, czekaj, nie uciekaj, moja panno. Przywitaj się ładnie. Jeszcze chwilka do kolacji, to akurat powiesz nam jakiś wierszyk.

– Wie... wierszyk?

– Ach, przepraszam. Wierszyki są dobre dla dzieci, a ty jesteś już dużą panną!

Mówiłam. Dorosli to najgorsze, co przytrafiło się temu światu. Nie można im ufać. Trudno mi było uwierzyć, że naprawdę mogą czerpać przyjemność ze słuchania wierszyków wyklepanych bezmyślnie na pamięć, a potem dukanych z mozołem. Jakby nie dość upokarzające było recytowanie przed całą klasą, to teraz miałam jeszcze występować przed obcymi! Zabawiać ich jak jakaś małpka, żeby czas oczekiwania na kolację im się nie dłużył.

Pomyślałam, że może to niepisana reguła obowiązująca we dworze. Zapraszano tu artystów, poetów, profesorów, a nawet generałów i polityków. Ich goszczenie spełniało wygórowane ambicje towarzyskie państwa, dawało nieco wielkomięskiej rozrywki, tak pożądanej na prowincji. Zamiast wyprawiać się do miasta, sprowadzali miasto do siebie i podejmowali po królewsku, a goście rewanżowali się, wnosząc swój talent, splendor i luminarski blask. Naznaczając miejsce swoją obecnością na wieki. Być może krótką wizytę wystarczyło odplącić stymulującymi intelektualnie rozmowami podczas posiłków. A ci, których pobyt wydłużył się tak bardzo, że zyskiwali niemal miano domowników, musieli dać z siebie nieco więcej. Niby szacowny gość, ale nie do końca. Jak Bulas, który gościnę odpracował, ozdabiając ściany



↑ Na ławce przed dworem, pierwszy z prawej Jan Więckowski, lata 50. XX w.

dworu malowidłami. Nie mam pojęcia, o co mógł zostać poproszony taki na przykład Wincenty Witos, lecz najwidoczniej koszt naszego pobytu wyceniono na wierszyk. Mam nadzieję, że od osoby i że mój brat również zostanie wystawiony na widok publiczny. Wszyscy się przekonają, ile warte jest edukowanie chłopców, gdy Gabs zaserwuje im jedyny wierszyk, który zna na pamięć: o żuczku, który poszedł za chałupkę zrobić kupkę.

Gdy stanęłam przed szacownym gronem, okazało się, że ja również mam w głowie pustkę. Po co się chwaliłam tym czytaniem? Z jakiegoś powodu jedyne, co mi przyszło do głowy, to ta gazeta, którą podniosłam z podłogi w Jamie. Zaraz, przecież tam był wiersz. Jak to szło? Przypomniałam sobie i zaczęłam z bólem:

*Zebrał trochę chrustu, patyków i pniaków,
Siadł obok i pomyślał: trzaby jakiej watry.
Br... zimno trochę – zapalę tu koło krzaków,
I grzejący się, będę spoglądał na Tatry.*

*Myśl w uczynek zamienił; znalazł trzech ślimaków,
Był głodny, więc je spożył, siadłszy koło watry,
Twarzą na wschód zwrócony, więc na lewo Kraków,
Na prawo zaś wspaniale rozsiadły się Tatry³.*

Urwałam, bo tyle udało mi się zapamiętać. Występ, mimo że krótki, zdążył znudzić połowę towarzystwa, zwłaszcza studentów Akademii Sztuk Pięknych. Również proboszcz wyglądał, jakby drzemał, tyle że z otwartymi oczami. Dziadek wydawał się lekko zakłopotany. Lecz przynajmniej na dwóch osobach musiałam zrobić lepsze wrażenie: Jan Bulas wlepił we mnie zdumione spojrzenie, a pani Więckowska klasnęła podekscytowana i odwróciła się do malarza.

– Czy to nie pański wiersz przypadkiem? Tytuł wyleciał mi z głowy. *Archiwista? Aferzysta?*

– *Altruista* – wtrąciłam usłużnie, bardzo zadowolona z własnej erudycji.

– Cóż, rzeczywiście popełniłem ten nieszczęsny wiersz, lata temu... – bąknął malarz.

– W 1907 – doprecyzowałam.

3. Jan Bulas, *Altruista*, „Nasz Kraj” 1907, z. 17.

– Zdumiewające! – zauważył poeta i nawet się do mnie uśmiechnął. – To bardzo miło z twojej strony, młoda damo, żeś dla mnie tak urocą niespodziankę uknuła.

Niczego nie uknułam, ale również się uśmiechnęłam i dygnęłam z tajemniczą miną, jakbym planowała ten występ od co najmniej tygodnia.

– Też jestem zaskoczony – odezwał się dziadek, lecz w jego tonie nie wyczułam aprobaty. Raczej ostrzeżenie, nie potrafiłam jednak odgadnąć przed czym. Może mu się nie podobało, że wysłałam na takiego przypochlebiającego się lizusa. Ale przecież tego nie planowałam. Tak się złożyło.

– Nie sądziłem, że ten stary wiersz można gdzieś jeszcze przeczytać... – kontynuował Bulas, który poczuł się jakby pewniej i swobodniej. Zapewne jak większość artystów niezmiernie lubił rozmawiać na temat swojej twórczości, nic więc dziwnego, że nie chciał marnować okazji, gdy los podsuwał mu taką możliwość.

– Ależ można. Był w gazecie – odparłam.

– W jakiej gazecie? – spytał podejrzliwie malarz i zmarszczył brwi.

– W gazecie dziadka. „Głos Narodu” – wyjaśniłam.

Coś było nie tak. Mężczyzna pobladł.

– Mówisz o tym podłym paszkwilu?

Do tej pory myślałam, że paszkwil to rodzaj niesmacznego pasztetu, teraz jednak załapałam, że nie o taki niesmak tu chodzi.

– Nie, nie – zaprotestowałam. – Tam było napisane: „Wykwintna forma łączy się z głęboką treścią i doskonałym stylem...”.

– To było szyderstwo! – zawołał Bulas, podrywając się z fotela. – Więc teraz nawet dzieci cytują te zniewagi i drwiny popęnione drukiem.

W jednej chwili wróciły do mnie te wszystkie złośliwości, które padły w Jamie. Zaczerwieniłam się jak burak.

– To dziecko czyta, co jej w oczy wpadnie, często wyrwane z kontekstu fragmenty... – Dziadek usiłował załagodzić sytuację i stłumić wzburzenie artysty, lecz ten go nie słuchał.

– Wprost nie do wiary, minęły trzy lata, a te ohydne pomówienia nadal krążą po świecie...

– Nic podobnego, u nas jest pan najjaśniejszą gwiazdą – wtrąciła pani Więckowska i również wstała. – Siadajmy do kolacji.



– Dziewuszka ma doskonałą pamięć, gorzej z rozumieniem treści... – próbował tłumaczyć dziadek.

– ...wciąż tak samo żywe, przypominają o mym poniżeniu na forum publicznym. – Załamany malarz schował twarz w dłoniach.

A co z mym poniżeniem na forum publicznym? Nikogo nie interesowało. Wszyscy zaczęli się podnosić z miejsc, by zasiąść do kolacji, lecz pełna emocji dyskusja toczyła się nadal. Skorzystałam z zamieszania, aby dyskretnie wycofać się do sąsiedniego pokoju. Gabs czał się tuż za drzwiami.

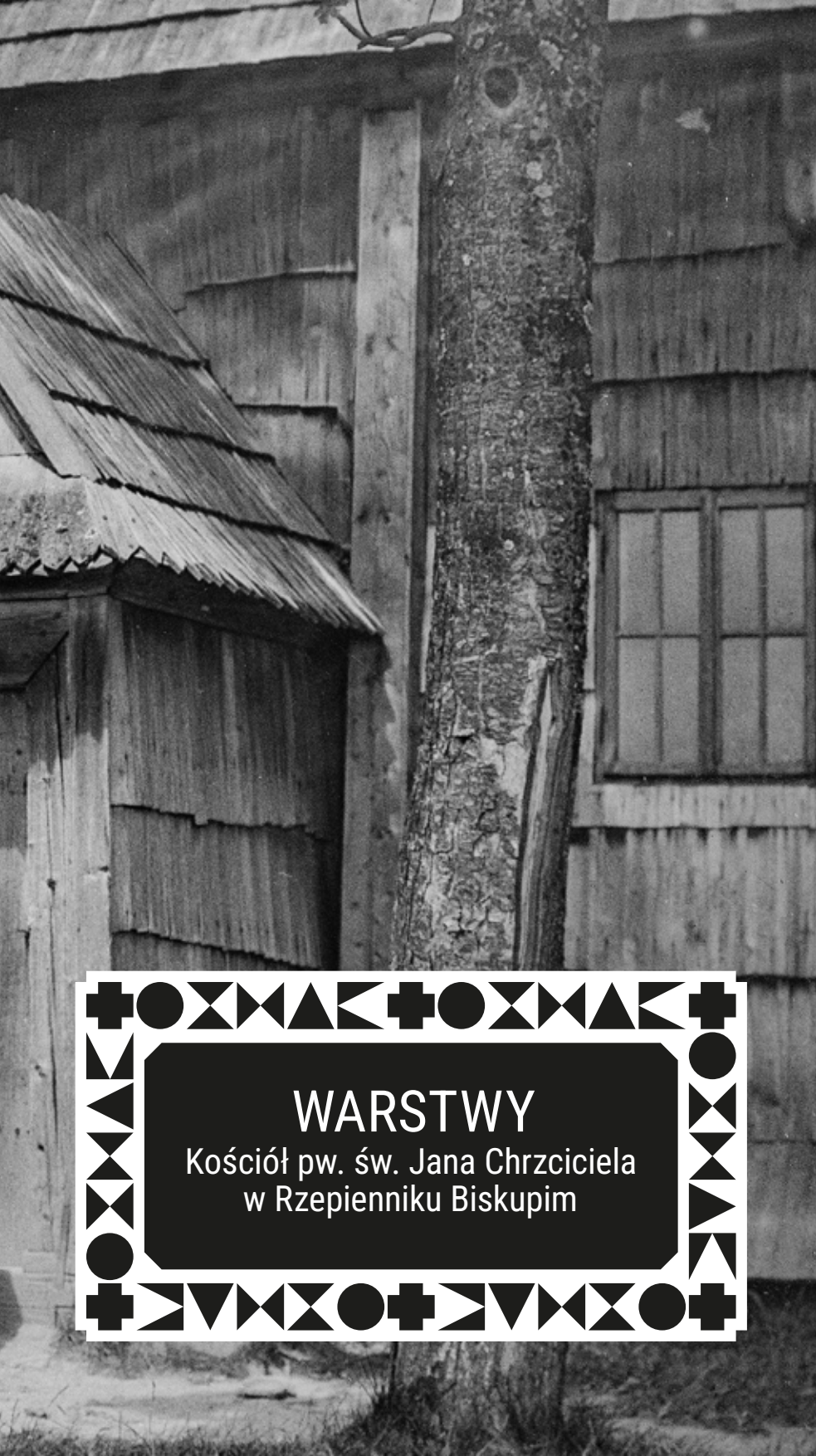
– Gratuluję występu – zarechotał. – Dobiłaś człowieka.

– Zawrzyj gębę, bo powiem naszej drogiej hrabinie, że marzysz, aby dla nich zatańczyć i zaśpiewać.

Siedzieliśmy do nocy w zagajniku za stajniami i stodołą, bez kolacji, jakbyśmy sami się ukarali za nasze przewiny. Mieliśmy jedynie papierówki nazbierane po drodze. Miały cierpki smak, ściągający nieprzyjemnie wewnątrz jamy gębowej, jakby odcięto tam dopływ wody. Odgryzaliśmy więc tylko kęsy, wzdragając się z odrazy i pluliśmy nimi przed siebie, kto dalej. W końcu trudno było dojrzeć, gdzie które kawałki kończą lot. Mrok podnosił się z ziemi, wynurzał z trawy. Ale niebo nadal było szafirowo-chabrowe, nie granatowoczarne. Gdy ustało płucie, dotarło do mnie, jak tu głośno. Sowy, inne ptaki, żaby, świerszcze, wiatr. Nad naszymi głowami załopotwały skrzydła włochatych ciem, ogromnych jak nietoperze albo pterodaktyle. Chwilę później w muzykę nocy wkomponowało się nasze pochrapywanie.

Kościół pw. św. Jana Chrzciciela w Rzepleniemku Biskupim, pocz. XX w.



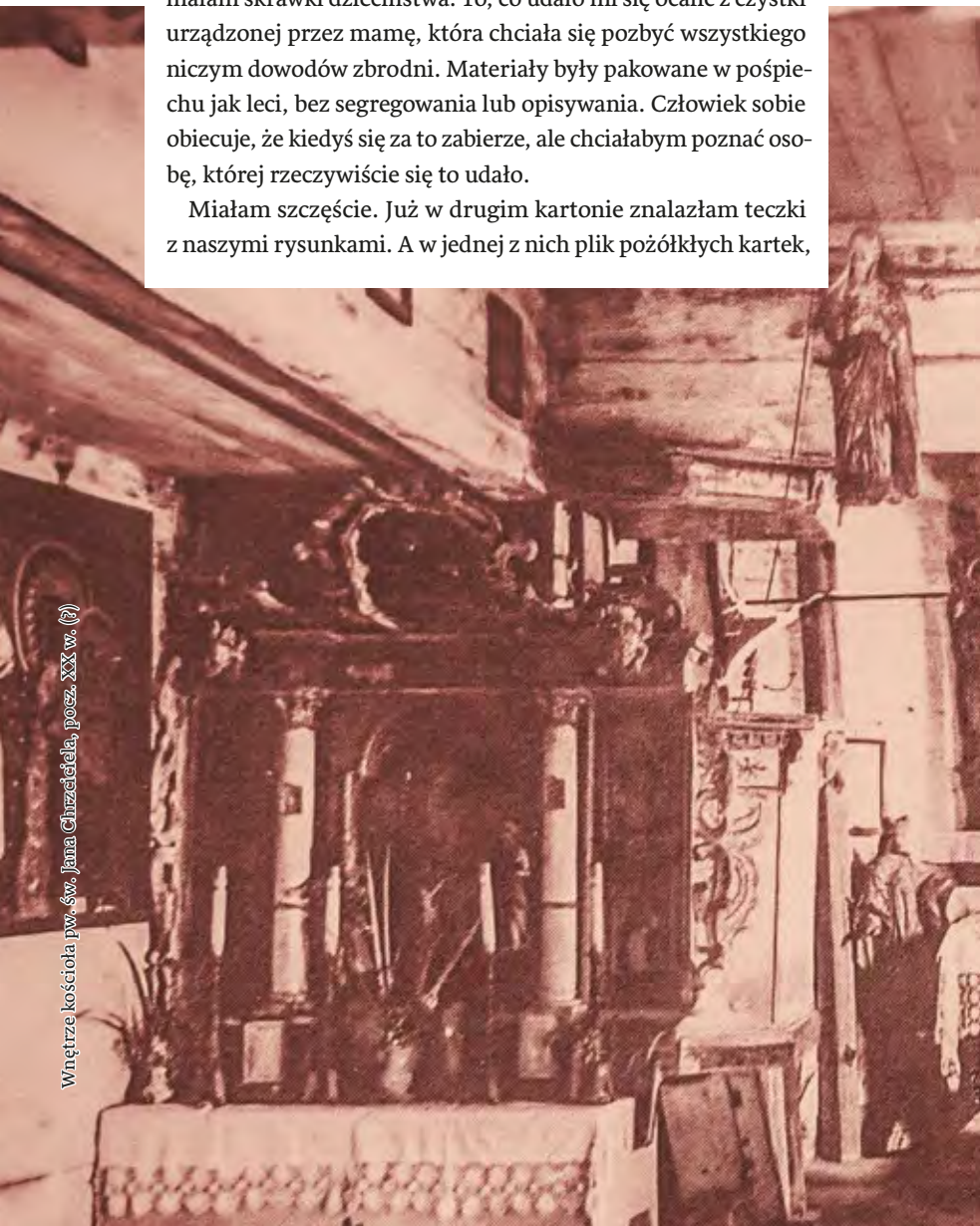


WARSTWY
Kościół pw. św. Jana Chrzciciela
w Rzepienniku Biskupim

Od spotkania w dębnickiej bibliotece minęły trzy miesiące. Odwiedzałam starą dzielnicę regularnie i włóczyłam się po niej pod pretekstem szukania inspiracji do nowej książki, lecz duch dziadka nie raczył się już pojawić. Przeanalizowałam jego pośmiertne poczynania i doszłam do niezwykle banalnych wniosków: do odwiedzin zawsze skłaniały go niedokończone sprawy. Jak na ducha, wyjątkowo dbał o przyziemne kwestie.

Postanowiłam sprawdzić, czy znajdę jeszcze jakiś wątek wymagający zamknięcia. Zniosłam ze strychu pudła, w których trzymałam skrawki dzieciństwa. To, co udało mi się ocalić z czystki urządzonej przez mamę, która chciała się pozbyć wszystkiego niczym dowodów zbrodni. Materiały były pakowane w pośpiechu jak leci, bez segregowania lub opisywania. Człowiek sobie obiecuje, że kiedyś się za to zabierze, ale chciałabym poznać osobę, której rzeczywiście się to udało.

Miałam szczęście. Już w drugim kartonie znalazłam teczki z naszymi rysunkami. A w jednej z nich plik pożółkłych kartek,

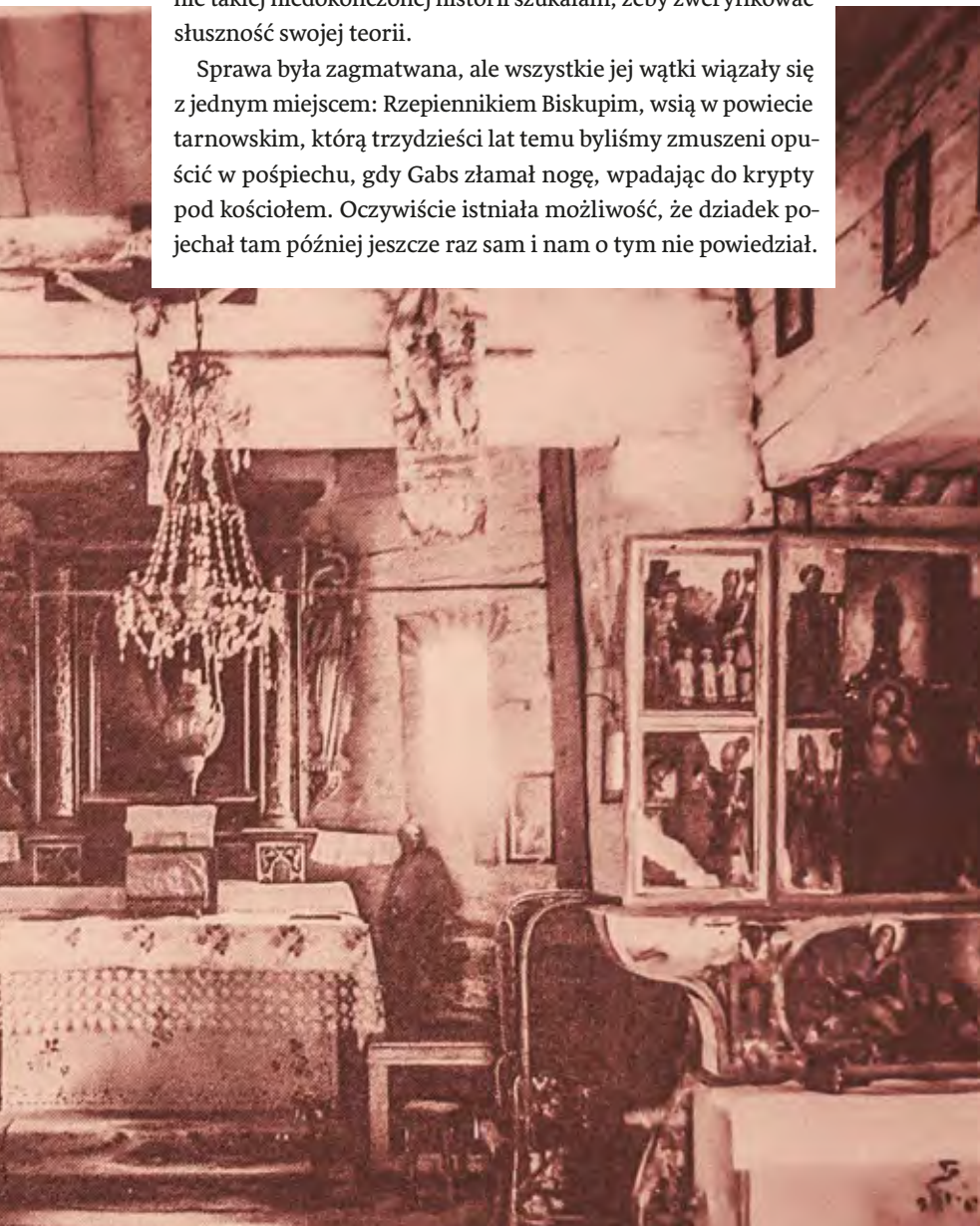


pofalowanych od wilgoci i posklejanych, jakby włożono je do teczki, zanim wyschły. Pewnie darowałabym sobie badanie tego dosyć obrzydliwego znaleziska, gdyby nie obrazek leżący na samym wierzchu. Wykonany z większą starannością niż pozostałe, pierwszy z serii o przygodach owadów mutantów.

– Ułan na pchle wielkości konia – powiedziałam, rozpoznając temat swojej pracy.

Część wspomnień uruchomiła się automatycznie, inne dzięki wskazówkom, które znalazłam na pozostałych obrazkach. Właśnie takiej niedokończonej historii szukałam, żeby zweryfikować słuszność swojej teorii.

Sprawa była zagmatwana, ale wszystkie jej wątki wiązały się z jednym miejscem: Rzepiennikiem Biskupim, wsią w powiecie tarnowskim, którą trzydzieści lat temu byliśmy zmuszeni opuścić w pośpiechu, gdy Gabs złamał nogę, wpadając do krypty pod kościołem. Oczywiście istniała możliwość, że dziadek pojechał tam później jeszcze raz sam i nam o tym nie powiedział.



Zwłaszcza że przy tej sprawie pobiliśmy rekord wpadek. Dla dziadka również nie był to występ życia. Istniał tylko jeden sposób, żeby się czegoś dowiedzieć.

Mój brat odmówił udziału w tej wycieczce. Nie sądzę, aby wspomnienie wypadku nadal sprawiało mu ból. Może znowu pogniewał się na dziadka za to, że umarł i nie żyje, jak zwykły człowiek. A może w jego dorosłym życiu nie było już miejsca na to drugie życie. Pojechałam więc sama.

Gdy byłam dzieckiem, ogromnie poruszyło mnie odkrycie, że ta sama trasa pokonywana w drugą stronę wygląda zupełnie inaczej. Nie chodziło tylko o odmienny krajobraz na horyzoncie, lecz także widoki rozciągające się po obu stronach szosy. Jakby to były dwie różne drogi wiodące przez zupełnie inne miejscowości. Nic dziwnego, że ludzie mogą się zgubić, nawet wracając po własnych śladach.

Mnie to nie groziło, prowadziła mnie nawigacja, odzywająca się od czasu do czasu monotonnym głosem robota. Według mapy zbliżałam się już do celu. Okolice nie wydała mi się ani trochę znajoma i nie było to jedynie złudzenie wywołane zmianą perspektywy. Góry i doliny porosły domami, które połączono skomplikowaną siatką dróg o licznych rozgałęzieniach i odnogach. Las wycofał się pod naporem cywilizacji lub skurczył do rozmiarów przydomowego zagajnika. Teraz na pewno nie umiałabym wskazać miejsca, gdzie widziałam ognisko, choć jego wspomnienie przechowywałam przez trzydzieści lat. Zrozumiałam, jak nedorzeczne było moje przekonanie, że odnajdę je i rozpoznam. Mógł tam stać dom, mogła przebiegać droga. Ogarnęło mnie przygnębienie i zniechęcenie. Całe to przedsięwzięcie wydało mi się naraz pozbawione sensu. Byłam gotowa zawrócić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Czyli za dwieście metrów według mapy, która zasugerowała mi bladą nitkę prowadzącą donikąd, ale w sam raz do nawrotki. Wypatrzyłam ukrytą w wysokich chaszczach odnogę i wychyliłam się, żeby sprawdzić, czy nic nie nadjeżdża z góry. Wąska droga gruntowa wiodła między polami i zniknęła w lesie. A za nim, w oddali, ujrzałam Tatry. Zaskoczył mnie ich widok. Może podświadomie założyłam, że one również musiały się trochę przesunąć, żeby

zrobić nieco miejsca dla czegoś nowego. Tymczasem stały tam, gdzie zawsze. Były nawet bardziej konkretne niż przed trzydziestoma laty, bo nie zasnuwał ich dym i zmęczenie. Nazwa Tatry według najbardziej prawdopodobnej teorii pochodzi od słowiańskiego słowa *trtri*, co oznacza „skały”. Postanowiłam być równie konsekwentna jak te skały. Tyle że w ruchu, a nie bezruchu. Pojechałam dalej.

Miałam wrażenie, że pierwszy raz oglądałam ten usytuowany na skale ceglany kościół w całości. Poprzednio byliśmy skupieni na detalach, wypatrując znaków pomocnych przy datowaniu. Liczyliśmy, że w końcu trafimy na rok, w którym odnajdziemy dziadka. To nawet dosyć zabawne, że trzy dekady później znowu go szukałam w tym samym miejscu. Tym razem odpuściłam sobie chodzenie w kółko i spróbowałam spojrzeć na sprawę jego oczami.

Dwie wieże i schodkowy szczyt nadawały kościołowi surową elegancję. Podobno neogotycka bryła miała nawiązywać stylem do francuskich katedr. Oglądając budynek w słoneczny dzień, na tle lazurowego nieba, uznałam, że coś w tym jest. Dziadek używał jednak określenia „wiejska katedra”. Czekałam więc chwilę, czy nie wyjdzie zza rogu, żeby mi powiedzieć, że się mylę, ale nie pojawił się.

Weszłam do środka i po zaledwie kilku krokach przystanąłam zdumiona. Nim dostrzegłam niepodważalne znaki współczesności obecne we wnętrzu, w pierwszej chwili miałam wrażenie, że wróciłam do 1912 roku. Ale to nie ja wróciłam, tylko malowany ogród Jana Bulasa. Był taki, jak go zapamiętałam z tamtego dnia, gdy dziadek zostawił nas tutaj. Znowu piął się po łukach, porastał ściany i sklepienie. Odtworzono go pieczołowicie kwiatek po kwiatku, przywracając roślinnym ornamentom, obrazom i wzorom ich dawne kształty i kolory. Entropia została zatrzymana. Jeśli na tym polegała rzepiennicka misja, to została ukończona. Tego, czy dziadek miał w tym jakiś udział, pewnie nigdy się nie dowiem.

Skoro jednak już byłam w okolicy, postanowiłam zobaczyć, co słychać we dworze. Podobno ktoś go kupił i remontował, nie wiedziałam więc, jak blisko uda mi się podejść. Powoli toczyłam

się w górę brzoźową alejką, tą samą, którą przed laty (dla mnie trzydziestoma, dla tego miejsca stu trzynastoma) jechaliśmy z dziadkiem w otwartym samochodzie. Takie wspomnienia sprawiają, że momentami czuję się, jakbym żyła na tym świecie od kilkuset lat. To bardzo samotne uczucie.

Dworek stał pośród starych dębów i modrzewi. Od razu rozpoznałam ten murowany budynek z drewnianymi ościeżnicami odcinającymi się wyraźnie od bielonych ścian i charakterystyczną ażurową dekoracją szczytu. Rozstawione wokół domu rusztowania, piętrzące się pod ścianą materiały budowlane przykryte brezentem i betoniarka stojąca na środku podjazdu, jakby witały gości, potwierdzały informację o remoncie. Nigdzie jednak nie dostrzegłam żywej duszy. Po krótkim wahaniu wysiadłam z samochodu i podeszłam bliżej. Jak to bywa z odwiedzinami po latach, dwór wydał mi się mniejszy, zwłaszcza w otoczeniu drzew, które urosły. Jakby to miejsce zostało odtworzone na wzór tego zapamiętanego z dzieciństwa, ale w pomniejszonej skali. To, że podobnie jak podczas mojej pierwszej wizyty, teraz również trwały prace remontowe, wprowadzało pewną historyczną ciągłość, która pewnie spodobałaby się dziadkowi.

– Dzień dobry – usłyszałam męski głos.



Pod wielkim, wiekowym dębem oznaczonym jako pomnik przyrody stał wysoki, chudy mężczyzna z łopatą w ręku i niezapalonym papierosem w ustach. Zaskoczył mnie jego widok, głowę bym dała, że nie było go tutaj przed chwilą; jakby się wyłonił z grubego pnia dębu. Oparł łopatę o betoniarkę, a gdy podszedł bliżej, wydał mi się odrobinę znajomy.

– Dzień dobry – odparłam. – Chciałam tylko popatrzeć.

– Pewnie, proszę sobie patrzeć, nikogo akurat nie ma – rzekł mężczyzna, a ja pomyślałam, że to dobrze, bo nie lubię tłumaczyć, dlatego dany obiekt mnie interesuje. Może dlatego, że nie mogę powiedzieć prawdy.

– Byłam tu jako dziecko – odezwałam się, łamiąc wspomnianą zasadę.

– Rozumiem. – Mężczyzna nie wydawał się zdziwiony, nie oczekiwał też dalszych wyjaśnień. Schował niezapalonego papierosa do paczki i zapytał: – Chce pani zobaczyć, jak nam idzie w środku?

– Chętnie – odparłam zaskoczona propozycją.

Malowidła, którymi Jan Bulas ozdobił ściany w pokojach na parterze, wydawały się nienaruszone przez czas, chociaż oczywiste było, że jest to efekt renowacji. Przeszłam do pokoju z powojnikami i chwilę błędziłam wzrokiem wśród listków i kielichów, szukając nie wiadomo czego. Może pretekstu, żeby postać w tym miejscu jeszcze przez chwilę. Nagle poczułam, że zostało mało czasu. To było dziwne wrażenie, jak napięcie towarzyszące ostatnim minutom egzaminu. Jakbym miała ostatnią szansę, żeby zrozumieć, jaki był cel tamtej misji. Nie mogło chodzić tylko o polichromię. Za dużo pobocznych wątków, miejsc, postaci. Wtedy też byłam przekonana, że chodzi o coś więcej, ponieważ dziadka interesowało nie tylko dzieło, ale i osoba Bulasa. A to było nietypowe. Dlaczego przed wyjazdem do Rzepiennika opowiedział nam o późniejszych losach artysty? Przecież jedna z najważniejszych reguł naszego fachu brzmiała: zabrania się ujawniania przyszłych zdarzeń oraz wszelkiej wiedzy niezgodnej ze stanem nauki właściwym dla czasu i miejsca. Podczas ożywionej rozmowy jakiś szczegół z przyszłości mógł się oderwać od pierwotnego kontekstu. Przypomniałam sobie, jak w drodze do kościoła Bulas opowiadał dziadkowi o tamtej kobiecie ze statku:

„Nie chciałem jej porzucić, lecz zażądała kategorycznie, abym odszedł. Nasze drogi rozeszły się w Santos. Z duszą rozbitąjechałem do Zambezi, aby zapomnieć, aby zginąć”. A co gdyby mówił do mnie, a ja, poruszona wyznaniem, zamiast Santos usłyszałaabym Sanok, a zamiast Zambezi – Mszana Dolna, i palnęłabym: „Czyli na wojnę poszedł pan z zawiedzionej miłości? A co pan począł po rozwiązaniu legionu wschodniego w Mszanie Dolnej? Został pan w trzecim pułku piechoty, czy może wstąpił do Zachodniego? Piłsudskiego pan poznał? Jaki to człowiek?”. Tu może bym nareszcie załapała, skąd ta konsternacja na twarzy rozmówcy, który z początku mógł pomyśleć, że chodzi o wojny burskie, ale po kolejnym pytaniu przestał cokolwiek rozumieć. Po czymś takim pozostaje już tylko użyć karty szaleńca na przepustce ze szpitala i gryźć się w język, aby nie dodać: „Kuruje się w Kobierzynie, który pan wszak doskonale zna!”. Aż mnie ciarki przeszły!



To tam, w Kobierzynie w 1917 roku trop Bulasa się urywał. Byłam pewna, że wśród rzeczy dziadka widziałam zdjęcie przedstawiające pacjentów szpitala, przy jednym z nich postawił znak zapytania. Obok przypiął portretową fotografię malarza. Czy dziadek mógł szukać w przeszłości Bulasa wskazówek, które pomogą mu odkryć jego późniejsze losy? Dlaczego nie wyprawił się po prostu do Kobierzyna do 1918 roku i nie sprawdził?

Nie wiem, ile tak stałam, ale w pewnym momencie uznałam, że wystarczy. Facet, który mnie tu wpuścił, na pewno chciał już wrócić do swoich zajęć. Odwróciłam się, ale w pokoju go nie było. Nie czekał też na mnie w salonie, ani w jadalni. Przeszłam więc do sieni i zajrzałam do kuchni. Gdy i tam go nie zastałam, wyszłam przed dom. Podwórko okazało się puste i ciche.

– Panie Krzysztofie! – zawołałam.

Żadnej odpowiedzi. Po chwili usłyszałam jednak kroki. Zza domu wyszła jakaś kobieta.

– Szuka pani kogoś? – zapytała.

– Tak, pana Krzysztofa.

– Pana Krzysztofa? – zdziwiła się, ale po chwili zorientowała się, o kogo mi chodzi, i posmutniała. – Niestety... pan Krzysztof umarł.

W pierwszej chwili pomyślałam, że umarł przed chwilą, co było oczywiście pozbawione sensu. A zaraz potem uświadomiłam sobie, że mężczyzna wcale mi się nie przedstawiał. I wtedy zrozumiałam już wszystko. Zapomniałam, jak łatwo pomylić duchy z żywymi. Trzeba poświęcić im trochę uwagi, by dostrzec różnice, a ja byłam skupiona na oglądaniu dworu.

– Rozumiem, przepraszam. To ja już pójdę.

Właściwie mogłam już wracać do Krakowa. Jednak spotkanie z duchem przypomniło mi, jak bardzo te kontakty różnią się od tego, czym straszą filmy, seriale i książki, to zaś pomogło mi się przełamać, aby tym razem odwiedzić Czarny Kościół.

Tak jak to zapamiętałam z dzieciństwa, położony na szczycie wzniesienia drewniany późnogotycki kościółek św. Jana od frontu przypominał wielką trójką kobietę o trzech twarzach, w czapce i pękatej sukni z ogromną tiurniurą. Była to najmniejsza drewniana świątynia w Małopolsce. Jej powierzchnia wynosiła zaledwie 63 metry kwadratowe. O takich miejscach

zwykło się pisać w przewodnikach, że są urokliwe, malownicze, klimatyczne, a nawet bajkowe. Czarny kolor gontu, którym cała bryła była jednolicie pokryta, sprawiał jednak, że mnie ten stojący wśród drzew budynek przywodził na myśl jedynie baśnie w stylu braci Grimm. A może chodziło o to, że historia maleńkiego kościoła obfitowała w takie wątki, że starczyłoby dla trzech świątyń w standardowym rozmiarze. Kiedy tak stałam pod rozłożystym dębem, w środku którego dzieciół robił głośny remont dziupli, i spoglądałam na budynek niegdyś budzący w nas podskórny lęk, zaczęły do mnie wracać te wszystkie opowieści zasłyszane przed laty, gdy zabrał nas tu dziadek.

Historia tego miejsca sięgała czasów Nemsyna, najstarszej osady nad rzeką Rzepiennik. Pierwsze związane z nią historyczne wzmianki pojawiły się na początku XIV wieku, nie wiadomo jednak, kiedy dokładnie powstała, kto ją założył i dlaczego opustoszała. Była to osada handlowa, słynąca z wielkich targów, na które zjeżdżali kupcy z odległych stron.

Kościół św. Jana nie był pierwszym, który postawiono w tym miejscu. Wcześniejszy został spalony – razem z całą wioską – przez Tatarów. Mówi się, że nową świątynię postawiły trzy ocalałe z masakry familie. Inna legenda głosi, że miejsce pod budowę wybrały konie, a ludzie po małych przepychankach w końcu im ustąpili. Gdy jako dziecko usłyszałam tę opowieść, przyszło mi do głowy, że to zapewne stąd wzięło się powiedzonko „nie ma sensu kopać się z koniem”. Jak ci koń wskazuje ładnie położoną działkę, zwożąc tam drewno na budowę, to się go lepiej słuchaj, albo sam noś te drągi. Podobno Święty Wojciech zatrzymał się na tym wzgórzu w drodze do Gniezna i nauczał w miejscu pogańskiego gaju, który najpierw kazał zniszczyć. Najwyraźniej było w tym miejscu coś, co przyciągało i generowało zwiększony ruch w okolicy. To tędy wiódł Bursztynowy Szlak, ta ziemia pamiętała kupców, bandytów i zbójów, których krwią nasiąkała. W cieniu przydrożnego zagajnika, może nawet pod tym samym dębem, o który się teraz opierałam, mógł odpoczywać słynny kat Jurek z Biecza w drodze na mokrą robotę.

Czy to więc aż tak dziwne, że kategorycznie odmówiliśmy z Gabsem wejścia do środka, uznając, że tam z pewnością strasz i to tak niefajnie? Nie baliśmy się skrzydlatych koni ani zjaw



koni geodetów z legend. To akurat zapowiadało się interesująco. Ale kto normalny chciałby spotkać ducha słynnego kata? Albo Tatarów! Bez znaczenia, czy żywych, czy powracających jako upiory, żeby wykończyć niedobitków pozostawionych przy życiu 750 lat wcześniej. Dziadek uznał nasze argumenty za nonsensowne, ale on chyba nigdy nie spotkał Tatarów. A my owszem. Zaledwie rok wcześniej w Czchowie.

Mieliśmy już po jedenaście lat, więc pomалу zaczynaliśmy się orientować, jak świat działa na nas i jak my działamy na świat. Przesiadywanie w takim miejscu jak ten drewniany średniowieczny kościółek, to proszenie się o kłopoty. Przygody są fajne, ale nie takie, w których wszyscy giną i nawet nie ma komu zanotować w kronice, że Tatarzy przerobili nas na dwie porcje tatara.

↑ Dziewczęta pracujące w dworze, tu w strojach ludowych, międzywojnie



Dziadek z początku ignorował nasze protesty. Potraktował nas poważnie dopiero wtedy, gdy na oczach kościelnego zaczęliśmy się zapierać, wić i wyrwać, ordynarnie przy tym bluzgając, na dodatek w rzepińskiej gwarze. Tak naturalnie, jakbyśmy pochodzili stąd z dziada pradiada i nigdy nosa nie wyściubiali dalej niż do Tarnowa.

Gdybyśmy taką akcją odstawili w połowie lat dziewięćdziesiątych, nasz przewodnik pewnie by uznał, że to efekty mody na bezstresowe wychowanie. Ta sytuacja wydarzyła się jednak nieco wcześniej. Dużo wcześniej. W 1912 roku.

Człowiek żyjący na początku XX wieku najprawdopodobniej pomyślał, że ma do czynienia z objawami opętania. Przeżegnał się dwa razy i stał osłupiały, nie wiedząc, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Miał jedynie otworzyć kościół dla jakiegoś pana z Krakowa, co to akurat gościł z wnuczętami we dworze. Różni ludzie zjeżdżali do państwa Więckowskich, a każdy wie, że obyczaje takich na przykład artystów bywają osobliwe, więc kościelny widział już niejedno, ale takie diablęta po raz pierwszy.

W końcu zaczął się powoli wycofywać pod zadaszenie nad frontowym wejściem. A gdy poczuł za plecami chropowate drewno, wzdrygnął się, jakby płomień trawiące poprzednią kaplicę smagnęły go ogniem po grzbiecie. A potem znieruchomiał zdjęty trwogą człowieka, któremu odcięto ostatnią drogę ucieczki. Może on również ujrzał obrazy tatarskiej pożogi, sceny

↑ Fragment dawnych zabudowań w Rzepienniku, międzywojnie

z udziałem praprzodków przechowywane w pamięci genetycznej. Sytuacja eskalowała szybko, a wszystko razem trwało może minutę. Tyle zajęło dziadkowi przejście od irytacji do kapitulacji.

– Dosyć – powiedział surowo. – Wracajcie do samochodu.

Ledwo nas puścił, rzuciliśmy się biegiem w stronę samochodu, który za sprawą swojej mylącej nazwy: Renault Torpedo, mającej się nijak do rzeczywistości, okazał się jednym z największych rozczarowań tej wycieczki. Wózek ten przegrywał na drodze z niejednym koniem. Wdrapaliśmy się na tylną kanapę i stamtąd obserwowaliśmy rozwój zdarzeń. Byliśmy ciekawi, jakim fortem posłuży się dziadek, aby pozbawić incydent demonicznych konotacji. Niespecjalnie się wysilił, tłumacząc, że biedne niebożątka od urodzenia słabują na umyśle. Postanowiliśmy nie chować urazy o tę drobną złośliwość, ponieważ wyjaśnienie wyraźnie uspokoiło kościelnego. Pokiwał wyrozumiale głową i obdarzył nas współczującym uśmiechem. Korciło nas, aby uwiarygodnić całą historię, wcielając się w nowe role, lecz w spojrzeniu dziadka dojrzeliliśmy bardzo wyraźną sugestię, że najwyższy czas zejść ze sceny.

Nie czułam już dawnego lęku, chociaż nadal nie miałam pewności co do tego, czy przeszłość jest w stanie nas skrzywdzić. Była ustalona i niezmienna, a my byliśmy w nią wpisani. Niestety dopiero zagłębiając się w nią i dokonując wyborów, dowiadaliśmy się, w jaki sposób. Nie można było więc wykluczyć, że nasza śmierć również była w nią wpisana. Może moim przeznaczeniem było umrzeć od tatarskiej strzały, aby dzięki temu mogło wydarzyć się to i to.

W środku kościoła okazał się jeszcze mniejszy. Użyłabym może nawet określenia „przytulny”, gdyby nie panujący tu chłód, który przenikał aż do kości. Nie było to jednak zjawisko nadprzyrodzone, tylko jak najbardziej przyziemne i realne. Wystrój był nieco chaotyczny. W centralnym miejscu znajdował się późno-renesansowy ołtarz, po prawej gotycko-renesansowy tryptyk z rzeźbami świętych, po lewej barokowy ołtarz boczny z obrazem św. Jana Chrzciciela. Rzeźby pochodziły z różnych ołtarzy, na ścianach wisiały barokowe obrazy, na belce tęczowej ludowy krucyfiks z XVII wieku.



Ślady ingerencji kolejnych epok nakładały się na siebie, można by je zdejmować warstwami jedną po drugiej aż do gołych desek w 1494 roku. Miałam jednak nadzieję, że tym razem przeszłość mnie nie wciągnie. Najnowszą warstwę tworzyły mównica, obrusy i gromnice. Jeśli one znikną, zacznie się zabawa w „Zgadnij, kiedy jesteś”.

Niełatwe zadanie dla laika uzbrojonego w garstkę informacji. Sama odnowiona niedawno polichromia składała się z kilku warstw pochodzących z różnych wieków. Podobno część malowideł mogła wyjść spod pędzla Jana Bulusa. Znajdowały się tu jednak również pozostałości pierwotnej polichromii. Do tej warstwy należały ornamenty umieszczone na deskach pod chórem. Zawieszony nisko strop pokrywała dekoracja patronowa, niestety uszkodzona przez wilgoć. Na ścianach dookoła zauważyłam za to odświeżone zacheuszki. Znaki poświęcenia kościoła zostały namalowane delikatną błękitną kreską, wzbogacone mnóstwem detali i oplecione roślinnym ornamentem. Czy odnawiał je Bulas? Zirytował mnie brak pewności w tej kwestii. Przecież dziadek tu był, musiał więc poznać prawdę. Nigdy nawet nie wspomniał o tej polichromii. Może w Kobierzynie też był, ale nie podzielił się swoimi odkryciami ze światem. Dlaczego?

Nagle mnie olśniło. Nie wolno wynosić z przeszłości niepotwierdzonych źródłowo danych. Jeśli w terażniejszości nie istniała



dokumentacja lub innego rodzaju dowody, tajemnica musiała pozostać tajemnicą. Inaczej tacy jak my mogliby zaburzyć porządek świata.

Tym razem miałam za mało twardych danych, żeby na podstawie samych malowideł określić, w jakich czasach się znalazłam. Gdyby nagle pojawiła się tu rzeźba Matki Bożej Anielskiej, znaczyłoby to, że cofnęłam się co najmniej do 1906 roku, wtedy bowiem figura datowana na około 1520 rok trafiła do Muzeum Narodowego w Krakowie. Żadna warstwa jednak nie opadła i wkrótce panujący w środku chłód wygnał mnie na zewnątrz równie skutecznie, jak zrobiłaby to chmara tatarskich demonów lub upiór kata z toporem ociekającym srebrną krwią.

Czekałam jeszcze jakiś czas przy ogrodzeniu, ale nic się nie wydarzyło poza tym, że dzieciół zrobił sobie fajrant. Gdy wokół mnie zaległa cisza, usłyszałam jakiś hałas dobiegający z wnętrza kościoła. Szybkie kroki przemierzające nawę tam i z powrotem, deski skrzypiące i uginające się pod niewielkim ciężarem. Tak, to mógł być duch, ale znacznie bardziej prawdopodobne było, że to rodzina kun zamieszkująca na strychu zesła pobuszować na dole. Może ta wycieczka miała mi uświadomić, że nigdy nie poznam całej prawdy, a może jedynie odczarować stare lęki, bo w pewnej chwili, akurat gdy dzieciół zaczął pracę na nowo, poczułam, że mogę już wracać.

Rynek Główny w Krakowie z Pałacami Spiskim i Krzysztoforą;
koniec XIX w.





METODA LOCI –
PAŁAC PAMIĘCI
Pałac Spiski w Krakowie

Ta nieodłączna tajemniczość towarzysząca wszelkim działaniom dziadka z perspektywy czasu wydawała się kompletnie niezrozumiała. Zwłaszcza że przecież mieliśmy go kiedyś zastąpić. Nawet gdy byliśmy dziećmi, rzadko udzielał prostej i jednoznacznej odpowiedzi. Zamiast tego serwował nam kolejną szaradę. Trzeba było mieć się na baczności, jeśli nie chciało się wyjść na głupka. I nie brać jego słów zbyt dosłownie, zwłaszcza gdy kłóciły się z logiką i podstawową wiedzą o świecie. Na przykład takim faktem jak ten, że w Polsce nie rosną kokosy. Od nich zaczęła się ta historia, a może raczej gra terenowa o nieustalonych granicach czasoprzestrzennych, której zasad nikt nie raczył nam wyjaśnić. Jeśli miałam rację, to być może odpowiedzi na nasze pytania kryły się w Pałacu Spiskim.

Ale od początku. Wątek kokosów wypłynął pewnego wrześniowego wieczoru 1994 roku przy kuchennym stole w naszym domu. Kąty spowijał mrok, ale lampa nad stołem dawała ciepłe światło. O tej porze cisza miała specyficzne brzmienie. Należała do tych, których głosy nie były w stanie się przebić w zgiełku dnia. Do lodówek, liczników, wody w rurach i zegara, którego tykanie nadawało rytm całej kompozycji. Jej refrenem był szelest przewracanych stron gazety. Deszcz zabębnił o parapet, dodając nową ścieżkę do sennej melodii wieczoru.

Ślęczeliśmy z Gabsem nad zadaną na następny dzień lekturą. To znaczy lekturę zadano tydzień wcześniej, ale my przypomnieliśmy sobie o niej dopiero dziś, więc mama trochę się wkurzyła i za karę musieliśmy tę zadaną lekturę przeczytać. A dziadek miał tego dopilnować, co było zdaje się karą dla niego. Ale on mógł przynajmniej czytać to, co chciał, a nie ohydny książkę o handlarzu niewolnikami, który, jak miałam nadzieję, skończy jako mięsna wkładka w karaibskiej zupie. Niestety na razie obżerał się kokosami i narzekał, gdyż wolałby papugami!

– To jest chore – powiedziałam. – Gościu ma tyle egzotycznych owoców do wyboru, ale papugi mu się zachciewa. Taki kokos prosto spod palmy na pewno smakuje lepiej niż papuga. I lepiej niż suche wiórki. Czemu w Krakowie nie ma kokosów?

– Ależ są – odparł dziadek. – Tylko trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać.

– A gdzie ich szukać? – zainteresował się Gabs.

– Jak to gdzie? Oczywiście pod palmą.

– W Krakowie mamy palmy? – zdziwiłam się.

– Taką z kokosami tylko jedną. Mam dla was propozycję. Zostały wam niecałe trzy godziny, żeby się uwinąć z czytaniem. Jeśli wam się uda, to was tam jutro zabiorę i sami sprawdzicie, czy kokos smakuje lepiej niż papuga.

Byliśmy pewni, że wygraliśmy wycieczkę do ogrodu botanicznego, co byłoby średnio ekscytujące, gdyby nie obiecany kokosowy bonus z możliwością zamiany na inny egzotyczny owoc. Dlatego zaskoczyła nas wysiadka pod Filharmonią, a jeszcze bardziej informacja, że dalej idziemy pieszo. Próbowaliśmy uświadomić dziadkowi, że naraża nas w ten sposób na ból nóg, ale w ogóle się tym nie przejął. W połowie Wiślniej zorientowałam się, że czas uległ zmianie. Pałac Czeczotki wyglądał jakoś inaczej.

Gdy weszliśmy na płytę Rynku, był rok 1889. Zamiast skręcić w prawo, szliśmy dalej prosto w stronę Sławkowskiej i zaczęłam podejrzewać, że wcale nie idziemy do ogrodu. Co prawda na Rynku rosły drzewa, i nawet było ich całkiem sporo, ale żadne nie przypominało palmy. Dziadek parł jednak naprzód z taką pewnością, jakby widział już cel na horyzoncie. A co najdziwniejsze, nie był jedyny. Wiele osób zmierzało w tym samym kierunku, a wszyscy w podejrzenie wybornych humorach. Gdy w ożywionej rozmowie towarzystwa idącego tuż za nami padły słowa „pod palmą”, zwolniłam nieco, próbując podsłuchać więcej. Dyskutowano o handelku, zamorskich koloniach i towarach płynących z czarnego lądu, co po lekturze *Robinsona Crusoe* zabrzmiało dosyć niepokojąco.

– Gdzie ta palma, dziadku? – nie wytrzymał Gabs, podskakując obok dziadka uczepiony poły jego marynarki. – Robisz nas w konia?

– Zaraz za Pałacem Spiskim – odparł dziadek.

– Czy Pałac Spiski nazywa się tak dlatego, że dużo tam spiskowano? – spytał Gabs.

– Trochę zapewne spiskowano, jak to w pałacu. Ale nazwa pochodzi zdaje się od właścicieli, Lubomirskich, a nawet tych, którzy rządili Spiszem przed nimi. Spisz to taka historyczna kraina, na południe od Krakowa.

– W Wieliczce? – spytał Gabs.



– Dalej. Za Nowym Targiem.

– A dlaczego mówi się na te kamienice pałace? – spytałam, bo od dawna mnie to nurtowało, a nawet trochę denerwowało, bo mi ten pudełkowy kształt zupełnie nie pasował do obrazu, jaki pojawiał się w mojej głowie na hasło „pałac”.

– No sama popatrz. – Dziadek zatrzymał się i wskazał sężystą bryłę budynku. – Większość pałaców na Rynku powstała z połączenia dwóch, a nawet trzech kamienic, jak w przypadku Pałacu Spiskiego, który jest z nich wszystkich największy. Kupowali je magnaci i miały to być ich miejskie rezydencje. Trzeba było więc dostosować je do nowych potrzeb. Wyburzano ściany między kamienicami i przebudowywano je w środku na wzór pałacowy. Musiały mieć bramy wjazdowe, dziedzińce, obszerne klatki schodowe. Popatrzcie na piano nobile. – Teraz wskazał pierwsze piętro. – To była zawsze kondygnacja reprezentacyjna z jadalnią, gabinetami i salą balową...

– Chciałabym w końcu zobaczyć porządną salę balową! Ta jest aby porządna? – chciałam się upewnić.

– Bardzo porządna. Ogromna. Ale to temat na inną wycieczkę.

– Właśnie – poparł dziadka Gabs. – Tematem tej są zagraniczne owoce, a nie jakieś głupie bale.





- Sam jesteś głupi z tą twoją Wieliczką i spiskami.
Przeszliśmy wzdłuż fasady pałacu, lawirując w gęstniejącym tłumie.
- No i jesteśmy Pod Palmą – oznajmił dziadek, gdy dotarliśmy pod Krzysztofony.

Nadal nie widziałam żadnej palmy, chociaż miałam już pewne podejrzenia, dokąd to wszystko prowadzi. Niestety jedyne, co widziałam, to plecy tych wszystkich ludzi, którzy tu przyleźli przed nami. Dziadek polecił nam zrobić kilka kroków w tył, żebyśmy mogli zobaczyć okazały portal sklepowy wykonany z ciemnego drewna. W szerokich nadprożach widniało imię i nazwisko właściciela: Antoni Hawełka. Pomiędzy wejściem i przeszkloną witryną umieszczono pionowy szyld, którego strzegły dwie półkolumny zwieńczone fikuśnym gzymsem. Elegancki złożony napis głosił: „Skład towarów korzennych”. Jak się okazało, przyczyną tego całego zbiegowiska było otwarcie słynnego sklepu kolonialnego w nowej lokalizacji. Dziadek podniósł do góry najpierw mnie, a potem Gabsa, żebyśmy mogli spojrzeć ponad ławicą kapeluszy na resztę szyldu. W miejscu centralnym znajdował się ozdobny medalion z malowanym godłem sklepu, którym była, no kto by pomyślał, palma!

↑ Michał Stachowicz, *Pochód orszaku księcia Karola Auersperga z pałacu Spiskiego do kościoła Mariackiego 17 sierpnia 1796* (Pałac Spiski widoczny pośrodku, Pałac Krzysztofony po prawej), 1796

– Bardzo zabawne – burknęłam rozzalona, gdyż odurzające wonie rozchodzące się z wnętrza sklepu stanowiły aż nadto sugestywną zapowiedź tego, jakie rozkosze podniebienia czekają na klientów w środku. Tymczasem mnie dzieliło od tego doświadczenia ze stu Krakusów. – Przecież zanim się tam dopchamy, zdechnę z głodu.

– Ja też! – zawtórował mi Gabs. W pewnych kwestiach zawsze trzymaliśmy sztamę. Żarcie było jedną z nich.

– Jestem potwornie głodna! – zawylałam, a wtedy łyzy same już pocięły.

Kilka osób się odwróciło, ale próżno było szukać na ich twarzach współczucia. Żadna z dam nie zainicjowała utworzenia korytarza życia dla płaczącej z głodu dziewczynki. Żaden dżentelmen nie ustąpił ani na centymetr. Jednak stojąca najbliżej dostojna jejmość kwoka zrobiła krok w naszą stronę. Była odziana w bordowe atłasy oraz etolę z martwego lisa, który gryzł własną nogę, żeby się utrzymać na obfitych ramionach. Pokręciła głową, cmokając z dezaprobatą i pogroziła mi złożonym jedwabnym wachlarzem z wyraźnym ubytkiem piór, których resztki powiewały smętnie.



– A cóż to za fummy! Czego tak skuczysz? Kto to widział, żeby u panienki takie nieprzystojne obyczaje? A fe! – fuknęła matrona, po czym przerzuciła uwagę na dziadka. Dźgnęła go dwa razy wachlarzem w ramię, ujawniając tym odruchowym gestem, skąd ubytki w upierzeniu owego akcesorium. – Pan ją lepiej zabierze do kramów, gdzie baby sprzedają kiełbaski, gzelce, albo i wątrobę pieczoną z octem na cebuli. Czy to do garkuchni na szponder. A i inszych handelków śniadankowych nie brak w okolicy. Podlejszych może, jednakowoż z klientelą, której takie afektacje mniej bruździć będą. Siędnie sobie dziewczuszka na becze i co spaśnego przetrąci, nerczki, goloneczkę. I tuszę, drogi panie, iż na spazmy wraz odejdzie jej ochota!

Dziadek podziękował serdecznie matronie za wspaniałą poradę i zanim zdążyłam wyrazić swoje zdanie na temat wątroby z octem i nerczek, pokierował nami przez tłum z powrotem w stronę Pałacu Spiskiego.

– Obiecałeś nam egzotyczne frykasy! – przypomniałam z wyrzutem.

– Jeszcze tu wrócimy i wtedy się objemy do syta – obiecał dziadek.

– Kiedy? – spytałam.

– Za ćwierć wieku.

Domyślałam się, że nie nasz czas biologiczny miał na myśli dziadek, tylko ten drugi, historyczny, dzielący jeden moment z przeszłości od innego. Jednak człowiek głodny nie jest odpowiednim adresatem żartów, zwłaszcza spożywczych.

– A tak na serio to za ile? – dopytywałam, odwracając głowę, żeby spojrzeć na dziadka, który szedł z tyłu, trzymając nas za ramiona i kierując nami jakbyśmy byli parą koni pociągowych, a on woźnicą.

– Patrz pod nogi – upomniał dziadek. – A tak na serio to za...

Nie dosłyszałam reszty, gdyż potknęłam się o czyjś stopę i poleciałam do przodu, pociągając z sobą Gabsa i rozdzielając nas z dziadkiem. Jeden krok i wyskoczyliśmy z ludzkiej ciżby jak dwa korki od szampana Piccolo. Wylądowaliśmy na trotuarze przed Pałacem Spiskim. Ledwo dotknęłam bruku, poczułam, że znowu nastąpiło przesunięcie na linii czasu. Zmiany uderzyły z każdej strony, atakując równocześnie zmysły wzroku, węchu



i słuchu. Znakiem nowych czasów była zupełnie inna melodia miasta: dźwięki postępu technologicznego zagłuszały te ludzkie. Terkot dzwonka i grzyt kół na szynach kazał mi się odwrócić. Spod przystanku pod Krzysztoforami ruszył elektryczny tramwaj oznaczony numerem 3.

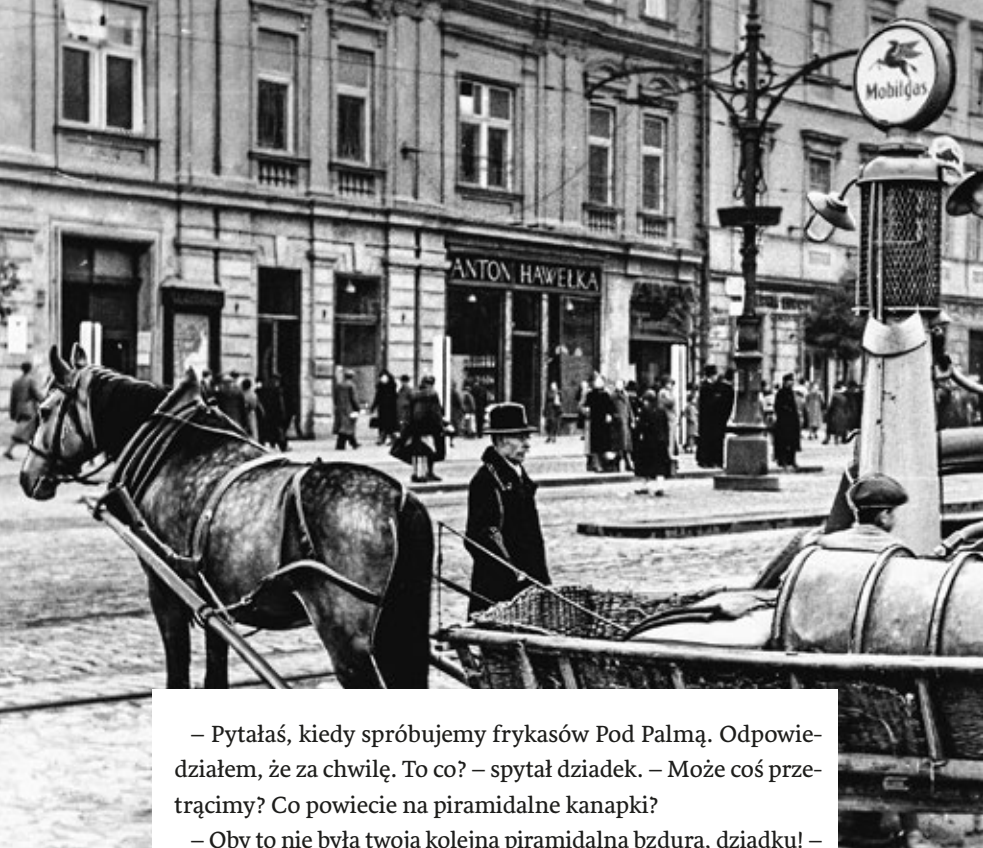
– Moglibyśmy podjechać nim na Dębniki – powiedział dziadek.

Czyli trochę czasu musiało minąć. Miałam nadzieję, że ten krok liczył sobie owe dziadkowe dwadzieścia pięć lat. Owionął mnie zapach niemal identyczny jak ten, który czułam jeszcze krok wcześniej. Upajający, bogaty, smakowity. Pachniało egzotyczną przygodą, bliskowschodnim luksusem, tajemnicą i obietnicą. Gabs szturchnął mnie w ramię. Obróciłam się i stanęłam przed witryną składu kolonialnego Antoniego Hawelki. Spojrzałam na fasadę Krzysztoforów. Sklep Pod Palmą znikł. A raczej przeskoczył wraz z nami do Pałacu Spiskiego! Miał teraz znacznie skromniejszy portal, nadal z ciemnego drewna, lecz bez dwugłowych orłów i uskrzydłonych gryfów w fikuśnym tympanonie. Przepyszne zapachy dawały jednak nadzieję, że zubożenie dotyczyło jedynie fasady. Mogło być nawet lepiej, gdyż sklep dorobił się towarzystwa w postaci restauracji Hawelka ulokowanej tuż obok po prawej.

– Za chwilę – odezwał się dziadek.

– Co za chwilę? – Nie zrozumiałam.

↑ Uczestnicy rajdu motocyklowego „Szlakiem Marszałka” przed fasadą Pałacu Spiskiego, na szyldach widnieją napisy: „Ruch”, „Fryzjer”, „Jan Fischer i Spółka”, 1937



– Pytałaś, kiedy spróbujemy frykasów Pod Palmą. Odpowiedziałem, że za chwilę. To co? – spytał dziadek. – Może coś przetrącimy? Co powiecie na piramidalne kanapki?

– Oby to nie była twoja kolejna piramidalna bzdura, dziadku! – odezwał się Gabs nadal z lekką urazą.

Lecz kanapki były jak najbardziej prawdziwe. Cóż to były za kanapki! Tego się nie da opisać, ale spróbuję. Podstawą była połówka bułki centówki, wydrążona i grubo posmarowana masłem, aby kolejne piętka lepiej się trzymały. Staliśmy przy barze i spozieraliśmy z nosami rozplaszczonymi na szybie, jak elegancy panowie na nasze bułki kładą świeżutkie bufetowe specjały: kawałek homara, przekładka z majonezu dla lepszej przyczepności, potem plasterek surowego ogórka lub kawałek jajka na twardo. Albo na spód szła garniowana bryndza z papryką, łososiem, kawiolem carskim i serem szwajcarskim, lub bazą była sałatka, potem kawałeczek surowej polędwiczki, do tego bryndza i francuska sardynka dla dekoracji i smaku.

Dziadek mówił że Tadeusz Boy-Żeleński tak te kanapki lubił, że zawsze, gdy zjeżdżał do Krakowa, od razu gnał do Hawelki na piętrowca. Postanowiłam pójść krok dalej. Będę wracać do 1913 roku, gdy tylko najdzie mnie chętką na bułkę z kawiolem astrachańskim, rakami, śledziem pocztowym, truflami i szparagami popitą kompotem włoskim lub krajowym.

↑ Mężczyźni napełniający beczkę paliwem z dystrybutora z reklamą „Mobilgas”, w tle Pałac Spiski, 1940

– Szyniek jasnego w wysokim dla szanownego pana – oznajmił z wielką uprzejmością podrostek zatrudniony w roli pikolaka i postawił przed dziadkiem małe piwo, które składało się głównie z piany. Nie uronił przy tym ani kropelki na szary papierowy obrus. – Pan Franciszek zasyła ukłony i zapytuje, czy czego nie trzeba szanownemu państwu. Nie może być, aby wnuczęta głodne wyszły.

– Troska pana Franciszka o głodne dzieci jest znana, ale te już zdaje się nafutrowane do syta.

Pokręciłam głową i pokazałam bar. Chciałam powiedzieć, że mam jeszcze trochę miejsca na deser, ale nie chciałam mówić z pełną buzią. Miałam nadzieję, że młodzik wyczyta jednak wszystko z tej dosyć jasnej pantomimy. Pikolak ukłoniwszy się, odplynął w głąb lokalu, krzycząc w stronę baru:

– Jeszcze jedna bomba z czapką w grubym! Do tego duże z kołnierzem w tulipanie! – A potem ku mojej radości: – Jeszcze biszkopta francuskiego mi trzeba. Razy dwa!

– Niezła bryndza! – zamamlał niewyraźnie Gabs, nie przejmując się manierami, z paszczą pełną wszystkiego, ubabrany po łokcie, zachwycony i szczęśliwy.

Obserwowaliśmy z podziwem pikolaków w zielonych fartuchach, którzy kursowali między barem a salą, roznosząc zamówienia. Uwijali się z wyćwiczoną gracją w fascynującym tańcu pełnym zakrętasów i wywijasów wykonywanych z tacą w ręku między stołami i klientami.



Dostaliśmy zaraz nasze desery. Właściciel lokalu, Franciszek Macharski, który odziedziczył po Hawełce interes, kazał do biskoptów dołożyć kandyzowanych owoców i francuskich makaroników. Rzeczywiście los głodnych dzieci nie był mu obojętny. Przysiadł się też na rozmowę. Miał bujną czuprynę i czarnego wąsa. Nosił prążkowany garnitur z kwiatkiem w butonierce oraz śmieszne białe getry i żółte rękawiczki, w rękę zaś dzierżył ozdobną laseczkę. Skojarzył mi się z ekscentryczną papugą, pewnie przez tę nieszczęsną wczorajszą lekturę. Co chwilę pytał nas, czy sobie winszujemy czegoś jeszcze. Bardzo nam się spodobał.

Ostatecznie wybaczyliśmy dziadkowi głupie żarty. A gdy kilka tygodni później spytał, czy pójdziemy do Pałacu Spiskiego, zgodziliśmy się bez wahania, w myślach planując kolejne piętka kanapek. Zostaliśmy jednak oszukani.

– Nie mówiłem, że idziemy do Hawełki, tylko do Pałacu – powiedział dziadek, gdy już byliśmy na miejscu. Tyle że pod koniec XVIII wieku. – Tym razem będzie uczta dla ducha...

– O! – ucieszył się Gabs. – Dla jednego?

– Aleś ty głupi – stwierdziłam, kręcąc głową.

– Uczta duchowa – uśmiechnął się dziadek wyrozumiale. – Zobaczycie pierwszy krakowski teatr.

– Wolałabym zobaczyć świeże ostrygi na talerzyku, podane w pokoju śniadaniowym, w towarzystwie raków spoczywających na kołderce z wybornego majonezu z Kielc – oświadczyłam z przekąsem.





– Ja bym nawet zjadł kwiczoły faszerowane i galantyny z kapłonów – oznajmił Gabs i szybko dodał: – W towarzystwie ducha pana Franciszka. Podane przy ladzie!

– A nie chcecie zasiąść w sali balowej?

– Podadzą kanapki? – spytał Gabs.

– A będzie bal? – ożywiłam się.

– Teatr, ale w sali balowej. Bez kanapek – wyjaśnił dziadek.

– Bez sensu – podsumowaliśmy chórem.

↑ Franciszek Aleksander Macharski, początkowo subiekt, następnie właściciel restauracji Antoniego Hawelki, 1905

↑ Tablica pamiątkowa z czasu otwarcia restauracji w Pałacu Spiskim

Spojrzelismy z niechęcią na budynek, który w XVIII wieku był już po generalnej przebudowie i zyskał spójny wygląd. Był chyba w swoim najbardziej „pałacowym” momencie istnienia. Część elementów, które za to wrażenie odpowiadały, nie przetrwała do naszych czasów. Zniknęły na przykład te dwa podparte kolumnami balkony z wejściami do sieni przejazdowych. Jedna klatka schodowa służyła tylko właścicielom, druga prowadziła do sali balowej, gdzie odbywały się spektakle teatralne już w latach dwudziestych XVIII wieku. My jednak zjawiliśmy się sześćdziesiąt lat później, żeby obejrzeć występ stałego zespołu zawodowych aktorów, pod kierownictwem Mateusza Witkowskiego, który miał tego wieczoru zagrać główną rolę w spektaklu.

– Sala balowa jest wysoka na dwie kondygnacje – opowiadał dziadek, gdy wspinaliśmy się po schodach.

– Kanapka ma więcej kondygnacji – zauważyłam.

– Kanapkę zjecie, przetrawicie i zapomnicie, a to doświadczenie czegoś was nauczy, to inwestycja na przyszłość.

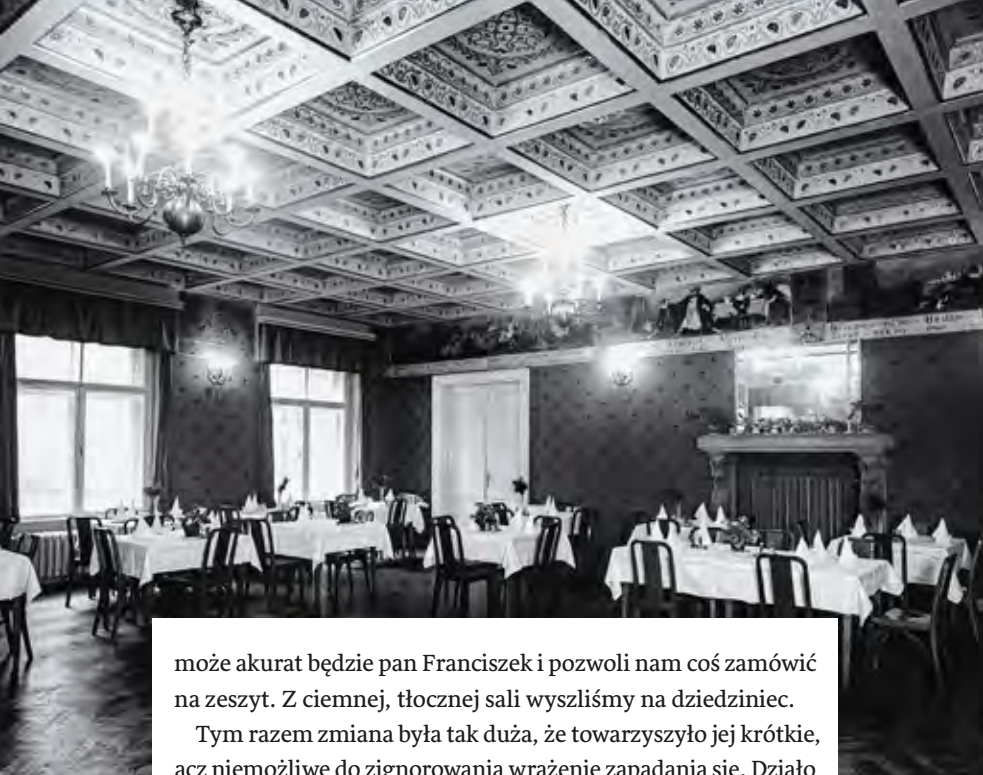
– Nigdy nie zapomnę kanapki – zaprotestował gorąco Gabs. – Nigdy!

Nie wiem, czego miało nas nauczyć to doświadczenie, z którym zostaliśmy sami, ponieważ dziadek znowu miał coś do załatwienia i obiecał odebrać nas po spektaklu. Sala balowa robiła przygnębiające wrażenie. Była zaniedbana, ze ścianami



poczerniałymi ze starości, a do tego wypełniona ludźmi, wydawała się wręcz ciasna. Krzesła stały jedynie z przodu dla najznamienitszych gości, reszta, w tym my, musiała stać. Prześlizgnęliśmy się pod ścianę z samego brzegu, aby cokolwiek widzieć, gdyż podłoga nie miała nachylenia. Z przodu sceny zamiast kulis wisiały jakieś zamalowane szmaty, które chwiały się na rachitycznych konstrukcjach. Z tyłu zaś kolejne szmaty robiły za dekorację. Jednym słowem – nędza. A nawet bryndza. W 1781 roku to była po prostu tragedia, a niby miała być komedia francuska. A co do tych *Trzewików morderowych albo Szewcowej niemieckiej* – była to trzyaktówka opowiadająca o perypetiach psotnego kapitana dragonów kolekcjonującego kobiece pantofle. Jako dwunastolatka uważałam, że było to nieśmieszne i głupie, teraz mam nieco więcej przemyśleń. Dlaczego więc widok dzieci na widowni podczas spektaklu dla widzów dorosłych nie zwrócił niczyjej uwagi? Do dziś nie umiem wyjaśnić, jak to działa. Może Gabs ma trochę racji, może dla tych z przeszłości jesteśmy trochę jak duchy. Nawet gdy nas zauważają i z nami rozmawiają, ignorują nasze współczesne ubrania i inne niepasujące elementy.

Jakiś tydzień później rzeczywiście poszliśmy do Hawelki na śniadanko handlowe, które zjedliśmy na piętrze w Sali Tetmajerowskiej, nazwanej tak na cześć autora malowideł zdobiących ściany. Były to ilustracje do *Pana Twardowskiego* i można je było oglądać do posiłku jak komiks. Po śniadaniu dziadek zapytał, czy chcemy iść do kina. A my, uśpieni kanapkami, nie rozpoznaliśmy pułapki i oczywiście ochocho przystaliśmy na ten pomysł. Zeszliśmy więc na dół, a potem zamiast wyjść na Rynek dziadek poprowadził nas na klatkę schodową tylnej oficyny Pałacu Spiskiego, gdzie znajdowało się wejście do pierwszego krakowskiego kina „Kineton”. Kino mieściło się na parterze przybudówki i mogło pomieścić ponad dwieście osób. I znowu zostaliśmy porzućni przez dziadka na pastwę kolejnej muzy, która obrała sobie Pałac Spiski jako punkt startowy swojej przygody z Krakowem. Obejrzelśmy dwa hity braci Lumière: ten o pociągu i ten o polewaczu polanym. A potem uznaliśmy, że nie będziemy się dalej męczyć, tylko sobie połazimy po pałacu. Zajdziemy do Hawelki,



może akurat będzie pan Franciszek i pozwoli nam coś zamówić na zeszyt. Z ciemnej, tłocznej sali wyszliśmy na dziedziniec.

Tym razem zmiana była tak duża, że towarzyszyło jej krótkie, acz niemożliwe do zignorowania wrażenie zapadania się. Działo się tak niekiedy w miejscach takich jak Rynek, których poziom podnosił się w ciągu wieków. Budynek był niższy, a podwórko o wiele mniejsze i ciemniejsze. Trafiliśmy najwyraźniej do czasów sprzed połączenia kamienic. Ta należała więc do Schedłów. Tylko dlaczego tak ohydnie tu cuchnęło? Zmarszczyłam nos.

– To nie ja! – zawołał Gabs.

– Kto poczuł, ten wytoczył – rzuciłam odruchowo, chociaż byłam pewna, że aby taki smród wytoczyć, trzeba by tu zwołać ze stu Gabsów objedzonych grochówką.

Już po chwili otrzymaliśmy odpowiedź przynajmniej na to jedno pytanie. Ktoś wyszedł na sąsiedni dziedziniec należący do Krzysztoforów. Mężczyzna i kobieta kłócili się zażarcie, a ich głosy odbijały się od ścian i niosły na wszystkie strony, niczym echo z dna ogromnej studni.

– Jak pan śmie niewiastę w takie bezecne dyskusyje wciągać. Miejsca sekretne winny być milczeniem okryte!

– Ładne mi to sekreta, co płyną do sklepów i smrodami wychodnemi szkody czynią tam, gdzie je wiatr poniesie.

– Toć obmierzłe potwarze są! Nie chcę o takich obrzydłościach dyszkuirować! Wedle prawa latryna od muru granicznego najmniej dwa łokcie być powinna i tyle należy zmierzyć.

↑ Sala Tetmajerowska w Pałacu Spiskim z fryzami ilustrującymi *Dzieje Mistrza Twardowskiego* Włodzimierza Przerwy-Tetmajera, 1930

– Choćby i pięć łokci było, to nie pomoże, kiedy jejmość w kwestii opróżniania wychodka z nieczystości wielkiego niedbalstwa się dopuściła. A że tylko dwa łokcie były, dużo tego plugastwa naciekło spod latryny do sklepów pod Krzysztoforę.

– A co niby świadczy, iż to moje, nie waści plugastwo?! – Widać niewiasta też była zdania, że kto poczuł, ten wytoczył.

– Ja szkody tej nie ostawię, pani Ronenbergowa! Skargę złożę, recompensaty za poniesione szkody dopomagać się będę! I za udręki okrutne, jakie cierpimy przez cuchnące wyziewy nieczystości, co do waszmości należy.

Okrutnie nas ubawiła ta afera wychodkowa. Kiedyś to się ludzie potrafili interesująco kłócić. Prawdą jednak było, że plugastwo, czyje by nie było, zalaływało potwornie. Weszliśmy więc do kamienicy, zastanawiając się, czy zostaliśmy wciągnięci do XVII wieku, ponieważ przebywał tu dziadek. W ciemnej sieni nie było nam już tak wesoło. W XIX wieku czułam się nadal dosyć pewnie i swojsko. Różnice nie były tak drastyczne, a często znałam je ze zdjęć albo obrazów. Jednak XVII wiek trochę już onieśmielał, a może nawet przestraszał, jak ciemna, nieznaną pieczara. Lecz szliśmy dalej, za głosami, jeden z nich mógł przecież należeć do dziadka. Rozmowy dobiegały zza uchylonych na łokieć drzwi, słychać też stamtąd było jakieś rumory, stukoty i szelesty. Pachniało dziwnie, jakby podgrzewanym olejem i dymem z kominka. Ale to zawsze lepiej niż z wychodka. Widzieliśmy tylko poruszające się cienie, trudno ocenić ilu osób. Nagle usłyszeliśmy kroki, wycofaliśmy się więc pospiesznie





w głąb sieni. Drzwi otworzyły się i wyszedł dziadek. Tylko dla-
czego w żupanie? Powstrzymałam Gabsa, który już wyrwał się
do przodu. Zrozumiał i oboje przywarliśmy do ściany. To nie
był dziadek, bo dziadek wyszedł tuż za tamtym, ubrany w swoją
zwykłą marynarkę. Poczułam ulgę. Jednak nie podeszliśmy,
żeby nie przerywać im rozmowy, może nawet kłótni, ale nie
takiej jak ta pana Schedla z panią Ronenbergową. Niestety przez
te szelesty, rumory i hałasy docierały do nas jedynie strzępki
rozmowy.

– Czynienie takowe nie tylko na szkodę cechu być może, ale
i można gardło za to stracić. Żadnych schadzek i rad cechowych
nie będzie – mówił dziadek tym tonem, którego używał, gdy
miał do przekazania coś bardzo ważnego.

– Ale waszmość powrócić musisz, by zapomnienia otchłań nie
pożarła i pamięci, i świadectwa. Długi szereg następców naszych
musi posiadać tę skarbnicę pamięci.

– Moi są pojętni i przechowają te cenne nauki i obyczaje ustnie
opowiedziane.

Mężczyzna po chwili wahania skinął głową, coś jeszcze wy-
szeptał i oddalił się w stronę bramy prowadzącej na rynek. Dzia-
dek odwrócił się do nas.

– No chodźcie, skoro już was tu przywiało. Będziecie musieli
na mnie chwilę poczekać, aż tu skończę. Popatrzcie sobie, jak
wyglądał proces drukowania. Może wam się kiedyś przyda. Tyl-
ko bądźcie grzeczni i nie przeszkadzajcie.

← Biuro werbunkowe Legionów Polskich na dziedzińcu Pałacu Spiskiego
w Krakowie, 1914

↑ Obesłanie cechu drukarzy z 1863 roku (w zbiorach MK w Pałacu Krzysztofory)

SWIĄTNICA
P A N S K A,

Zamykająca w sobie

Maryi *Obrońcy*
KAZANIA

NA VROCZYSTOSCI SWIĄT,
CAŁEGO ROKU.

PRZEZ

Cisz *in Pausia*
X. SZYMONA STAROWOLSKIEGO,
KANTORA TARNOWSKIEGO.

Ku pożytkowi y zbudowaniu duchowne-
mu, nabożnym Kátholikom

WYSTAWIONA.



Liber
~~_____~~

W KRAKOWIE, 15 flv.

W Drukárniy Krzysztofa Schedlá J.K.M. Typogr.
Roku Páńskiego, 1645.

No więc obserwowaliśmy, jak mężczyźni ubrani w proste lniane koszule i poplamione skórzane fartuchy układali na matrycy drewniane klocki z literami i większe z drzeworytniczymi obrazkami. Pozwolono nam obejrzeć gotowe strony powstającego kalendarza. Na moje oko wyszły trochę krzywo, ale wydawało się, że nikt poza mną się tym nie przejmuje. Być może Schedlowie podobnie jak dziadek uważali, że symetria to estetyka głupców. Nic więc nie powiedziałam. Podobał mi się za to ozdobny finalik na stronie tytułowej. Był to motyw florystyczny z wkomponowanym węń niedźwiedziem, bardziej przypominającym borsuka. To spostrzeżenie również zachowałam dla siebie. Wszystko było po łacinie, więc nic z tego, co tam było nadrukowane, nie rozumiałam, ale udawałam zainteresowanie, żeby im było miło, a naprawdę oglądałam tylko obrazki. Ten umieszczony na ostatniej stronie kalendarza przedstawiał wynurzającą się z chmur dłoń trzymającą kulę na łańcuchu. Na wstędze w tle widniał napis „Nil sine deo”. Byłam ciekawa, co to znaczy, ale po tym udawaniu głupio mi było spytać, bo to pewnie coś oczywistego i zrozumiałego dla każdego siedemnastowiecznego dziecka. Chciałam zagaić dziadka, ale był bardzo zajęty wrzucaniem do kominka zadrukowanych stron. Nie zostało ich dużo, ale trwało długo, ponieważ każdą przed wrzuceniem w ogień najpierw czytał. Postarałam się więc zapamiętać każdy szczegół obrazka i łacińskie słowa. Ta wstęga to Nil – rzeka. Sine – sine trupy w Nilu. Deo – dezodorantu użyj, bo wali sinymi trupami z Nilu! W czasie gdy ja uczyłam się łaciny, mój brat bawił się na podłodze klockami drzeworytnymi jak pięcioletnie dziecko. Gdy dziadek spalił wszystko, co miał do spalenia, podszedł do niego właściciel oficyny z tłumoczkim starannie owiniętym w skórę i obwiązanym kawałkiem konopnego sznurka jak prezent, który dziadek pospiesznie schował do swojej teczki. W środku coś grzechotało. Gabs obstawiał, że to czyjeś kości.

- Własność waszę oddaję – powiedział drukarz.
- Wszystko?
- Wszytek jeden. Ni żaden więcej nam się nie ostał. Świadczę też, iż nikomu inszemu nie było o tem spomniane. Może się jegomość nie trwożyć.

Naszemu wyjściu z kamienicy Schedlów na Rynek 1994 roku towarzyszyło uczucie odwrotne do poprzedniego – wrażenie bycia wypchniętym na powierzchnię. Dziadek wyjaśnił mi, że obrazek z dłonią to sygnet drukarski oficyny Schedlów, taki znak firmowy, logo. A „Nil sine deo” znaczy „Nic bez Boga”. Niestety nasze dociekania w sprawie tłumoczka, papierów i pana, z którym się sprzeczał, dziadek od razu ukrócił słowami: dowiecie się w odpowiednim czasie. Najwyraźniej taki czas nigdy jednak nie nadszedł.

Aż do wczoraj, gdy po niemal dwudziestu pięciu latach ponownie zobaczyłam rękę Boga ukrytą pod bluszczem na tylnej ścianie rodzinnego grobowca. I po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że dziadek pokazał nam to wszystko w jakimś celu. To była gra, która czekała, aż będziemy gotowi, aby w nią zagrać. Jeśli miałam rację, to nagrodą były odpowiedzi na wszystkie pytania.



CRACOVIAE,
in Officina Christophori Schedelij, S.R.M. Typ.
 Anno Domini, 1642.

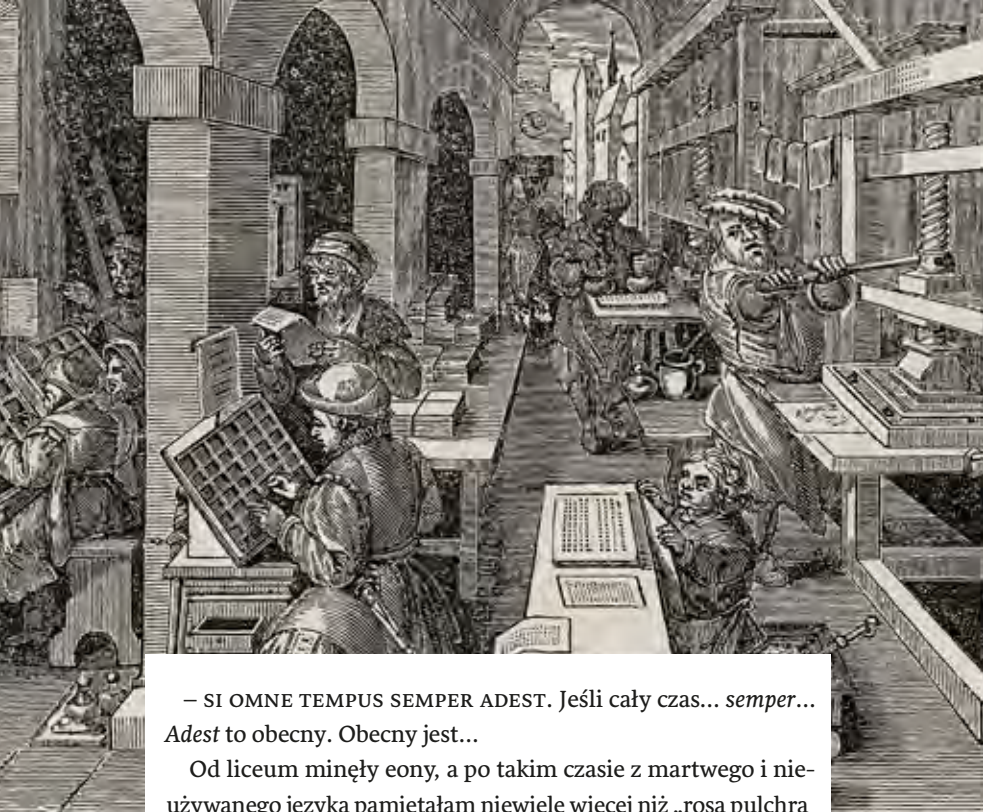
↑ Szymon Starowolski, *Vita et miracula* (...), sygnet drukarski oficyny Schedla, 1642

Płaskorzeźba zajmowała całą tylną ścianę rodzinnego grobowca. Była zaskakująco dobrze zachowana jak na to, że pod bluszczem, który ją dotąd skrywał, mogła spędzić nawet dwieście lat. Przez taki czas pnącza tworzące gęsty dywan powinny były ją poważnie uszkodzić. Korzonki czepne zwykle chwytają się każdego mikropęknięcia niczym alpiniści szukający żłobień pozwalających wspiąć się wyżej. Wrastały w szczeliny, z czasem robiły się coraz grubsze i twardsze, powoli rozsadały wierzchnią warstwę elewacji, która kruszyła się i opadała. Ścianę pokrywała co prawda pajęczyna cieniutkich pęknięć, jednak inwazyjna roślina zostawiła ją w spokoju. Zamiast niszczyć osłaniała dzieło przed przeciwnościami losu i zapędami natury. W końcu jednak pojawił się tajemniczy przeciwnik, który pokonał długowiecznych strażników.

Odkrycia dokonały bliźniaczki Gabriela, gdy przyszliśmy na cmentarz obarczeni misją sprzątania przed świętem zmarłych. Dziewczynki najpierw poinformowały nas, że tam z tyłu wszystko pousychało, a zaraz potem zauważyły ukryty pod suchcielami „obrazek”. I nagle średnio interesująca wizyta u martwego pradziadka stała się ekscytująca. Nasza czwórka uznała, że sprawę należy zbadać natychmiast. Gabs udał się do budynku zarządu, by pożyczyć narzędzia, a ja zostałam z jego córkami, które próbowały gołymi rękami usuwać martwe pnącza. Zaczęłam się zastanawiać nad dwiema kwestiami: czy i u nich objawi się kiedyś rodzinna przypadłość oraz czy gdybym miała dzieci, byłiby to bliźniacy płci męskiej, z których jeden byłby takim gagatkiem jak Laura, a drugi taką mądralą jak Liwia. Nie zamierzałam tego sprawdzać i ryzykować, że skazę potomstwo na to dziwne i samotne życie. Ale cieszyłam się, że mój brat był bardziej bez troski, bo bardzo lubiłam te małe.

Wycięcie zdrewniałych pędów zajęło nam niemal godzinę. Ale w końcu brudni, podrapani, z odciskami na dłoniach mogliśmy obejrzeć w całości misterną dekorację, o istnieniu której nie mieliśmy dotąd pojęcia.

Pochyliłam się, żeby odczytać napis umieszczony na języku węża.



– SI OMNE TEMPUS SEMPER ADEST. Jeśli cały czas... *semper...*
Adest to obecny. Obecny jest...

Od liceum minęły eony, a po takim czasie z martwego i nieużywanego języka pamiętałam niewiele więcej niż „rosa pulchra est” i „non omnis moriar”. Gdy ja usiłowałam sobie przypomnieć, co oznacza słowo „semper”, Gabs po prostu wyjął telefon i wpisał sentencję do translatora.

– Jeśli jest zawsze obecny przez cały czas? – przeczytał z powątpiewaniem.

– „Jeśli czas cały wiecznie jest obecny” – poprawiłam z pełnym przekonaniem, chociaż moja znajomość łaciny wzbogaciła się o zaledwie jedno słowo. Ale tyle wystarczyło, bo znałam ten cytat. Tyle że umieszczenie go w tym miejscu, na tej liczącej sobie ponad dwieście lat płaskorzeźbie nie miało sensu.

– Jeśli czas cały wiecznie jest obecny – powtórzył Gabs. – To co wtedy?

– „To cały czas jest nie do odkupienia” – odparłam.

– Powinno się teraz coś otworzyć? – spytał Gabs drwiąco.

– Jak we *Władku pierścionku*? – Podeksycytowała się Laura. – Może powiedz to po elficku, ciciu. Jak Gandalf szarobury.

W tej samej chwili poczułam na karku ciepły dotyk słońca, które wyłoniło się zza chmur. Pojedyncze refleksy dosięgły ściany, budząc kamień do życia. Odsunęłam się, by otworzyć im drogę. Na jej końcu zamigotały setki opalizujących drobinek.

↑ Joannes Stradanus, mężczyźni przy pracy w szesnastowiecznej drukarni, XIX w.

Owa pajęczyna, którą uznałam za efekt wieloletniej współpracy natury i czasu, była dziełem człowieka. Misterną inkrustacją z masy perłowej, której kunszt ujawniał się dopiero przy odpowiednim świetle pod właściwym kątem. Przypominała się dróg oglądanych nocą z okna samolotu.

– Tam jest kolejny napis po elficku! – zapiszczała Laura. – Tato, podnieś mnie, ja przeczytam.

Gabs podniósł małą, a ta złapała się muru i wiodąc palcem po literach, zaczęła z niejakim trudem czytać na głos:

– OMNIA SVNT...

– V się czyta jak U. SUNT – podpowiedziałam.

– Bez sensu. VT... UT ESSE DEBENT.

– OMNIA SVNT VT ESSE DEBENT – zebrałam cytat do kupy, a potem podobnie jak Laura podsumowałam łącznie słowami: – Bez sensu.

Gabs odstawił córkę i ponownie sięgnął po telefon.

– „Wszystko jest tak, jak być powinno” – przeczytał i spojrział na mnie z ironicznym uśmiechem. – A do tego hasła odzew znasz, ciociu?

– „I nie może być inaczej” – odparłam ponuro.

– To logiczne – zauważyła Liwia z poważnym namysłem. – Co to za cytaty?

– Ten na dole pochodzi z poematu T.S. Eliota *Burnt Norton*. Z 1936 roku...

– To da się wytłumaczyć – zauważył Gabs.

– To prawda. Ale nie mam pojęcia, jak wytłumaczyć ten drugi.

– A z czego on? – zainteresował się Gabs.

– To ulubiona mantra kosmowierców. I zarazem założenie leżące u podstaw wiary w świadomy kosmos.

– Nigdy o takiej nie słyszałam – stwierdziła Liwia.

– Nie tylko ty – pocieszył ją Gabs. – Chyba nikt o niej nie słyszał poza ciocią.

– Nie mylisz się, bracie, wymyśliłam kosmowiarę do książki.

– Do której? Nie pamiętam takiego wątku – oświadczyła Liwia, która dobrze знаła moje książki, pewnie lepiej niż ja, bo każdą czytała po kilka razy.

– Bo to książka, której jeszcze nie skończyłam pisać... – wyjaśniłam.



Zapadła dwusekundowa cisza, którą przerwał rechot Laury.
– Teraz powinien być taki dźwięk jak w filmie, gdy odkrywają coś strasznego. Taki: ta da da daaaaa! A potem jest zawsze piorun. – Popatrzyła z nadzieją w niebo na powrót zasnuwane chmurami i wrzasnęła: – Pradziadku, daj nam jakiś znak! Wskaż drogę do ukrytego skarbu! Liw, prosz ze mną pradziadka o info.
– To tak nie działa – odparła Liwia pogardliwie.
No jakbym siebie słyszała!
– A jak?



- A srak!
Siostry zaczęły się przerzucać półsłówkami, a Gabs wskazał na płaskorzeźbę.
- Rozumiesz, o co tu chodzi? Co to ma być? Co to jest według ciebie?
- Herb cechu? – odparłam z jakimś wewnętrznym przekonaniem.
- Jakiego cechu? Naszego? – spytał Gabs. – Czyli właściwie czyj... jaki to cech?

– Nie wiem. Cech naprawiaczy?

– Raczej cech robiących bardzo niewiele.

– Cech leni! – podsunęła Laura. – Ciociu, a wiesz, co robi główny kur cechu po zbiórce?

– Co robi? – spytałam, domyślając się, że wchodzę na minę.

– Kur-ce-chu-jem-miesza-w-dziurce!

– Laura! Co ja ci mówiłem o takich ordynarnych żartach? – zgromił ją Gabs. Niestety jego heroiczna, lecz żałośnie krótka walka o zachowanie powagi znacznie osłabiła efekt dydaktyczny połajanki.

– Mówiłeś: nie przy ludziach! – zawołała dziewczynka, a potem uśmiechnęła się przymilnie. – Ale to nie człowiek, tylko ciocia. Sama wymyśliłam ten żart!

– No nie gadaj! To absolutnie zaskakujące! – prychnęła Liwia.

– Też się śmiałaś! Jak nas tata zabrał do bractwa na strzelaninę, bo pisał artykuł – kontynuowała niezrażona Laura. – I ja spytałam jednego pana, czy mogę się zapisać do kurek, a ten pan powiedział, że kobitom nie wolno.

– Taaa – westchnął ciężko Gabs. – Tam już raczej nie wrócimy.

Siostry popatrzyły na siebie i tym razem zgodnie zarechotały, rozciągając usta w szerokich uśmiechach, jak dwa szczerbate demony.

– Już to gdzieś widziałem. – Gabs wskazał klepsydrę, z której wysypywał się piasek. Przechylił głowę w jedną, a potem w drugą stronę, jakby mu doskwierała jakaś niedogodność w odcinku szyjnym. – Szczęśliwego nowego roku!

– Słucham? – spytałam zdezorientowana.

– No przechył głowę w lewo.

Zrobiłam, jak radził. I zrozumiałam, skąd te przedwczesne noworoczne życzenia. Teraz dłoń trzymała kieliszek szampana z ulatującymi bąbelkami.

– Pieczętka dziadka – przypomniał sobie Gabs. – Było ich chyba więcej.

– Nie pieczętka, tylko klocek drzeworytniczy – poprawiłam. – To wszystko zaczyna nabierać niepokojącego sensu. Popatrz na to. – Postukałam w kalendarz ozdobiony dłonią z kulą na łańcuchu. – To siedemnastowieczny kalendarz w formie quarto, nazywany wielkim. A to sygnet oficyny drukarskiej Schedlów.

- Z Pałacu Spiskiego! Stamtąd wziął się pomysł na zabawę w drukarnię i gazetę.
- „Starowiny Małopolskie”. Maszyna do pisania była naszą maszyną drukarską.
- A pieczętek używaliśmy do ozdabiania. Wiesz, co się stało z tymi pieczętkami?
- Klockami! Nie wiem. Ale wiem, gdzie są wszystkie numery „Starowin”.

Były w tych pudłach ocalonych przed zniszczeniem. Wcześniej myślałam, że dziadek przechowywał nasze gazetki z sentymentu. I trzymał w teczce ze starymi numerami „Poradnika Graficznego”, schowane między stronami „Gazety Podhalańskiej” z 1923 roku, żeby się nie zniszczyły. Doszłam jednak do wniosku, że on je nie tyle schował, ile raczej ukrył. A postąpił tak, ponieważ nas demaskowały. I nie chodziło nawet o to, że w rubryce filmowej pojawiły się takie kinowe hity jak *Wjazd pociągu na stację w La Ciotat* braci Lumière z roku 1896. A w kąciку teatralnym recenzja francuskiej komedii o stópkarzu kolekcjonującym damskie trzewiki z roku 1781, z nagłówkiem: „W końcu mamy w Krakowie teatr, szkoda, że bez krzesel”. Albo, że w pierwszym numerze znalazł się reportaż Gabsa zatytułowany: „Skandal w wychodku! Pani Ronenbergowa zaprzecza: To nie moje plugastwo!”. Nie, myślę, że dziadek chciał ukryć te drzeworyty. Były odbite jedynie w dwóch pierwszych numerach gazetki i tylko te zostały ukryte, reszta numerów poniewierala się luzem, wśród różnego rodzaju papierów, notatek i wycinków. Klocki drzeworytnicze odciskaliśmy po swojemu na stronach „Starowin”, raz bokiem, to znów do góry nogami, dorysowując potem różne elementy. Jednak gdyby je odpowiednio połączyć, odwzorowałyby to, co przedstawiała płaskorzeźba.

Nie wiedząc, czego właściwie szukam, zaczęłam moje dochodzenie w niewiadomej sprawie od pierwszego punktu zaczepienia: drukarni w Pałacu Spiskim. W ten sposób trafiłam na opasłą monografię *Oficyna Schedłów*. Przeleciawszy przez ponad siedemset stron, stworzyłam pewną teorię. Na widok grubasnego tomiszczka, które rzuciłam na stół, Gabs skrzywił się z odrazą.



– Co to? – spytał, a potem szybko dodał: – Ja nie mam na to czasu!

– Czyli jednak wiesz, co to jest! – odparłam złośliwie. – Ta książka podsunęła mi pewien pomysł. Pamiętasz tego gościa, którego wzięliśmy za dziadka w sieni u Schedłów?

– Pamiętam – przytaknął Gabs. – Mieli z dziadkiem jakąś kose.

– Nie bez powodu wzięliśmy go za dziadka. Myślę, że to był nasz przodek i planował wydrukować *statutum contubernii* – reguły cechu. Naszego cechu.

Otworzyłam księgę na rozdziale dotyczącym skomplikowanych mechanizmów siedemnastowiecznej cenzury.

– Nie każda publikacja poddawana była zinstytucjonalizowanej cenzurze, jeśli jednak nasz lekkomyślny przodek potrafił hopsać po linii czasu jako i my hopsamy oraz wściubiać nos w sprawy minione i wpadł na szalony pomysł, aby zasady owego

↑ Jost Amman, *Drukarze*, druga poł. XVI w.

hopsania i wściubiania spisać, a następnie wydrukować, kosmos jeden wie w ilu egzemplarzach, to istniało ryzyko, że ktoś się takim tekstem zainteresuje. I uzna, że narusza on depozyt wiary i porządek moralny. A wtedy...

– Stos?

– Nie wiem co, ale możliwe, że coś, przez co nasz ród wygaśłby na osobie tego wariata. Dziadek chciał temu zapobiec. Zabrał klocki, spalił druki. Ale czy na pewno wszystkie? Moim zdaniem on chciał, żebyśmy zobaczyli tamtą sytuację, i pozwolił, żebyśmy znaleźli klocki i się pobawili w drukarnię. A potem przechował gazetki z odbitkami. Mieliśmy na nie trafić, gdy będziemy gotowi.

– A wtedy co?

– Doprowadzą nas do klocków, a może i do spisanego statutu cechu.

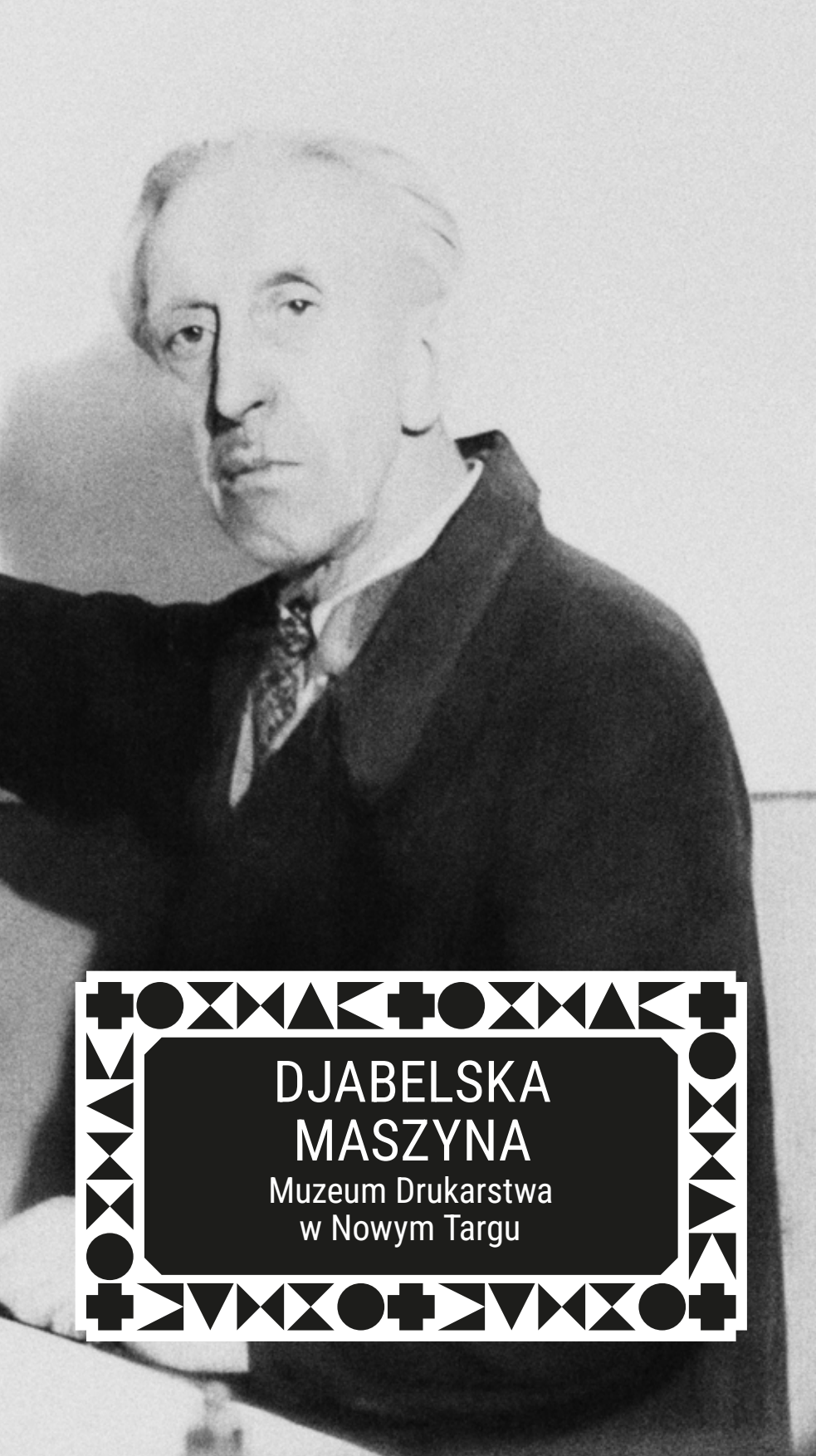
– Twoja teoria to raczej myślenie życzeniowe.

– Możliwe, ale co nam szkodzi sprawdzić?

– Litości! Przecież mógł je ukryć wszędzie – jęknął Gabs.

– Tak, ale jeśli chciał, żebyśmy je znaleźli, to zostawił wskazówki. – Postukałam palcem w „Gazetę Podhalańską” z 1923 roku, a następnie położyłam na niej trzeci numer „Starowin”. Nagłówek na pierwszej stronie krzychał: „Rewolucja drukarska w Nowym Targu! Diabelska maszyna szkodzi ludność!”.





DJABELSKA
MASZYNA
Muzeum Drukarstwa
w Nowym Targu

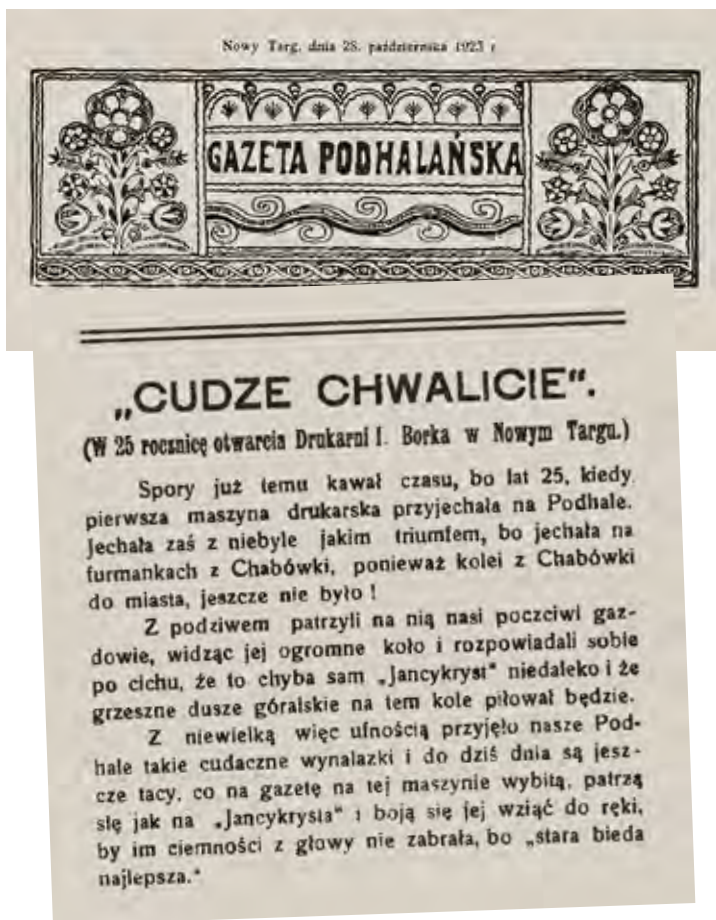
„Przeogromna to szkoda, iż nie było z nami braci Lumière onego dnia 1898 roku, gdyśmy pierwszą maszynę drukarską furmankami wieźli na Podhale. Byłby z tego daleko lepszy film w temacie wjazdu niżli ten o pociągu (którego recenzję znajdują państwo w poprzednim numerze). Pociąg każdy człek już widział (no może nie w Nowym Targu, bo tam to dopiero za rok tory położą w drodze do Zakopca). Jednakowoż każdy przynajmniej wie, co to takiego ów pociąg. Lecz takiej maszyny, zdolnej odbijać tyle sztuk tego samego, ile dusza zapagnie, to jeszcze nigdy podhalańskie ludziska nie widzieli! Podobnież jako i nasze reporterskie osoby, specjalnie oddelegowane, aby towarzyszyć maszynie i jej nowemu właścicielowi panu Ignacemu Borkowi w podróży z drukarni pana Słomskiego na ulicy Szpitalnej w Krakowie, gdzie nasza bohaterka dopracowała się miana emerytki, aż do nowego domu w Nowym Targu, gdzie ją będą traktowali z należyтым szacunkiem. Najsamprzód jechalim koleją, aż dojechalim do Chabówki, gdzie nam się skończyły tory i dalej trzeba się było telepać furmankami. Może i mniej dogodnie, ale za to z większą fantazyją. A przy tem wszystek lud mógł ten triumfalny wjazd podziwiać ze trwogą. Patrzali więc gazdowie z wylękiem przeogromnem, a ten i ów pacierze odmawiał, przeżegnnywał się, albo i dzieciom oczy zasłaniał, bo wiadomo, że takiemu potworowi w czarne i wielkie jak koła lokomotywy ślipia zyrkać niebezpieczno. Toż ino roz na człeka łypnie i taki ani nie piśnie,



↑ Dworzec kolejowy w Nowym Targu, 1935



a się w plamę czarnego jak piekielna smoła tuszu przemieni. Zrobiło się poćiwemu panu Borkowi markotno. No bo jak tu lamentującym przetłumaczyć, że my nie łogień piekielny wieziem, a kaganek łoświaty, więc nie bojać, a radować się winni. Że drukowane będą dokumenta, broszury, odezwy, afisze, a nawet etykiety na piwne flaszki i inne cuda na kiju. Wtem w ciźbie podniosło się nowe larum: »Jan Cykryst idzie!<«. »Jan Cykryst! Zmiłowania! Za grzechy będziem łamani na tym kole djabelskim«. Musiał być to srogi chłop ów Jan Cykryst, skoro go wybrali do walki z potworem na gołe piąchy i koła kielczate. Lecz nie było nam dane ujrzyć jego nadejścia, gdyż potyrpalim się dali ku nowotarskiemu rynkowi. A może Jan Cykryst ledwo co poobziroł przeciwniczkę z ukradka i wraz go oblażył strachy jak te szczypawice. Któż to wie! Wszelakoż widmo onego Cykrysta ściagało nas do samiuśkiego końca, bośmy raz po raz uszoma wyłapywali, jak jego miano pada z mijanych w drodze ust góralskich. Kończąc relację z podróży, pragniem, aby ją jeszcze ciutkę dosmaczyć. Wystawcie sobie bowiem, drodzy czytelnicy, że nie od czapy serwowalim wam jako przystawkę owe kolejowe wtręty, a po temu iż nasza bohaterka, machina drukarska, ma w swej konstrukcji z pociągami niemało wspólnego. Co konkretnie? Tego dowiecie się z dalszych stronic”.



Nieźle się z Gabsem uśmialiśmy, czytając reportaż Genowefy Bździągwy i Zdzicha Wściubinosa, zamieszczony na pierwszej stronie gazetki: „Starowiny Małopolskie. Nieaktualne wieści z Krakowa i nie tylko”. Dobrze jednak pamiętałam, że dziadek miał z początku sporo zastrzeżeń do naszego artykułu, jakby nie rozumiał, że przede wszystkim miało być śmiesznie, a nie rzetelnie.

– Artykuł jest nierzetelny. Zdecydowanie przeszarżowaliście z opisem reakcji gapiów. Język jest zbyt kwiecisty, a do tego niekonsekwentny. Czego tu nie ma: regionalizmy, anachronizmy, neologizmy oraz idiotyzmy! Nikt w XIX wieku nie powiedziałby,

że jedzie do Zakopca. A ten lapsus pod koniec: „miano pada z mijanych w drodze ust”, przecież to brzmi tak, jakbyście mijali same usta. I nie powinniście pisać, że coś wydarzy się za rok, w taki sposób, jakbyście przepowiadali przyszłość. To by nie przeszło w poważnej prasie.



↑ Etykiety opakowań z drukarni Waleriana Ostrowskiego, lata 30. XX w.

CZAS NA



Relaks

PO NARTACH
FLARY

BUTY Z KOSMOSU

JUST RELAKS

1955



Relaks



– Dziadku, czy to ci wygląda na poważną prasę? – spytał rzeczowo Gabs.

– Ooo, zdecydowanie nie.

– Bo nam chodziło o to, żeby było śmiesznie – tłumaczyłam jak dziecku.

– A, skoro tak, to co innego – odparł dziadek ugodowo, a potem zachichotał: – Powinniście jednak wiedzieć, że ci ludzie nie krzyczeli „Jan Cykryst”, tylko „Jancykryst”.

– No przecież tak napisałam: Jan Cykryst – zauważyłam nieco zbity z tropu.

↑ Ratusz w Nowym Targu, lata 40. XX w.

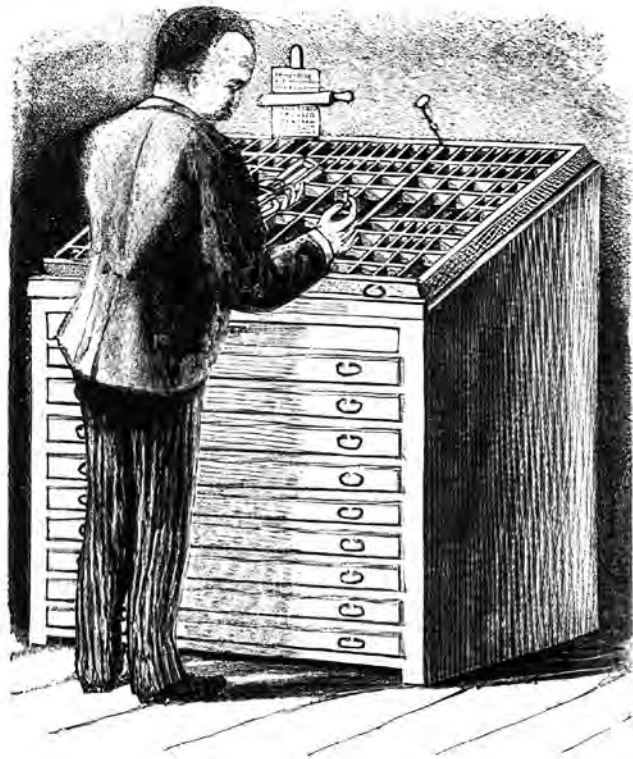
↑ Domy na rynku Nowego Targu, 1916

– To jest jedno słowo – wyjaśnił dziadek. – W gwarze oznacza ono Antychrysta.

– Aaaa! – Plasnęłam się dłonią w czoło, a potem przyznałam niechętnie: – No tak, teraz ma to więcej sensu.

– Cóż. Poszło już do druku – stwierdził niefrasobliwie Gabs, mając na myśli, że kartki z tekstem napisanym na maszynie zostały skserowane w trzech egzemplarzach, a następnie spięte zszywkami. – Damy sprostowanie w kolejnym numerze.

Pod reportażem umieściliśmy reklamę Relaksów. „Wygodne, ciepłe, czasami dostępne spod lady. Szukaj, aż znajdziesz! Paryż – Londyn – Nowy Targ”. Reklama zapowiadała znajdujący się na kolejnej stronie tekst, zupełnie jakby był to artykuł sponsorowany. Choć wcale nie był, a jego autorka, główna redaktorka działu mody – Wioletta Wyciukaniec (mój kolejny alias) – za swoją pracę nie pobierała nawet płacy, nie mówiąc już o profitach



↑ Zecer stojący przed kasztą z zcionkami, 1892



od reklamodawców. Prowokacyjny tytuł głosił: „Już nie Paryż ani Londyn. Nową stolicą światowej mody jest teraz Nowy Jork Targ!” Wyciukaniec swoją odważną tezę poparła wypowiedziami światowej sławy projektantów i ekspertów. Do rozmowy udało jej się namówić samą Kwokę Szynel, która na pytanie, jakich rad udzieliłaby kobietom, które chcą dobrze wyglądać, oświadczyła bez wahania: „Kobieta powinna posiadać dwie rzeczy – Relaksy i bajeczny kozuch z Nowego Targu”. Dlaczego, zapytacie. Ano: „Kobieta w dobrych butach nigdy nie jest brzydka. Natomiast kobieta, która nie nosi kozucha, nie ma przyszłości. Dlatego pamiętaj, zanim wyjdiesz z domu, spójrz w lustro i zdejmij jedną rzecz, byle nie był to kozuch” (śmiejch, przyp. red.). Poproszona o skomentowanie rosnącej popularności sztucznych kozuchów, do noszenia których zachęcają obrońcy praw zwierząt, projektantka odpowiedziała ostro: „Nie jestem pewna, czym bardziej pogardzam: fałszywym kozuchem czy Relaksami z cholewką

↑ Kobieta przy jednej z warszawskich ulic z psem Draką w butach Relaks produkcji zakładów Podhale Nowy Targ, 1982

z corfam. Każdy w branży wie, że corfam pęka, polcorfam zaś pozostaje plastyczny”. Niezrażona redaktor Wyciukaniec podjęła kolejną próbę prowokacji, zauważając, że Relaksy przez wielu są uważane za brzydkie, w niektórych czasopismach można przeczytać, że wręcz obrzydliwe i prowincjonalne, że to „buty z kosmosu” i nie wypada ich nosić nikomu eleganckiemu. Takie na przykład „Zwierciadło” uznało Relaksy za „symbol biedy i luksusu jednocześnie”. Kwoka Szynel zareagowała na to słowami: „Moda to coś, co dziś ładne, ale za kilka lat będzie brzydkie. Sztuka to coś, co dziś brzydkie, ale za kilka lat będzie ładne”. Dżolo Armatni zgodził się z Kwoką, przypominając: „W dziale projektowym »Podhala« pracują przecież absolwenci Akademii Sztuk Pięknych!”. Jan Gołyrański zaś dodał: „Ja czytałem,

Ważne dla Pań! Ważne dla Panów!

ZAWIADOMIENIE.
 Niniejszem zawiadamiam uprzejmie P. T. Publiczność, że otworzyłem w Nowym Targu

**PRACOWNIE
 KRAWIECKA
 DAMSKO-MĘSKA**

przy ul. Długiej 52.

Wykonuje wszelkie prace w zakresie krawiectwa wchodzące solidnie, szybko, = po nader przystępnych cenach. =

Podaje się najlepszy porządek, P. T. Publiczności
 każdy się z głębin szacunkiem

Edward Kmiecik
były pracownik porządkowych firm krawieckich

P. T.

Zawiadamiam niniejszem Szanowaną Publiczność że otworzyłem

PRACOWNIE KUSNIERSKA
 w Nowym Targu Rynek 10. I. p.

Przyjmuje wszelkie roboty krawieckie jak serdoki i kożuchy zakopieńskie, piaseczyki dziecięce, kołnierze, czapki i t. d.

Polecając się żaskawej pamięci pozostaję do usług

Józef



Pierwszorzędny magazyn obuwia
JOZEF ELBAUM
 Nowy Targ, Rynek 7. tel. 11

**SALON MOD
 "SZYK"
 MARI GÜNSBERG**

wykonuje wszelkie roboty w zakresie modniarstwa wchodzące szybko, tanio i elegancko

NOWY TARG
 UL. KOLEJOWA 12. TELEFON Nr. 40.

↑ Afisze i reklamy wykonane w nowotarskiej drukarni, pocz. XX w.



Najlepiej nam zaszczyli zawiadomić Sz. P. T. Publiczność, że myj

ZAKŁAD ART. FOTOGRAFICZNY
znajdujący się przy ulicy Szkolnej 12. (naprzeciw c. k. Poczty) suszą trybem obecnie tak w **najdoborowszy** i **najtrwalszy materiał** jak również w łona fachowo i dobitnie się daje mi pewność nie tylko wytrzymania **wszelkiej nieuczciwej** konkurencji, ale także najpełniejszego zadowolenia Młoch Wielce Szanownych P. T. Gości tak pod względem artystycznego wykonania, jakoteż przysługujących cen i trwałości samych fotografii. Zdjęcia wykonuje się **BEZ WZGLĘDU** na najmniejszą oddzielenie od 8 — 12 (przed poł. i 1 — 6 pa. poł.).

Prosząc się więc nadal takowym względem Sz. P. T. Publiczności, strząsnąć za dotychczasową pamięć i kreślić się

z gorącym szacunkiem
Józef Stefan, Christ.

że Nowy Targ to »niewielkie miasteczko, w którym wszyscy chodzą pięknie obuci«. Nic dziwnego, że »butami z kosmosu« zachwyił się Pierd Kradnę, pionier futurystycznej mody, dla którego owa kosmiczność to nie wada, lecz największa zaleta. Jego zachwyt był jednak wyraźnie podszyty zazdrością: „Ludzie wiedzą, co dobre. W końcu »Podhale« musiało uruchomić dla Relaksów drugi dwuzmianowy oddział produkcyjny”. I nie tylko oni oszaleli na punkcie wyrobów obuwniczych i odzieżowych z Nowego Targu. Zdaniem Mućki Prawdy Nowotarskie Zakłady Przemysłu Skórzanego „Podhale” powinny zmienić nazwę na **NOWATORSKIE Zakłady Przemysłu Skórzanego**. Donata Kara poszła o krok dalej niż koledzy: planowała przeprowadzkę z Nowego Jorku do Nowego Targu. Zapowiedziała też, że jej nowa

↑ Reklama zakładu fotograficznego w Nowym Targu, międzywojnie

linia odzieży będzie od teraz sygnowana DKNT, i dodała, że marzy o nawiązaniu współpracy z marką NZPS oraz że jest absolutnie zakochana w modelu Sport: „To dizajn na światowym poziomie, nie tylko piękny, ale też wygodny i starannie wykonany. U was pewnie nie do dostania” (śmiejch, przyp. red.). Słynny projektant majtek Kewin Klej był zaś, jak się okazało, ogromnym fanem ciepłej otuliny Relaksów, dzięki której buty te świetnie się sprawdzały w Aspen jako buty „po nartach”, koniecznie noszone do oryginalnego nowotarskiego kozucha. Klej zdradził też, że jest szczęśliwym posiadaczem aż sześciu par obuwia górskiego Kanada, rozślawnego przez polskich himalaistów. „Aż sześć par! To chyba więcej niż posiadają wszyscy polscy obywatele do kupy, nie licząc naturalnie himalaistów!”, wtrąciła kwaśno swoje niezgodne z linią partii trzy grosze redaktor Wyciukaniec. I podsumowała cały temat w słodko-gorzkim tonie: „Podobno milionowy but zszedł z taśmy produkcyjnej już w 1957 roku. Należałoby jednak zadać pytanie: ile sztuk z tego miliona wyładowało na polskich stopach?”.

Czytając artykuł, ubawiłam się chyba nawet bardziej niż wtedy, gdy go pisałam. Z tego, co pamiętam, trzydzieści lat temu najbardziej cieszyło nas przekręcanie sławnych nazwisk, znalezionych na stronach magazynu „Elle”, który doczekał się polskiej edycji kilka miesięcy wcześniej. Wiele radości sprawiło nam również wsadzanie słów „kozuch” oraz „Relaksy” we wszystkie cytaty z Coco Chanel, jakie udało nam się wygrzebać.

Wydaje mi się też, że głównym powodem wzbogacenia naszej gazety o kolejne działy tematyczne był ubaw, jaki mieliśmy, wymyślając przezabawne nazwiska dla dziennikarzy prowadzących. Następna strona była na przykład poświęcona starowinkom technicznym, o których pisał Jutrowuj Wczoraj-Niedzisiejszy. To on zajął się zapowiadaniem na pierwszej stronie tematem kolejowych analogii w sposobie działania maszyny drukarskiej Helbig & Müller. Napisał, że do obsługi potrzeba dwóch ludzi: maszynisty typograficznego i drugiego chłopca. Po kłótni na redakcyjnym kolegium wymusiłam dopisek: „Albo baby”. Potem było jeszcze coś o napędzie wzorowanym na napędzie lokomotywy parowej, ale bez wdawania się w szczegóły, gdyż redaktor Wczoraj-Niedzisiejszy okazał się średnio kompetentny

i zapamiętał tyle, że cała zabawa zaczyna się od wykonania ruchu kołem zamachowym w przeciwną stronę do ruchu wskazówek zegara. Oraz że trzeba do tego krzepy i tu dodał nieskromnie, iż wie o tym, ponieważ pozwolono mu owym kołem zakręcić.

Potem znowu było coś dla pań, a mianowicie sylwetka Eleonory Borek, która po śmierci męża nie załamała się, tylko zakasała rękawy, aby ich nie uwalac farbą drukarską, i przejęła interes. Artykuł o dzielnej i wyemancypowanej Eleonorze napisała Nadzieja Babochłopska, której imię i nazwisko, według dwunastoletniej mnie, idealnie pasowało do publicystki o wyraźnie feministycznych poglądach.

Gabs upierał się, że dla równowagi na kolejnej stronie powinna się znaleźć sylwetka męska. I skoro ja nie uznałam za stosowne wspomnieć o bracie Eleonory Walerianie Ostrowskim, który rozstał drukarnię o wiele bardziej, to on się tego podejmie.

– Dla równowagi!?! Chyba sobie kpisz! – parsknęłam szyderczym śmiechem i jako że zapatrywania Nadziei Babochłopskiej były mi bliskie, powiedziałam z przekąsem: – Dla równowagi to ja powinnam wstawić milion sylwetek damskich za te wszystkie wieki pomijania!



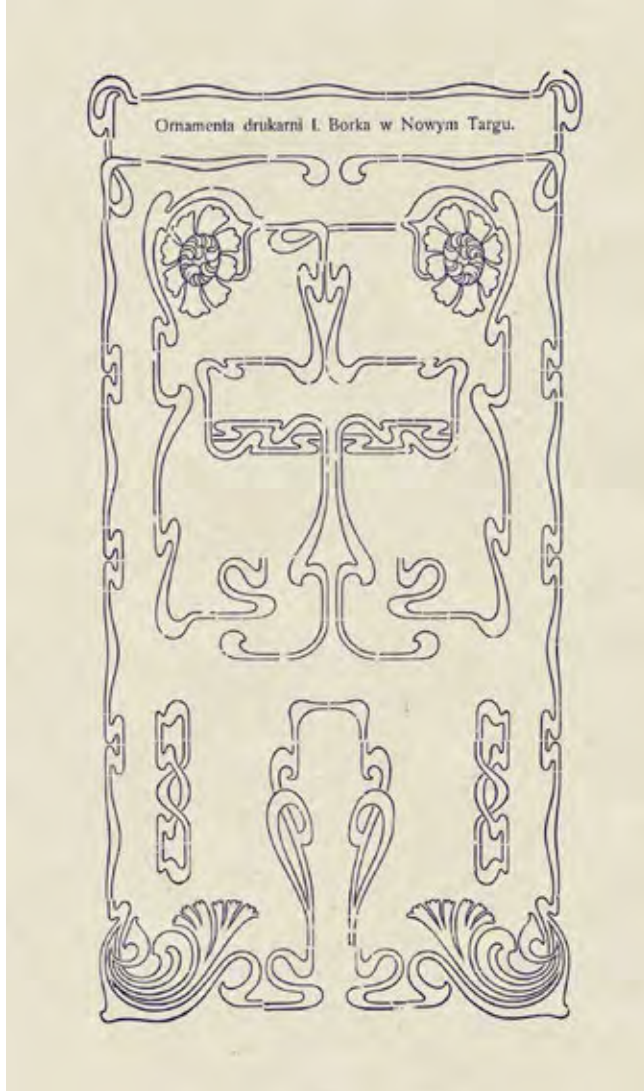
↑ Wnętrze Muzeum Drukarstwa w Nowym Targu z cenną maszyną z fabryki Helbig & Müller w Wiedniu



Ostatecznie tekst o zasługach Waleriana Ostrowskiego dla miasta, kultury i oświaty wylądował w kąciaku historycznym jako część opowieści o losach drukarni i perypetiach samej maszyny, która przetrwała obie wojny światowe oraz rządy komunistyczne, została niemal zezłomowana, a potem cudem odratowana. Końcowe strony zajmowały reklamy i ogłoszenia inspirowane tymi z „Gazety Podhalańskiej”, wydawanej w Nowym Targu od 1913 roku z przerwami do 1947. Użyliśmy ornamentów z nowotarskiej drukarni, wypełniając ozdobne ramy naszymi głupotami. W ostatniej umieściliśmy pożegnanie maszyny, która po latach wiernej służby opuściła swoje ostatnie miejsce pracy, aby cieszyć się zasłużoną emeryturą w komfortowych warunkach muzealnych. Podsumowując: wyszła nam całkiem zgrabna opowieść o życiu i śmierci, która nie przybliżyła nas niestety do odnalezienia ukrytego przez dziadka „skarbu”. Mimo to nie potrafiłam jeszcze odpuścić, czułam, że wskazówka musi gdzieś tam być.

- Jakie lata odwiedzaliśmy w Nowym Targu? – spytałam Gabsa.
- 1898, gdy przywieźliśmy maszynę. I podczas tej samej wyprawy przeszliśmy w jakiś późniejszy czas. Nie pamiętam roku, ale to było już za Ostrowskiego.

↑ Maria i Walerian Ostrowscy, pocz. XX w.



– I Eleonory – zaznaczyłam i wskazałam jedno z ogłoszeń („Baczność! Kraków zaprasza Nowy Targ do Nowego Targu na Zabawę Taneczną i wieczór śmiechu do sali Sokoła, stroje spacerowe, bufet we własnym zarządzie”). – Pamiętasz, zabrała nas na „Wieczorek dla dzieci” do budynku Sokoła, który oddano do użytku poprzedniego roku. Czyli w 1908. Więc druga wizyta była w 1909.

– Brawo, redaktor Babochłopska! A trzeci i ostatni raz byliśmy w 1966, 1965?

– Przyjechalśmy pociągiem z misją ratowania maszyny przed złomowaniem.

↑ Ornamenty używane w drukarni Ignacego Borka w Nowym Targu, pocz. XX w.
→ Zbiór wzorników klisz używanych w drukarni Ignacego Borka w Nowym Targu, pocz. XX w.

Gdy dziadek zdradził nam, że nadal sprawna, lecz już przestarzała maszyna ma zostać sprzedana za cenę złomu, zaczęliśmy go błagać, żeby nam ją kupił. Przysięgając, że będziemy się nią przepysznie bawić do końca życia. Dziadek uświadomił nam, że nie mamy jej gdzie postawić, i ostatecznie przekonał nas, że najlepiej jej będzie w muzeum.

– Wizyty pierwsza i ostatnia miały bardzo konkretne przyczyny. Więc ta w 1909 też chyba musiała taką mieć. I nie był to ów wieczorek – zauważyłam.

– Wieczorek był pretekstem, żeby nas kolejny raz splewić. Dziadek miał w drukarni umówione spotkanie z jakimś gościem. Miał takie górskie nazwisko.

Klisze drukarni I. Borka w Nowym Targu, filija Zakopane.



Nr. 33.



Nr. 34.



Nr. 35.



Nr. 36.



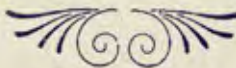
Nr. 37.



Nr. 38.



Nr. 39.





Tym razem odpowiedzi udzielił nam internet. Po krótkiej żonglerce słowami kluczami wypluł informację, dzięki której znowu poczułam, że jesteśmy na tropie. W 1909 roku Kazimierz Baran opublikował *Statuta i przywileje cechów nowotaraskich*. Na stronie Muzeum Drukarstwa znalazłam zarchiwizowane fragmenty. Pobieżna lektura ostudziła nieco moje emocje. Szesnastowieczny statut dotyczył cechu szewców. Gdy jednak zaczęłam zgłębiać temat, okazało się, że w miastach wielkości ówczesnego Nowego Targu, wobec małej liczby rzemieślników danego zawodu, przedstawiciele różnych profesji grupowali się w cechy zbiorowe. Przepisy kopiowali od innych miast, wprowadzając w nich jedynie drobne zmiany. Może więc nasz cech również się gdzieś podpiął? W tym przypadku dla zachowania bezpieczeństwa. Może do właściwego odczytania dokumentu potrzeba jakiegoś specjalnego klucza. Był to daleki strzał i Gabs pozostawał sceptyczny. Mimo to tym razem dał się namówić na wycieczkę, na którą zabraliśmy również Laurę i Liwię.

↑ Właściciel Walerian Ostrowski i pracownicy przed Drukarnią Podhalańską w Nowym Targu, lata 30 XX w.

Do Nowego Targu pojechaliśmy pociągiem. Liczyłam, że w ten sposób łatwiej odtworzymy wspomnienia. Dziewczynki były zachwycone. Od razu zajęły miejsca przy oknie, a potem ku wyraźnej dezaprobachie współpasażerów odpakowały kanapki z jajkami na twardo i kiszonymi ogórkami. Ja jednak, ledwo wsiedliśmy, poczułam jakiś dysonans. Z każdym kilometrem to wrażenie było silniejsze. Całkiem niedawno czułam coś podobnego. Kiedy to było?

– Coś jest nie tak – burknęłam do siebie, obserwując przemijający krajobraz.

– Coś jest nie tak – potwierdził ku mojemu zaskoczeniu Gabs.

W Nowym Targu wysiadaliśmy z ociąganiem, jakby opuszczenie wagonu odbierało nam ostatnią szansę na rozwiązanie zagadki wszechświata. Na peronie musieliśmy się przeciskać przez ciżbę wsiadających. Wszyscy byli uzbrojeni w narty, kije i deski, więc trzeba było się skupić, jeśli chciało się uniknąć dekapitacji. Dziewczynkom poszło łatwiej, gdy ja i Gabs wydostaliśmy się w końcu z tłumu amatorów białego szaleństwa, one siedziały już na ławce obok wejścia do zabytkowego budynku dworca i majtały radośnie nogami. A potem naraz wydarzyły się cztery rzeczy.

– Zostawiłam plecaczek! – wrzasnęła Laura.

– Polsport! – zawołał Gabs, wskazując narty w pokrowcu Rossignol.

– Na czym ja siedzę? – wyburczała Liwia.

– „A droga w górę jest drogą w dół, droga przed siebie drogą wstecz”¹ – wymamrotałam w oszołomieniu.

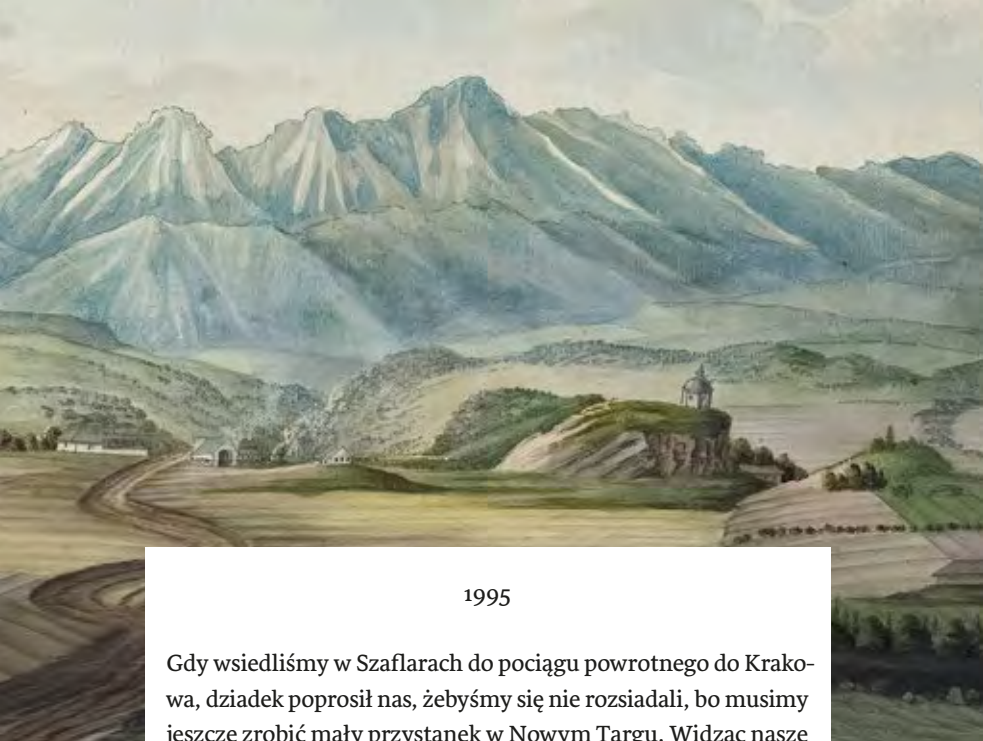
A potem wsiedliśmy z powrotem do pociągu. Kolejnym przystankiem, dla nas, być może ostatnim, były Szaflary.

1. T.S. Eliot, *Cztery kwartety*, dz. cyt.





CUD
Chałupa Anny Doruli
w Szaflarach



1995

Gdy wsiedliśmy w Szaflarach do pociągu powrotnego do Krakowa, dziadek poprosił nas, żebyśmy się nie rozsiadali, bo musimy jeszcze zrobić mały przystanek w Nowym Targu. Widząc nasze sceptyczne miny, obiecał, że tym razem nie będzie żadnych nudnych wieczorków dla dzieci. Chodziło o maszynę drukarską – dziadek musiał pomóc jakimś panom uratować ją przed zezłomowaniem. To oczywiście zmieniało postać rzeczy. Zżyliśmy się z maszyną dzięki wspólnej podróży z Krakowa, a pisanie o niej do „Starowin Małopolskich” jeszcze umocniło tę relację. Poddaliśmy ją bezwiednej animizacji i myśleliśmy o niej jak o ogromnym zwierzu zagrożonym wymarciem – mastodoncie z żelaza, którego należy chronić i bronić za wszelką cenę. Misja przypadła nam więc do gustu.

– Będzie z tego dobry reportaż – uznałam. – Damy to przed działem sportowym.

Popatrzyłam sceptycznie na zaczątki owego działu powstające na kolanach Gabsa, który wcieliwszy się w rolę redaktora sportowego Szczepana Szusa-Zjazdowego, bazgrolił na wymiętej, brudnej kartce ilustrowany artykuł o tematyce narciarskiej. Sądząc po tytule – *Szaflary to polskie Aspen, nawet lepsze, bo polskie* – pomysł został częściowo zerżnięty z mojego modowego artykułu. Gabs pożyczył sobie również projektanta majtek Kewina Kleja, który u niego nie tylko zakładał Relaksy po nartach, ale owe narty również były rodzimej produkcji, czyli marki Pol-sport. Na miejsce aktywnego zimowego wypoczynku projektant

↑ Emanuel Kronbach, widok wsi Szaflary koło wejścia do Karpat w obwodzie sądeckim, 1813–1816

→ Powódź w Szaflarach, mężczyźni z prasą na prowizorycznej kładce, 1934

wybrał Szaflary, właśnie ze względu na bliskość fabryki Polsport, dzięki czemu nie musiał się martwić o nowe deski, gdy stare zaczęły mu się rozklejać. A że zaczęły, to było pewne, problem ten znaleźliśmy z Gabsem z autopsji. Szus-Zjazdowy zapytywał więc: „Nie lepiej kupić Salomony czy Heady, które się nie rozkleją i są równo przycięte?”. A Klej odpowiadał: „W tym jest cały fun! Rozkleją się czy nie? Dreszczyk emocji. Coś się dzieje! Już jedno mi się rozkleiło i było świetnie! Pod fabryką Polsportu spotkałem ludzi z podobną pasją! Panie, kto normalny stoi od wczesnych porannych godzin w kolejce po rozklejające się narty albo buty sztywniejące na mrozie i odcinające dopływ krwi do stóp! Wariat! Albo pasjonat!”. Potem Klej opowiadał o swoich ulubionych miejscach w podhalańskim kurorcie. Tu Gabs opisał miejsca, które odwiedziliśmy z dziadkiem, dodając do tego koślawą mapkę.

Gdy pociąg zatrzymał się w Nowym Targu, dziadek uznał, że najłatwiej będzie, jeśli ja i Gabs wysiadzimy, a on poda nam nasze stare i zajebrane Polsporty przez okno. Osobiście nie miałabym nic przeciwko temu, aby je „przypadkiem” zostawić w pociągu, gdyż nie podzielałam zdania pana Kleja i marzyłam o nowoczesnych, zachodnich nartach, bez „pol” w nazwie, najlepiej jakiejś firmy, która nie splajtowała i nadal produkuje sprzęt. Moje marzenia skonkretyzowały się poprzedniego dnia na stoku, gdy jakaś dziewczucha pokazała palcem moje narty i rzuciła szyderczo: „Ukradłeś te zabytki z muzeum?”.



Wysiedliśmy więc i najpierw poczłapaliśmy w kierunku najbliższej ławki, żeby odstawić na bok bambetle. Wszystko mieliśmy jak zawsze rozbebeszone. Otwarte plecaki obijały nam się o kolana, szaliki płątały między nogami, z kieszeni wysypywały śmieci, z dziurawej reklamówki lał się sok. Gabs dodatkowo tulił do piersi swój niedokończony artykuł. Gdy zrzucaliśmy na ławkę nasz niechłujny dobytek, spojrzałam na kartkę, którą Gabs przytrzasnął niedojedzoną kanapką, żeby nie odfrunęła. Po drugiej stronie działu sportowego znajdował się jakiś szkic, zbyt ładny, aby mógł wyjść spod ręki Gabsa.

– Gabs! Przecież to jakiś dokument dziadka!

– Dziadek mi pozwolił – oznajmił Gabs.

Nie do końca mu uwierzyłam, ale wtedy dziadek zawołał nas z pociągu, żebyśmy odebrali od niego nasze muzealne eksponaty. Gdy w końcu sam wysiadł, zdecydował ku naszej wielkiej uldze, że narty i resztę bagaży zostawimy w dworcowej przechowalni.

W zabytkowym budynku dworca rozłożyliśmy się z naszymi klamotami na starych, drewnianych ławkach, żeby dokonać selekcji i zdecydować, co zabieramy do miasta, co zostawiamy na przechowanie, a co idzie do śmieci. Niestety dziadek nie pozwolił nam wywalić Polsportów ani podarować ich dyrekcji kolei jako eksponatów na przyszłą wystawę.

– Mój artykuł! – krzyknął nagle Gabs i pobiegł z powrotem na peron.



Wrócił po kilku minutach ze zgnębianą miną i oświadczył:
 – Jakaś dziewczucha ukradła mój artykuł i wsiadła z nim do pociągu!

– Pewnie była z konkurencyjnej gazety – zakpiłam.

2025

Ledwo wsiedliśmy z powrotem, pociąg ruszył. Lekko oszołomieni nagłym zwrotem akcji wróciliśmy na miejsca, które opuściliśmy zaledwie dziesięć minut wcześniej. Nie byłam pewna, czy zmiana planów była naszą własną spontaniczną decyzją, czy jedynie poddawaliśmy się czemuś lub komuś sterującemu naszymi poczynaniami, na przykład poprzez zamknięcie za nami drzwi i odcięcie drogi odwrotu. Skoro jednak istniało racjonalne uzasadnienie naszych chaotycznych ruchów, należało je omówić.

– Teraz już wiem, co mi zgrzytało we wspomnieniach. Kierunek jazdy. Nigdy nie jechaliśmy pociągiem do Nowego Targu bezpośrednio z Krakowa. Pomiędzy jednym Nowym Targiem a drugim byliśmy na nartach w Szaflarach. W drodze powrotnej do Krakowa dziadek zarządził przystanek na ratowanie maszyny.

– Dobra, ale czy te Szaflary odgrywają jakąś rolę w naszych poszukiwaniach? – marudził Gabs. – Czy jedziemy dalej tylko dlatego, że wróciliśmy po plecak Laury, a potem nie zdążyliśmy wysiąść?

– Dowiemy się, jak sprawdzimy.

– Ale co chcesz sprawdzać i gdzie konkretnie? Co takiego jest w Szaflarach?

– Szaflary to polskie Aspen – odezwała się niespodziewanie Liwia.

– Co to jest Aspen? – spytała Laura.

– To amerykańskie Szaflary – wyjaśniła z powagą jej siostra.

– Tato! Ona się ze mnie nabija!

– To nie ja, tylko Szczepan Szus-Zjazdowy!

Odwróciliśmy się z Gabsem równocześnie i spojrzeliśmy zaskoczeni na Liwię, którą chyba odrobinę przestraszyły nasze wytrzeszczone oczy.

– Dlaczego to powiedziałaś? – spytał Gabs.

– A nie wolno tak mówić? – zdziwiła się dziewczynka. – Tu jest tak napisane.

Pokazała trzymaną w rękach kartkę, którą Gabs niemal wyrwał jej z rąk.

– Skąd to masz? – drążył.

– Czemu się tak dziwnie zachowujecie? – zaniepokoiła się Liwia.

– Masz przerąbane – stwierdziła Laura.

– Nieprawda – uspokoiłam Liwię, ochłonąwszy z pierwszego szoku. – Chcemy tylko wiedzieć, gdzie to znalazłaś.

– Na dworcu. Leżało na ławce – wyjaśniła niepewnie Liwia.

– A ty to ukradłaś. Jesteś złodziejką – podsumowała Laura z satysfakcją. – Okradłaś biednego dzieciaka. Stał na peronie jak ostatnia sirota i beczał.

– Wcale nie – ocknął się nagle Gabs.

Zapadła kilkusekundowa cisza, a potem Laura wskazała palcem swojego ojca i zawołała radośnie.

– To byłeś ty! Tak mi się zdawało, że już gdzieś widziałam tego smarkusia.

Parsknęłam śmiechem, a Gabs pogroził córce kartką.

– Nie przeginaj, młoda damo.

Liwia popatrzyła na kartkę, na nas i znowu na kartkę.

– To strona z waszej gazetki – domyśliła się i odetchnęła z ulgą. – Czyli dobrze się stało, że ją wzięłam. „Wszystko jest, jak być powinno”.

– Tatuś przez ciebie płakał, ale co tam – zachichotała Laura, a potem przekrzywiła głowę. – A widzieliście, co jest z tyłu?

Gabs odwrócił kartkę. Po drugiej stronie znajdował się wyblakły szkic opatrzony odręcznymi komentarzami. Pismo było drobne i rachityczne, gotowe rozplnąć się przy pierwszej próbie odczytania, niczym te wydobyte spod warstw tynku polichromie znikające pod wpływem powietrza i światła. Trzydzieści lat temu widziałam tę stronę tylko przez krótką chwilę, nic więc dziwnego, że nie skojarzyłam naszkicowanych delikatną kreską detali z ich siermiężnymi odpowiednikami na klockach drzeworytniczych. Razem tworzyły spójną kompozycję i nie miałam wątpliwości, na co patrzę.

– To projekt naszego grobowca – stwierdziłam i szturchnęłam brata w ramię. – Pamiętasz, skąd wzięłaś tę kartkę?

– Już raz o to pytałaś. A ja ci powiedziałem, że dziadek mi ją dał. Bo tak właśnie było. Może teraz mi w końcu uwierzysz.

– No i wszystko jasne. Pradziadek to uknuł. – Teraz Laura wyrwała kartkę z rąk Gabsa i ponownie spojrzała na dział sportowy „Starowin Małopolskich”. – A tu jest mapa prowadząca do skarbu!

Rysunek umieszczony na dole był co prawda podpisany „Mapa największych atrakcji”, lecz z kartografią miał jeszcze mniej wspólnego niż tekst Gabsa z rzetelnym reportażem. Były to rozrzucone dosyć przypadkowo kropki opatrzone nazwami owych atrakcji. Zdecydowaliśmy, że na miejscu pożyczymy samochód, a potem ruszymy po naszych dawnych śladach, odhaczając kolejne punkty z listy polecajek Kewina Kleja. Trop narzucał się tak ostentacyjnie, że poczułam lekkie rozczarowanie. To nie mogło być przecież aż tak proste. Po cichu liczyłam, że jednak napotkamy jakieś komplikacje.

Wysiedliśmy na pierwszej stacji w Szaflarach. Budynek z 1934 roku przypominał mniejszą i skromniejszą wersję dworca w Nowym Targu. Pierwsza atrakcja znajdowała się tuż obok i była nią osławiona fabryka Polsportu. W gmachu, do którego kolejki tak wychwalał bohater artykułu Gabsa, mieścił się obecnie bank oraz urząd gminy. Uśmiechnęłam się na widok frontu od ulicy Zakopiańskiej. Przypomniało mi się, że z powodu jego charakterystycznego kształtu nazwaliśmy budynek „serki”. Zygzakowata fasada z połączonych trójkątów kojarzyła nam się z serkami topionymi w okrągłym opakowaniu, które były w tamtych czasach szczytem kanapkowego wypasu. Patrząc na nią, niespodziewanie zgłodniałam, mimo że serki wyglądały mniej apetycznie niż w latach swojej świetności. Obecnie zagnieżdżyły się w nich rozmaite interesy, które wykoryzując fakt, że ustawa krajobrazowa nie dotarła w te rejony, bez skrępowania zaznaczały swoją obecność za pomocą liter różnego kroju i koloru, na banerach, szyldach, tablicach oraz łopoczających z dumą chorągwiach.

Następne na liście atrakcji „The best of Szaflary” były kamieniołom oraz jaskinia. Dziewczynki ucieszyły się na myśl o miejscu, które, jak wynikało ze zdjęć w internecie, miało przypominać



bardziej dziką wersję Zakrzówka z czasów sprzed tak zwanej re-witalizacji. Niestety z tego punktu musieliśmy zrezygnować, gdyż teren znajdował się w prywatnych rękach. Laura próbowała namówić nas do nielegalnego wtargnięcia i – co ciekawe – znalazła poparcie u siostry. Obie składały przy tym dłonie jak do modlitwy.

– Jaskinia to idealne miejsce do ukrycia skarbu! – przekonywała Laura.

– Nie, jeśli są to stare dokumenty – odparłam.

– Dziadek mógł je zabezpieczyć w cechowej ladzie – rzuciła rozsądny kontrargument Liwia, czym, muszę powiedzieć, bardzo mi zaimponowała. Zaczęła też od razu wyjaśniać: – To skrzynia do przechowywania najcenniejszych przedmiotów cechowych. Dokładnie takich, jakich szukamy: dokumentów, statutów, listów, pieczęci i pieniędzy.

– Skrzynię ukrytą w jaskini już dawno ktoś by znalazł – zauważyłam.

– Może dziadek utopił ją w kamieniołomie! – podsunęła Laura z rosnącą nadzieją. – Trzeba będzie zanurkować.

Pomyślałam, że my w ich wieku zapewne byśmy po prostu weszli na cudzą działkę, ale nam było łatwiej, bo przez połowę czasu byliśmy zostawieni sami sobie. To naprawdę cud, że nigdy nie spotkało nas nic złego. Obecnie wizja dziesięciolatków pałę-tających się po zalanych kamieniołomach w poszukiwaniu ukrytych jaskiń wydała mi się, łagodnie mówiąc, dosyć niepokojąca.

↑ Stacja kolejowa w Szaflarach, międzywojnie

Kolejny do odhaczenia, a właściwie wykreślenia, był Koci Zamek, z którego ku kolejnemu rozczarowaniu bliźniaczek zostały jedynie ruiny. Przemieściliśmy się do centrum. Tam dla porządku sprawdziliśmy Kościół św. Andrzeja Apostoła, gdzie obejrzelśmy czternastowieczną figurę Madonny z Szaflar podobno wykonaną z jednego lipowego kłoca. Gdy wyszliśmy z powrotem na rynek, zaczął padać śnieg. Kupiliśmy w Żabce trójkątne serki, bułki i herbatę. Usiedliśmy pod zadaszoną studnią, żeby zjeść nasz niewyszukany posiłek. Laura natychmiast złapała za wajchę i zaczęła z energią pompować.

– Komu zdataney do spożycia wody do popicia? Tato, pysznej wody?

– Nie, dziękuję. Jesteś już cała mokra. Napij się herbaty.

– Najbardziej intrygującym szaflarskim zabytkiem jest Chałupa Anny Doruli, ale nie ma jej na twojej liście – powiedziałam do Gabsa, uprzejmie dziękując za wodę podetkniętą mi pod twarz w miseczce z brudnych dziecięcych rąk.

– Chwileczkę. – Gabs wpakował resztę jedzenia do paszczy, podał mi kartkę z artykułem i powiedział niewyraźnie: – Ostatni akapit.

– „A po nartach do chałupy, herbata z prądem i pod pierzynę”. Ciekawe, że w wieku dwunastu lat polecałeś herbatę zaprawioną alkoholem – zauważyłam.

– Wtedy myślałem, że chodzi o herbatę na wrzątku zagotowanym grzałką, a nie o taką dosmaczoną gorzałką.

Fakt, zabierało się taki sprzęt na zimowe wyjazdy. Pokryta kamieniem grzałka objijająca się wściekle o cienkie ścianki nieuzbrojonej w koszyczek szklanki wywoływała we mnie ogromny niepokój. Używanie jej wydawało mi się tak samo bezpieczne jak żonglowanie laskami dynamitu.

Chałupa miała być ostatnim obiektem do sprawdzenia przed powrotem do Krakowa. Prowadząca do niej ulica Augustyna Suskiego skręcała delikatnym łukiem. Po kilkudziesięciu krokach droga się wyprostowała i zza współczesnych budynków wyłonił się cel naszej wycieczki. Zapowiadany od kilku dni halny opadł w końcu z tatrzańskich szczytów w doliny i potoczył się ulicą niczym wąwozem akurat w sam raz, aby przywitać nas ciepło na miejscu.

Pierwsze zderzenie z kłębamii suchego powietrza, najeżonego zimnymi igiełkami śniegu, przypominało wciśnięcie twarzy w belę szklanej waty. Biała zasłona szarpana podmuchami wiatru z południa to odsłaniała, to zasłaniała przysadzistą bryłę budynku przykrytą grubą czapą śniegu.

Podeszliśmy do ogrodzenia, żeby obejrzeć z bliska starą góralską chałupę. Widok był znajomy, a zarazem obcy i nie potrafiłam powiedzieć, czy kiedyś już tu byłam. Wzniesiony na planie prostokąta budynek miał podmurówkę z piaskowca, a ściany z grubych belek. Wyraźnie odznaczała się najstarsza część, uszczelniona tradycyjną metodą – za pomocą mchu wepchniętego między płazy, na który położono polepę, pokrytą następnie wieloma warstwami ultramaryny. Kątem oka zobaczyłam jakiś ruch w oknie. Za szybą, na tle ciemnego pokoju, stała kobieta w chustce na głowie, uśmiechała się i kiwała na nas zapraszająco. Przez poświst wiatru przebijało się ciche pukanie w szybę, lecz kobieta w oknie nadal wykonywała tylko te zapraszające gesty. Spojrzałam w sąsiednie okno. Teraz kobieta stała tam! Nie, nie ta sama, tylko niemal identyczna. Siostry. Może nawet bliźniaczki. Laura i Liwia machały do nich, szczerząc się radośnie. Kobieta z okna po prawej pokazała za siebie.

– Zapraszają nas! Chodźmy tam! Chodźmy! – popiskiwała Laura.





– Chyba rzeczywiście powinniśmy wejść – odparłam.

Otworzyliśmy bramkę i ruszyliśmy gęsiego wąskim przesmykiem w wysokim na metr śniegu. Obeszliśmy chałupę. Z tyłu znajdował się ganek, na który wchodziło się po schodkach. Zapukałam. Po chwili rozległy się kroki. Drzwi otworzyła kobieta, starsza od bliźniaczek i ubrana współcześnie. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że siostry z pewnością należały do przeszłości. Nie bardzo wiedziałam, co w takiej sytuacji powinniśmy zrobić, ale sprawa rozwiązała się sama, gdy kobieta zobaczyła Laurę i Liwię.

– O Boże, biedulki, zimno wam na pewno. Wejźcie, wejźcie, ale ostrzegam, że w środku też zimno, jak nie zimniej, ale przynajmniej nie wieje.

← Wnętrze białej izby Chałupy Anny Doruli z widocznym malowidłem, 2026

↑ Prawdopodobnie portret Anny Doruli

Weszliśmy i rzeczywiście poczułam, jakbyśmy z lodówki weszli do zamrażarki. Pomyślałam, że przy tym halnym na polu jest zdecydowanie cieplej. Dziewczynki zainteresowały się stojącą na ganku kołyską i drewnianymi mebelkami w rozmiarach dziecięcych i oznajmiły, że one tu zostają.

– Tylko niczego nie zepsujcie – powiedział Gabs i spojrzął na Laure, która złapała za brzeg kołyski i wyglądała, jakby przymierzając się właśnie do abordażu. – Nawet o tym nie myśl.

– Ja tylko chciałam pohusiać kotka – wyjaśniła Laura i podniosła z ziemi dużego czarnego kota, który nie wiadomo kiedy i skąd znalazł się przy jej nodze. Włożyła kota do kołyski i zaczęła bujać z niewinną miną. Kot rozsunał łapy na boki, niczym marynarz próbujący utrzymać równowagę podczas sztormu.

– Będziemy grzeczne – zapewniła Liwia, stając po drugiej stronie kołyski. Kot kołysał się na falach z beznamiętną miną starego surfera.

– A pewnie, niech się pobawią – powiedziała kobieta pogodnie. – Tu im cieplej będzie, a wy se wszystko spokojnie zobaczycie.

Byłam trochę zdezorientowana. Kobieta zachowywała się tak, jakby się nas spodziewała, ale to nie musiało od razu oznaczać, że jest kimś z naszego świata, wysłanniczką dziadka, agentką czy innego rodzaju nadprzyrodzonym bytem. Może wzięła nas za zwykłych turystów. Albo była tu z kimś umówiona, ale my pojawiliśmy się pierwsi. Uznałam, że najlepiej będzie dać się ponieść rozwojowi zdarzeń. Chciałam komplikacji, no i proszę. Właśnie się zaczęły.





– To jest nowsza część, odbudowana po pożarze w 1932 roku – mówiła kobieta, gdy przechodziliśmy przez pierwszą i drugą izbę. Wskazała drzwi do trzeciego pomieszczenia i płazy noszące ślady nadpalenia. – A tu ogień się zatrzymał i dalej nie poszedł. Ludzie uznali to za cud.

– Cud? – spytał głupio Gabs. Tak jakby nigdy w życiu nie natknął się na nic niezwykłego.

– Mówi się, że biała izba ocalała, bo chroniło ją malowidło – odpowiedziała kobieta niezrażona sceptycyzmem miastowego niedowiarka. – To było w Matki Boskiej Zielnej i wieś poszła do Ludźmierza na odpust. Całe szczęście, że ksiądz akurat wszedł na ambonę i że w okno spojrział i zobaczył, że się wieś pali. Ludzie pobiegli gasić. Wszyscy pomagali, wodę nosili. I tu się ogień zatrzymał i dalej już nie poszedł. A Ruscy, jak szli na Niemca, to stanęli tu na popas i w środku ognisko zapalili, a chałupy z dymem nie puścili. No a teraz to zabytek, więc palić w ogóle nie wolno, stąd taki ziąb. Zapraszam, zapraszam.

← Pożar w Szaflarach, dogaszanie pogorzeliiska, 15 sierpnia 1932

↑ Widok wsi Szaflary po pożarze, 15 sierpnia 1932



Otworzyła drzwi prowadzące do białej izby i odsunęła się, żebyśmy mogli od progu ujrzeć dzieło, które, jak sądziła, było celem naszej wycieczki.

Znajdujący się na wprost wejścia obraz został namalowany bezpośrednio na płazach i zajmował całą pionową ścianę pod skosem. Dziełu nadano tytuł *Zaśnięcie Matki Boskiej w otoczeniu jedenastu Apostołów*. Był on zdaje się czymś w rodzaju kompromisu, który godził artystyczną wizję z wiarą chrześcijańską. Scena przedstawiała zmarłą kobietę spoczywającą na marach, trudno jednak mówić o śmierci, skoro za chwilę będzie miało miejsce wniebowzięcie. Stąd owo „zaśnięcie”. Nad głowami apostołów widniały imiona. Mateusza zastąpił Paweł. Brakowało wśród nich Judasza, co nie było specjalnie zaskakujące, bardziej zastanawiał brak Bartłomieja. Ale może po prostu się nie zmieścił. Po prawej stronie malowidła artysta ulokował patrona rolników – św. Izydora modlącego się pod krzyżem, a jeszcze dalej, w tle, anioła orzącego ziemię za pomocą dwóch wołów zaprzęgniętych do pługa. Dzieło robiło mocne pierwsze wrażenie. Drugie zresztą też, gdy do zaskoczenia dołączyło



poczucie jakiegoś dysonansu. Bo skąd malarstwo sakralne tych rozmiarów w świeckiej chałupie? Taka malatura pasowała raczej do ścian w starym drewnianym kościółku.

– Nie wiadomo, kto to namalował ani kiedy – odezwała się kobieta, odpowiadając na to niezadane pytanie. – Jedni mówią, że nocował tu malarz zatrudniony do prac w drewnianym kościele i tak tu sobie na próbę malował. Inni, że to jakiś biedny wędrowiec tak się odwdzieczył za gościnę. Ale kiedy to mogło być, nikt nie wie. Według daty na soszębie chałupa pochodzi z 1843 roku, ale i to nie jest pewne. Mnie to się widzi, że może być jednak starsza.

Spojrzałam w górę, na przebiegającą przez środek izby grubą belkę, i pomyślałam, że kobieta może mieć rację. Drewno soszębu wydawało się nowsze niż płazy, z których zbudowano ściany. To, co na nim wyryto, też wyglądało jakby odrobinę za świeżo. Na środku znajdowała się dekoracja snycerska w postaci rozety okolonej motywem roślinnym. Po lewej umieszczono skrót: A sło. Bos. Sta. się. Cia IM Po prawej wyryto IHS. A.D. 1843. Dnia 16 Ćer. Joan Skwarek 1843.

↑ Malowidło ze sceną Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny w otoczeniu jedenastu Apostołów

Niestety to nie takich znaków szukaliśmy. Rozejrzałam się nieco uważniej po wnętrzu. Nad malowidłem ktoś zawiesił rząd świętych obrazów. Przed nim ustawiono stół, który mógł być równie dobrze ołtarzem. W rogu stało zabytkowe łóżko obłożone haftowanymi poduchami. W izbie znajdowało się więcej starych mebli: krzesła, ława, kredens. Pod powałą wisały góralskie ubrania, a na ścianach fotografie przodków, w tym samej Anny Doruli. W kącie stał duży piec, a obok niego...

– Piękna skrzynia! – zauważył Gabs, szturchając mnie i wskazując rzeczony mebel, po czym odwrócił się do kobiety z uśmiechem, który miał być zdaje się czarujący. – Do czego służy?

Zrozumiałam, że nawiązywał do lady cechowej, o której opowiadała dziś Liwia, ale ta skrzynia – zielona i pomalowana w ludowe wzory – wyglądała na stworzoną do przechowywania ubrań albo pościeli, a nie tajemniczych dokumentów.

– To najpewniej była część posagu Anny Doruli – wyjaśniła nasza przewodniczka. – Trzymam tam część ubrań, różne takie klamoty...

Gabs wyraził ogromną chęć obejrzenia zawartości skrzyni. Przyglądałam się z lekkim zażenowaniem, gdy pomagał kobiecie wyjmować serdaki, sukmany, makatki, koce aż do ostatniej kwiecistej chusty. Nie przekonał go jednak widok pustego dna, dopiero gdy je opukał, uwierzył w końcu, że nie jest to skrzynia skarbów, której szukamy. Wyraźnie zmarmotniały pomógł poskładać i pochować rzeczy, a potem pożegnaliśmy się i opuściliśmy białą izbę.

Na ganku nie natknęliśmy się na żadne ślady dewastacji, co było dobrą wiadomością. Nieco gorszą była nieobecność samych bliźniaczek. Na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno. Wyszliśmy przed dom i zaczęliśmy je nawoływać. Ale odpowiedziało nam tylko ujadanie psów. Nagle drzwi od chałupy otworzyły się i na próg wyszły nasze zguby. Wesole i zarumienione, jakby przez ostatnią godzinę grzały się na zapiecku. Liwia tuliła do siebie jakiś tłumoczek, który wydał mi się dziwnie znajomy.

– To dla was – oznajmiła, wręczając mi pakunek starannie owinięty w skóry i kilka razy okręcony długim rzemieniem. Końce zawiązano na ciasny supeł i zabezpieczono odciśniętą w laku pieczęcią z symbolem przewróconej klepsydry.



- Gdzie to znalazłyście? – spytałam.
- Nie znalazłyśmy – odparła Laura. – Dostałyśmy od ciotuchny. Ten wędrowiec zostawił to u niej na przechowanie, a ona ukryła na dnie skrzyni.
- Jaki wędrowiec? – zdziwił się Gabs.
- No ten. – Liwia wzruszyła ramionami. – Ten, co powiedział, że jak wszystko dobrze pójdzie, to ktoś po to przyjdzie przed 15 sierpnia.
- Którego roku? – chciałam wiedzieć.
- No 1932. Co, nie wiecie? – Liwia patrzyła na nas z dezaprobatą.
- A ciotuchna mówiła, że będziecie wiedzieć OCB. Tylko nie powiedziała „OCB”. No ale wiecie, OCB! – Laura zachichotała.
- Popatrzyłam na odcisk pieczęci, miała klasyczny okrągły kształt, wokół rantu ciągnął się jakiś napis. Poświeciłam sobie telefonem.
- *Miraculum vocamus, cum indicia desunt* – odczytałam i nie czekając, aż zrobi to mój brat, wpisałam maksymę do translatora. – „Kiedy brakuje dowodów, nazywamy to cudem”. Dobrze. Bardzo sprytne. I wieloznaczne.
- Masz rację, ciciu. – Liwia pokiwała głową. – To bardzo rozsądne.
- Chodzi o ten cud? – Gabs wskazał Chałupę Anny Doruli. – Mamy uratować ten dom przed pożarem?
- Nie. Już ci to tłumaczyłam. Nie można zmienić historii. Naszym zadaniem jest dokonywać drobnych korekt, żeby rzeczy szły tym ustalonym, zapisanym w annałach biegiem.

Dlatego nie możemy uratować wszystkich domów, ale musimy dopilnować, żeby ocalało to, o czym wiemy, że ocalało, czyli biała izba. I musi się to wydarzyć tak, jak wiemy, że się wydarzyło.

– Książdz zauważył z ambony, że się pali – przypomniał sobie Gabs.

– No właśnie. Zakładam, że mamy w jakiś sposób sprawić, aby spojrział w okno. Jedźmy do tego Ludźmierza, a po drodze wymyślimy, jak to zrobić.

– Możemy rzucać w okno kamieniami – zaproponowała Laura.

– Nazwijmy to planem C – powiedział Gabs.

– A co z przesyłką z zaświatów? – spytała Liwia. – Tam może być odpowiedź.

– Albo kamienie! – rozmarzyła się Laura. – Podpowiedź i rozwiązanie w jednym.

– Otworzymy ją w samochodzie – zdecydowałam.

Kłótnię o to, kto będzie prowadził, musiał ostatecznie rozstrzygnąć los, bo nikt (poza Laurą) się do tego nie kwapił. Przeprowadziłam w głowie szybką analizę, która wyglądała następująco: Gabs prawdopodobnie założy, że w swoim zarozumiałstwie uznam go za idiotę, który wybierze kamień, ponieważ chwilę wcześniej pojawił się taki temat. I w związku z tym sama wybiorę



papier. Dlatego, żeby mnie przechytrzyć, Gabs zdecyduje się na nożyczki. Postanowiłam zaryzykować: wybrałam kamień i ku ogromnej radości Laury wygrałam.

– To znak! – wrzasnęła, a zaraz po niej głos zabrały wszystkie okoliczne psy, które moja bratanica próbowała przekrzyczeć. – Pieski też głosują na kamień!

– Raczej klną w żywy kamień i pytają, dlaczego znowu je budzimy, skoro mamy robotę do wykonania – odburknął Gabs, nie kryjąc urazy z powodu przegranej.

Pierwszą reakcją było kolektywne rozczarowanie. Tak jak się tego spodziewaliśmy, w paczce od dziadka znajdowały się znane nam już klocki drzeworytnicze. Zakładaliśmy przy tym, że klocki stanowią jedynie część spuścizny, i co do tego również mieliśmy rację. Liczyliśmy jednak na coś ciekawszego niż zabezpieczony plastikową koszulką siedemnastowieczny kalendarz. Podobny do tego z grobowca: w formacie quarto, opatrzone sygnetem drukarskim oficyny Schedlów. I dodatkowo opisany u dołu: „Cracovia Ex Officina Christophori Schedlij”. Na prośbę bliźniaczek przełożyłam tę informację „z elfickiego na ludzki”. A Laura skwitowała ją dosadnym:

– Bez sensu!

Słowa, wypowiedziane niejako w imieniu całej naszej czwórki, zadziałały niczym wytrych, otwierając właściwą przegródkę w mojej pamięci. Odnalazłam tam pewien szczegół, na który natrafiłam, wertując monografię oficyny Schedlów.

– Masz rację. To jest bez sensu! Za czasów Krzysztofa nie drukowano kalendarzy w formacie quarto! To nie jest prawdziwy kalendarz.

Rozerwałam koszulkę i przewróciłam stronę. Tekst był w języku polskim, lecz na tym kończyły się dobre informacje. Był to bowiem rodzaj poradnika, który poruszał kwestie rolnictwa, podróżowania, zdrowia, a nawet manier. Zawierał też informacje na temat pogody, szlaków handlowych, postów, dekretów, nakazów i zakazów. Ale nic związanego z naszą profesją.

Zapadła pełna rezygnacji cisza wypełniona pomrukami samochodu, szumem drogi i stukotem klocków drzeworytniczych, które Liwia układała w prostokątnym pudełku odziedziczonym z nimi w komplecie.

– Tu jest jakieś szkło – odezwała się nagle. – To chyba lupa.

Odwrociłam się, a Liwia podała mi niewielkie szkiełko w drewnianej oprawce. To rzeczywiście była lupa, ale dosyć nietypowa. Soczewkę miała zwykłą, okrągłą, jednak brzegi ramki były tak szerokie, że zostawiały jedynie prostokątne okienko. Przejęłam pudełko z klockami i położyłam na jego dnie stronę z kalendarza, która wpasowała się tam idealnie. Zaczęłam pospiesznie układać na niej klocki. Gdy skończyłam, powstały wąskie szczeliny, w których znajdowały się pojedyncze słowa. Trudno byłoby je odczytać bez tej dziwnej lupy, nawet z nią nie było to łatwe. Zaczęłam czytać na głos z mozołem przedszkolaka, który dopiero uczy się składać litery w słowa:

– Wędrujący poruszyciel, mąż szlachetny i skromny, jest to ów, co zawsze przybywa w dobrym momencie; przybywa on, żeby jedno dopełnić dzieje, ponieważ historia jest jedna i na zawsze ustalona i zmieniać jej nie można. Zapisano ją bowiem na kartach albo wykuto w kamieniu albo po wielokroć powtórzona została była i taka jest zapamiętana aż po wieczne czasy. Gdy jaki towarzysz obcy skądkolwiek przywędruje do naszego cechu, żeby nająć się ku pomocy, takowego najpierw trzeba poczęstować, napoić, a potem robotę zadaną ma wykonać wedle reguły. Znaczy to, że uważać trzeba, by działać stosownie a nie uczynić jakowego nieporządku, bo zgodność z historią musi zostać utrzymana, o czym było wyżej. Po wtóre, trzeba pilnie kunsztu pilnować, co znaczy, że zadanie jak najmniejszym i ledwo widocznym skutkiem wykonać, tak aby w oczy się nie narzucać. Tak trzeba wykonywać (zleczone zadanie), aż będzie zrobione zgodne z tym, co już uprzednio dokonało się.

– Co to znaczy? – spytała Liwia, gdy przerwałam, by odsapnąć.

– Że nie będziemy rzucać w okna kamieniami – wyjaśnił Gabs.

– A czym? – zaciekała się Laura.

– Niczym – odpowiedziałam, a potem poruszyłam dłonią, w której trzymałam lupę, tak aby złapać promienie porannego słońca, gdyż nawet nie zauważyliśmy, kiedy nastał letni dzień. Gdy po tapicerce zaczęły skakać świetliste zajączki, dodałam: – Użyjemy tego.

Tak też zrobiliśmy. I wszystko było tak, jak być powinno. Bo nie mogło być inaczej.



PODZIĘKOWANIA

Zaczęło się od przypadkowego spotkania z Joanną Nowostawską-Gyalóky: „A wiesz, Gaju – powiedziała Joanna – że przyszłoroczna edycja Dni Dziedzictwa będzie dotyczyła Dębnik? Może miałabyś ochotę napisać dla nas kolejną książkę?”. Dębniki to dzielnica mojego dzieciństwa i pomyślałam, że to chyba znak, jeszcze zanim usłyszałam, że będzie to edycja pod znakiem znaku... Uznałam, że nie ma co kusić losu, lepiej skorzystać z takiej propozycji!

Teraz przygoda z pisaniem dobiega końca i pragnę podziękować wszystkim, którzy na którymkolwiek etapie powstawania tej książki dołożyli swoją cegiełkę. Za zaproszenie do Biblioteki przy ul. Powroźniczej z pragnę podziękować przede wszystkim Agnieszce Staniszewskiej-Mól – dyrektorze Biblioteki Kraków, Agnieszce Sabak – redaktorze Działu Wydawnictw i Animacji BK, Jolancie Wierzchowskiej-Kozaczce – starszej kustoszce BK, oraz Ludmile Guzowskiej – kierownicze Biblioteki Głównej BK. Poznałam tam nie tylko dzieje dworku należącego niegdyś do Beaty Matejkówny-Kirchmayerowej, lecz także okoliczności powstawania Gabinetów Sławomira Mrożka i Jerzego Pomianowskiego. Co więcej, nasze przewodniczki zgodziły się wystąpić w dębnickim opowiadaniu. Dzieje obu kościołów w Rzepienniku Biskupim ze swadą przybliżył ksiądz proboszcz Piotr Witecki, jemu też należą się podziękowania za inspirację do zamknięcia rzepiennickiej trylogii motywem kun i dzięcioła. O tamtejszym dworze, przy suto zastawionym stole (wspaniałe ciastka i konfitury) i toczącym się w tle remoncie, opowiedzieli Monika i Janek Gluzowie. Sołtyska Rzepiennika Biskupiego Grażyna Włodyka wspomogła mnie w redakcji tekstów w rzepiennickiej godce, Maciej Daniek zarysował tło historyczne miejscowej bohemy, a konserwatorki fresków Jana Bulasa, Magdalena Szybowska i Sabina Nowak, opowiedziały o swojej pracy. Nasze rozmowy wspierała Renata Gogola z Gminnego Centrum Kultury. W Pałacu Spiskim, dzięki zaproszeniu Bogdana von Steinhoffa, zobaczyłam nieznanne mi dotąd wnętrza. Kończąca zwiedzanie nasiadówka w restauracji Hawelka stała się inspiracją do napisania o piętrowych kanapkach, z których lokal zasłynął na początku XX wieku. Opowieści Tadeusza Grajpla przeniosły mnie do czasów, gdy powstawało krakowskie drukarstwo, a zaprezentowana nam kolekcja

drzeworytów poddała mi pomysł na temat dwóch ilustracji do tej książki. Wiktoria Kowalczyk-Szlaga, kierowniczka Działu Muzeum MCK w Nowym Targu, opowiedziała o początkach nowotarskiego drukarstwa i wsparła mnie merytoryczną wiedzą podczas pisania tekstu. Wielkie wrażenie wywarły na mnie prace współczesnych artystów, które powstały we współpracy z Muzeum. W zasypanych śniegiem Szaflarach próbowałam uchwycić bardzo tajemnicze dzieje Chałupy Anny Doruli, w której rozgrywa się finał tej opowieści. Dziękuję Zofii Walkosz oraz Katarzynie i Zenonowi Kozom za podzielenie się wspomnieniami, historiami i legendami związanymi z tym miejscem, a także za ugoszczenie nas pysznymi domowymi krokietami i gorącym barszczem, dzięki czemu udało nam się odtajać. Jeszcze raz wszystkim ogromnie dziękuję za poświęcony czas i życzliwość.

Dziękuję też krakowskim fotografom związanym z Dębnikami – Wojciechowi Smolakowi i Wojciechowi Wilczykowi – za dębnickie opowieści ilustrowane fotografiami. Katarzynie Moskał za opowieści o cechach krakowskich. Janowi Germanowi za wygładzenie łacińskich tekstów, a Jakubowi Niedźwiedziowi za pomoc w przełożeniu fragmentu tekstu odnalezionego przez bohaterów z polskiego na polski, tyle że dawniejszy. Nie bez znaczenia była też pomoc ze strony dyrekcji i pracowników Archiwum Narodowego w Krakowie, Muzeum Krakowa i Muzeum Fotografii – to w znacznej mierze zbiory tych instytucji zilustrowały moje opowieści.

Na koniec podziękowania należą się Joannie, dzięki której mogłam ponownie powołać do życia moich bohaterów z poprzedniego tomu (nawet tych nieżywych) i za ich pośrednictwem poznać kolejny wycinek świata, którego już nie ma. Ogromnie dziękuję Ewie Ślusarczyk i Aleksandrze Kleczce za prace redakcyjne i korektorskie, i Maciejowi Grochotowi za skład. A także całej ekipie Dni Dziedzictwa MIK za życzliwość i wsparcie.

A na koniec po końcu chciałam podziękować mojemu mężowi Łukaszowi za jego wyjątkową cierpliwość i ogromne wsparcie, które czułam na każdym etapie powstawania tej książki.

Bardzo Wam wszystkim dziękuję!

Gaja Grzegorzewska

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

DWOREK BEATY MATEJKÓWNY-KIRCHMAYEROWEJ W KRAKOWIE-DĘBNIKACH

- Dwór wiejski przyłączony do Krakowa*, „Świat” 1910, nr 30, s. 19,
<https://mik.krakow.pl/m691>.
- Follprecht K., *Zagadkowa willa w Krakowskich Dębnikach*, „Rocznik Biblioteki Kraków” 2023, s. 16–39, <https://mik.krakow.pl/pv9j>.
- Jankowski J., *Dębniki dawniej i dziś*, Kraków 2017.
- Kardas K., *Kirchmayerowie, wpływowa familia krakowska*, „Rocznik Krakowski” 2021, nr 87, s. 135–145, <https://mik.krakow.pl/cezy>.
- Komornicki Ł., *Willa pod Minerwą. Historia domu rodziny Komornickich na krakowskich Dębnikach*, Kraków 2015.
- Łomnicka K., *W krakowskiej pracowni Konstantego Laszczki*, [Sztukipiekne.pl](https://mik.krakow.pl/argo), 18.08.2022, <https://mik.krakow.pl/argo>.
- Nowak J.T., *Wokół Rynku Dębnickiego*, Kraków 2016.
- Nowe prądy w architekturze*, „Architekt” 1926, z. 1, s. 13.
- Pałac Lasockich, [Zabytek.pl](https://mik.krakow.pl/y5hg), <https://mik.krakow.pl/y5hg>.
- Weiss Z., Łomnicka K., *Konstanty Laszczka*, Kraków 2017.

KOŚCIÓŁ PW. WNIEBOWZIĘCIA NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY W RZEPIENNIKU BISKUPIM

- Dutka Cz., *Rzepiennik*, cz. II: *Ziemia i ludzie*, Rzepiennik Suchy 2003,
<https://mik.krakow.pl/m3n5>.
- Dutka Cz., *Z dziejów Rzepiennika. Księża rzepiennicy*, Rzepiennik Suchy 2009, <https://mik.krakow.pl/uvxj>.
<https://parafiarzepiennik.pl/>
- Jan Bulas*, „Głos Narodu” 1909, nr 151, s. 2, <https://mik.krakow.pl/cpoz>.
- Gałęcka K., *Feliks Jasieński w środowisku Warszawy, Lwowa i Krakowa*, „Roczniki Humanistyczne” 1979, t. XXVII, z. 4,
<https://mik.krakow.pl/k6xw>.
- Kucharzyk B., *Rzepińsko godka*, Krosno 2020.
- Rozprawa p. Bulasa*, „Nowiny. Dziennik niezawisły demokratyczny ilustrowany” 1909, nr 132, s. 3, <https://mik.krakow.pl/a89h>.
- Szczęśny Dołęga, *Bagienko*, „Głos Narodu” 1909, nr 61, s. 2,
<https://mik.krakow.pl/toia>.

DWÓR W RZEPIENNIKU BISKUPIM

- Dajnowska A., *Przebarwny poeta polskich kwiatów Jan Bulas*, „Sztuka.pl” 2007, nr 5, s. 24–28.

- Daniek M., *Rzepiennicka bohema*, Krosno 2025.
- Ociepka S., *Gorczański artysta. Jan Bulas*, „Echo Limanowskie” 2023, nr 340–341, s. 31–34, <https://mik.krakow.pl/64lj>.
- Pawlikowska A., *Kwiaty Jana Bulusa*, „Pamiętnik Sztuk Pięknych. Fin de siècle odnaleziony. Mozaika przełomu wieków” 2015, nr 10, s. 303–307.
- Stacherski (Stachurski), *Antoni Władysław (1831–1861)*, „Österreichisches Biographisches Lexikon”, <https://mik.krakow.pl/cft1>.
- Watra J., *Jej wspomnienie*, „Goniec Krakowski”, 3 lutego 1942, nr 27, <https://mik.krakow.pl/mt2w>.
- Zabytki Sztuki w Małopolsce*, Warszawa 2016.

KOŚCIÓŁ PW. ŚW. JANA CHRZCICIELA W RZEPIENNIKU BISKUPIM

- Pawłowski S.L., *Historia i opis kościoła św. Jana Chrzyciela w Rzepienniku Biskupim*, „Rzepiennickie Zapiski” 2000, nr 17, s. 4–8, <https://mik.krakow.pl/qs1y>.
- Rzepiennickie kościoły*, „Rzepiennik Wczoraj i Dziś” 1991, nr 2, s. 1–2, <https://mik.krakow.pl/fed7>.
- Tomkowicz S., *Rzepiennik Biskupi*, w: *Teka grona konserwatorów Galicji Zachodniej*, t. 1, Kraków 1900, s. 289–295, <https://mik.krakow.pl/rkz7>.

PAŁAC SPISKI W KRAKOWIE

- Banach J., *Ikonografia Rynku Głównego w Krakowie*, Kraków 1998.
- Czarna sztuka. Szlak krakowskich drukarni*, <https://mik.krakow.pl/3d9f>.
- Dzieje Krakowa. Kraków w wiekach XVI–XVII*, t. 2, red. J. Bieniarzówna, J. Małecki, Kraków 1984.
- Kalendarz Krakowski Józefa Czecha na rok 1913, R. 82, s. 66, <https://mik.krakow.pl/qfmb>.
- Katalog zabytków sztuki w Polsce*, t. IV: *Miasto Kraków*, cz. X, Warszawa 2005, 102–104.
- Komorowski W., Sudacka A., *Rynek Główny w Krakowie*, Wrocław 2008.
- Tomkowicz S., *Domy i mieszkania w Krakowie w pierwszej połowie XVII wieku, z 14 tablicami*, Lwów 1922, s. 4, 16, 20, 27, 54–56, 58, <https://mik.krakow.pl/oqi6>.

MUZEUM DRUKARSTWA W NOWYM TARGU

- Danielewicz W., *Podręcznik dla zecerów*, Warszawa 1892, s. 4,
<https://mik.krakow.pl/f5rz>.
- Lubertowicz Z., *Cudze chwalicie*, „Gazeta Podhalańska” 1923, nr 44,
s. 2, <https://mik.krakow.pl/l5vv>.
- Majorczyk A., Nowak A., *Drukarstwo nowotarskie 1898–1947*,
„Almanach Nowotarski” 1919, <https://mik.krakow.pl/9fpy>.
- Nowak A., *Rola Drukarni Ignacego Borka w Nowym Targu w życiu
społeczno-kulturalnym Podhala na początku XX wieku*, referat,
<https://mik.krakow.pl/lta8>.
- <https://muzeumdrukarstwa.nowytarg.pl/>
- Maszyna drukarska z napędem ręcznym Helbig & Müller z Muzeum
Drukarstwa w Nowym Targu*, film, <https://mik.krakow.pl/plu7>.

CHAŁUPA ANNY DORULI W SZAFLARACH

- Chałupa Anny Doruli – dokumentacja konserwatorska, Zabytek.pl,
<https://mik.krakow.pl/xn34>.
- Pieńkowska H., Staich T., *Drogami skalnej ziemi. Podtatrzńska
włóczęga krajoznawcza*, Kraków 1956.
- Program prac konserwatorskich zabytkowej Chałupy Anny Doruli
w Szafłarach, opracowanie D. Biedrońska-Krówka, Kraków 2020
(egzemplarz u Właścicieli).
- Szafłary. Wieś podhalańska*, red. M. Adamczyk, 1993.

**W TEKSTACH WYKORZYSTANO CYTATY I BEZPOŚREDNIE
NAWIĄZANIA DO:**

- T.S. Eliot, *Cztery kwartety*, w: *Szepty nieśmiertelności: poezje wybrane
z komentarzami*, przekład, wprowadzenie i komentarz Krzysztof
Boczkowski, Kraków 2001.

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI

s. 10–11: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 3/1/0/8/4518/2, domena publiczna; s. 20–21: aut. fot. nieznane. NAC, sygn.3/2/0/-/8328a, domena publiczna; s. 22: aut. fot. nieznane. ANK, sygn.29/1410/ABM, ul. Kopnickiej 15, 411a; s. 23: fot. A. Rzepa. MIK, CC BY SA 4.0; s. 26: *Nowe prądy w architekturze*, „Architekt” 1926, z. 1, s. 13; s. 28–29: fot. W. Smolak. Ze zbiorów Wojciecha Smolaka; s. 31: obraz olejny. MNW, MP 565, domena publiczna; s. 32: fot. J. Mieczkowski. MNK IX-5839, domena publiczna; s. 36: fot. W. Smolak. Ze zbiorów Wojciecha Smolaka; s. 37: MHK, FS 22816; s. 38: **GÓRA** – MNK IV-C-5158, domena publiczna; **OD LEWEJ** – MNK IV-C-1358/1-2, domena publiczna; MNK IV-C-6559, domena publiczna; s. 39: PAN BK, sygn. 247185, domena publiczna; s. 40: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-G-6668, domena publiczna; s. 41: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-K-3948-1, domena publiczna; s. 42: dzięki życzliwości Desa Unicum; s. 45: fot. A. Rzepa. MIK, CC BY SA 4.0; s. 47: fot. A. Rzepa. MIK, CC BY SA 4.0; s. 48: fot. W. Plewiński. Ze zbiorów Wojciecha Plewińskiego; s. 50: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-U-2568-1, domena publiczna; s. 52–53: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-G-3919, domena publiczna; s. 54: aut. fot. nieznane. ANK, sygn. 1-G-3919, domena publiczna; s. 55: fot. A. Rzepa. MIK, CC BY SA 4.0; s. 56–57: aut. fot. nieznane, GCKiP RS; s. 58: fot. A. Rzepa. MIK, CC BY SA 4.0; s. 61: aut. fot. nieznane, MNK XX-f-27096, domena publiczna; s. 64: fot. ks. L. Textoris, MNK XX-f-3650, domena publiczna; s. 66: aut. fot. nieznane. Ze zbiorów rodziny Więckowskich; s. 67: fot. A. Rzepa. MIK, CC BY SA 4.0; s. 69: aut. fot. nieznane. NAC, 1-U-5562, domena publiczna; s. 71: APP, Arch. Geodez., 56/126/0/-/1462M; s. 72: „Nasz Kraj” 1907, t. 3, z. 16, s. 1; s. 74–75: aut. fot. nieznane. Ze zbiorów rodziny Więckowskich; s. 76: ze zbiorów rodzinnych Marii Barzyk; s. 79: Wikimedia Commons, domena publiczna; s. 80: Polona, sygn. 262.570, domena publiczna; s. 82–83: aut. fot. nieznane. Ze zbiorów rodziny Gluzów; s. 84: fot. K. Barańska. MIK, CC BY SA 4.0; s. 87: aut. fot. nieznane. Ze zbiorów rodziny Więckowskich; s. 86: fot. K. Barańska. MIK, CC BY SA 4.0; s. 89, 90, 92, 95: aut. fot. nieznane. Ze zbiorów rodziny Więckowskich; s. 96–97: aut. fot. nieznane. MHF 16996/II, domena publiczna; s. 98–99: aut. fot. nieznane, za: R. Brykowski, M. Kornecki, *Drewniane kościoły w Małopolsce Południowej*, Wrocław 1984, il. 88; s. 102: aut. fot. nieznane. Ze zbiorów rodziny Więckowskich; s. 104: fot. J. Tur. SRBG s. 107: aut. fot. nieznane. Ze zbiorów rodziny Więckowskich; s. 108: aut. fot. nieznane. NAC, 3/1/0/9/5561, domena publiczna;

s. 108–109: fot. A. Rzepa. MIK, CC BY SA 4.0; s. 112–113: aut. fot. nieznane. ANK, sygn. 29/670/0/-/6958, domena publiczna; s. 114–115: MK, sygn. 569/III, domena publiczna; s. 118: fot. Zakład Fot. Kriegerów. Repro ASP, sygn. 4189, domena publiczna; s. 120: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 3/1/0/14/1389, domena publiczna. Mężczyźni napelniający beczkę paliwem z dystrybutora z reklamą Mobilgas, w tle Pałac Spiski, 1940; s. 121: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 2-6194, domena publiczna; s. 122: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-G-7055-1, domena publiczna; s. 123: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-G-7055-2, domena publiczna; s. 124: **GÓRA** – „Nowości Illustrowane” 1905, nr 3, domena publiczna; **DÓŁ** – fot. B. Zbroja, 2025; s. 125: aut. fot. nieznane. ANK, sygn. 9/671/0/-/850; s. 127: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 3/1/0/8/7053, domena publiczna; s. 128: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 3/1/0/1/162, domena publiczna; s. 129: fot. J. Nowostawska-Gyalókey. MIK, 2025, domena publiczna; s. 130: Polona, BJ, domena publiczna; s. 132: Polona, sygn. SD XVII.3.4466, domena publiczna; s. 134: Wellcome Collection, domena publiczna; s. 136–137: fot. A. Pawlikowski. ANK, zbiór fot., sygn. 29/670/8934, domena publiczna; s. 140: *Das Ständebuch. 114 Holzschnitte*, Leipzig 1934. Polona, sygn. A.6043/Repr.XX/I-809, domena publiczna; s. 142–143: aut. fot. nieznane, za: *Śladem zabytków techniki z Podhala na Liptów*, Nowy Targ 2018, s. 25; s. 144: uczestnicy Kongresu Międzynarodowej Centralnej Rady Turystycznej, aut. fot. nieznane. Polona, sygn. F.64213/II, domena publiczna; s. 145: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-G-3684, domena publiczna; s. 146: Z. Lubertowicz, *Cudze chwalice*, „Gazeta Podhalańska” 1923, nr 44, s. 2; s. 147: aut. fot. nieznane. MDNT, domena publiczna; s. 150: aut. fot. nieznane, sygn. 2-8602. NAC, domena publiczna; s. 150: aut. fot. nieznane. MEK, sygn. V-466, domena publiczna; s. 151: za: W. Danielewicz, *Podręcznik dla zecerów*, Warszawa 1892, s. 4; s. 152: fot. G. Rutkowska. NAC, sygn. 40-P-277-3; s. 153, 154: MDNT, domena publiczna; s. 156: fot. Wiktoria Kowalczyk-Szłaga. MDNT; s. 157: fot. H. Schabenbeck. Ze zbiorów rodzinnych B. Zięby, domena publiczna; s. 158, 159: aut. fot. nieznane. MDNT, domena publiczna; s. 160: aut. fot. nieznane. Ze zbiorów rodzinnych B. Zięby, domena publiczna; s. 162–163: fot. A. Rzepa. MIK, CC BY-SA 4.0; s. 164: MTS/207/0009/MT; s. 165: aut. fot. nieznane. NAC, 3/1/0/8/4633, domena publiczna; s. 166: MuFO, MHF 19694/II/11, domena publiczna; s. 170: aut. fot. nieznane, bazakolejowa.pl; s. 172: fot. A. Rzepa, 2026. MIK, CC BY-SA 4.0; s. 173: fot. J. Nowostawska-Gyalókey, 2026. MIK,

CC BY-SA 4.0; s. 174: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 3/1/0/8/6835, domena publiczna; s. 175: aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 3/1/0/8/6835, domena publiczna; s. 176–177: fot. K. Barańska, 2026. MIK, CC BY-SA 4.0; s. 179: fot. A. Rzepa, 2026. MIK, CC BY-SA 4.0; s. 183: fot. A. Rzepa, 2026. MIK, CC BY-SA 4.0.

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby dotrzeć do autorów zdjęć publikowanych w niniejszej książce. Jeśli nie podano nazwiska autora fotografii, jest on nieznan. Jeśli nie wskazano inaczej, licencje są zastrzeżone.

WYKAZ SKRÓTÓW:

ANK	Archiwum Narodowe w Krakowie
APP	Archiwum Państwowe w Przemysłu
ASP	Zbiory Cyfrowe Akademii Sztuk Pięknych
BJ	Biblioteka Jagiellońska
GCKCiP RS	Gminne Centrum Kultury, Czytelnictwa i Promocji w Rzepienniku Strzyżewskim
MDNT	Muzeum Drukarstwa w Nowym Targu
MEK	Zbiory Cyfrowe Muzeum Etnograficznego w Krakowie
MK	Muzeum Historyczne Miasta Krakowa
MuFo	Muzeum Fotografii im. W. Rzewuskiego w Krakowie
MT	Muzeum Tatrzańskie im. Dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem
NAC	Narodowe Archiwum Cyfrowe
PAN BK	Polska Akademia Nauk Biblioteka Kórnicka
Polona	Zbiory Cyfrowe Biblioteki Narodowej
SRBG	Stowarzyszenie Ruska Bursa w Gorlicach



malopolskatogo.pl



100+
pomysłów
na wycieczkę



małopolski
instytut
kultury

miK

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO


MAŁOPOLSKA

Książka jest kontynuacją przygód niesfornych bliźniąt i ich dziadka, których poznaliśmy już w 2019 roku za sprawą zbioru opowiadań *Z dreszczykiem*. Przypomnijmy: kończy się on dramatyczną walką bohaterów o zachowanie *Organów Hasióra*. Dziadek umiera, ale jeszcze na kilka sekund powraca jako duch do wstrząśniętych zajściem wnuków, by pocieszyć je, że nie tak do końca odchodzi. Teraz bliźnięta są już dorosłe – ona jest poczytną autorką książek dla dzieci, on dziennikarzem w brukowcach. Nauki dziadka nie poszły jednak w zapomnienie. Bohaterowie przejmują pałeczkę i kontynuują podróżę w czasie, od zabytku do zabytku. I wciąż czekają na jakiś znak od dziadka...

Gaja Grzegorzewska – pisarka i filmoznawczyni. Niestrudzona tropicielka mrocznych stron ludzkiej natury i szczelin w otaczającej nas bezpiecznej rzeczywistości.

Publikacja bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży
ISBN 978-83-67862-39-4

